

Anna Powierza

Jak zostać sławną

Bądź w pełni świadoma swoich wyborów

- Mam pecha! Życie jest podłe! - powiedziałam swojej jedynej prawdziwej przyjaciółce Haneczce, adresując kolejną kopertę z CV.

- Nie przesadzaj - odpowiedziała Haneczka. Ponieważ zrobiła to nie pierwszy raz, odkąd u niej mieszkam, pomyślałam, że chyba powinnam zastanowić się nad określeniem „prawdziwa”. - Pisz dalej - ciągnęła, a ja stwierdziłam, że właściwie to nie mam nad czym się zastanawiać. Z pewnością powinnam była pomyśleć: „przyjaciółce Haneczce”. Brzmi to zdecydowanie prawdziwiej. - I nie marudź! - dodała.

Zaraz, zaraz! Czy w ogóle pasowało do niej określenie „przyjaciółka”?

CV wysyłałam nieprzerwanie już od dwóch tygodni. Miałam nieodparte wrażenie, że jak tak dalej pójdzie, będę mieć na sumieniu resztki Puszczy Amazońskiej. Choć - próbowałam się pocieszać - współodpowiedzialni za to będą również wszyscy nieczuli kadrowi stacji radiowych. Lekkomyślnie wyrzucają moje CV, zamiast po prostu mnie zatrudnić. Co za marnotrawstwo! Już słyszałam nawet w duszy tę całą fantastyczną kampanię radiową, którą przeprowadzam na ten temat... Ale póki co nagrywać się mogłam jedynie na dyktafon. Myślicie, że tego nie robiłam?

Robiłam. Nie chciałam przecież wyjść z wprawy. „Nie przesadzaj”, pierwszy raz powiedziała do mnie Haneczka, kiedy bezpowrotnie straciłam nadzieję na zrobienie kariery radiowca. Lokalna rozgłośnia w Krośnie, w której byłam zatrudniona, zbankrutowała. Siłą rzeczy, straciłam pracę. Wtedy właśnie zadzwoniła Haneczka, moja przyjaciółka jeszcze z liceum. Roztoczyła przede mną czarowną wizję podbicia stolicy i tymczasowo przygarnęła mnie do siebie. Wydawało mi się to urocze. Tylko wtedy jeszcze nie dość, że

nie adresowałam kopert, to byłam na dodatek nieświadoma, jak bardzo presja ustawiania w przedpokoju butów od najniższych do najwyższych może wpłynąć na psychikę człowieka. Dzisiaj, dzięki edukacji Haneczki, już wiem. I dlatego miałam ochotę ją teraz udusić.

- Mam dość! - odpowiedziałam twardo i spojrzałam na Haneczkę wyzywająco. Będę szczerą: wtedy nie miałam nic przeciwko temu, żeby po raz pierwszy się z nią pokłócić. Życie było wystarczająco podłe, o czym już wspominałam, aby jeszcze zadrećcać się udrećzoną miną Haneczki na widok źle ustawionych butów. Ale to nie wszystko, bo nie chodziło tylko o buty. Miała ona jeszcze wiele innych równie niewdzięcznych wad, o których długo by mówić, dlatego zostawię to sobie na inną okazję. Zresztą nie obgaduję przyjaciółek nawet wtedy, gdy mam ochotę je udusić.

- Dobrze, dobrze, to zostaw - poddała się od razu, co było podejrzane. Haneczka nigdy nie poddawała się od razu, a zwłaszcza wtedy, gdy na coś się uparła. Teraz się uparła, że pomoże mi znaleźć pracę. W jej wydaniu ograniczało się to do potwornie irytujących haseł typu: „na pewno coś się znajdzie” lub „nie załamuj się, będzie dobrze”, no i oczywiście do motywowania na zasadzie: „adresuj dalej”. Skoro Haneczka poddała się tak łatwo, mogło to oznaczać tylko jedno: miała plan.

- Ubieraj się, mam plan. - Na szczęście dla mnie nie należała do osób, które długo trzymają innych w niepewności.

- Muszę zanieść znajomej zdjęcia lokali, które mogą być wynajmowane do filmów, a przy okazji ty pójdziesz na casting.

Wyjątkowo nie dyskutowałam. Ponieważ pierwszy raz od dwóch tygodni powiedziała coś rozsądnego, postanowiłam odłożyć kłótnię na kiedy indziej.

Co za cud! Przynajmniej na trzy godziny zapomnę o adresowaniu kopert! Co prawda miałam tysiąc uwag typu: po kiego diabła mam iść na jakiś casting, jeszcze nie oszalałam i nie mam zamiaru robić z siebie idiotki. Z drugiej strony jednak... bardzo mnie korciło, żeby zobaczyć, jak wygląda casting!

- Numer, imię, nazwisko, wiek, zainteresowania, dorobek.

- Numer... - spojrzałam na kartkę, którą dostałam przy wejściu - 452. Nazywam się Iza Strzelecka, mam dwadzieścia pięć lat, moją pasją jest muzyka, a największym marzeniem od zawsze była praca w radiu. Pracowałam tam nawet przez ostatnie dwa lata, ale stacja zbankrutowała. Dorobiłam się... hm, w sumie niczego oprócz kota.

- Dorobek filmowy, pytałem.

- Żaden.

- Szkoła?

- Muzyczna w Krakowie.

- A filmowa lub teatralna?

- Nie.

Szepty. Komisja składająca się z dwóch panów i pani oraz jeszcze jednego pana obsługującego amatorską kamerę wideo wreszcie ucichła i popatrzyliśmy na siebie w milczeniu.

- Proszę się zaśmiać, lewy profil, prawy profil, rozpuścić włosy, stanąć tyłem, przejść się po pokoju tam i z powrotem, dziękujemy, do widzenia, będziemy dzwonić.

I to wszystko. Nie powiem, żeby mnie to NIE rozczarowało.

Rozczarowało.

Spodziewałam się czegoś... No dobra, nie miałam pojęcia, czego się spodziewać, ale nie sądziłam, że będzie to trwało najwyżej dwie minuty!

Spojrzałam z rozczarowaniem na Haneczkę, która właśnie otwierała usta z miną typową dla wypowiedzanego przez nią

„nie przesadzaj”, ale chyba odbyła krótką konsultację ze swoim Aniołem Stróżem, bo w końcu nie powiedziała nic, tylko szybko je zamknęła. Miała szczęście, bo przysięgam, gdybym usłyszała tę radę po raz kolejny, na pewno nie skończyłoby się to dobrze dla Haneczki!

- To tylko rekrutacja do agencji - odezwała się jednak, ale dopiero po przemyśleniu spraw życia i śmierci. - Potem reżyserzy oglądają kasety, wybierają osoby i wtedy zapraszają na prawdziwy casting.

No nie. Życie jest podłe. Nawet nie widziałam prawdziwego castingu!

Po tygodniu udało mi się - z trudem, bo z trudem, ale jednak - to przeboleć. Niestety, nie dzięki sile własnego charakteru, lecz raczej za sprawą najlepszej, genialnie prowadzonej, ze świetną muzyką i rzetelnymi informacjami lokalnej rozgłośni Moje Radio. Co prawda dopóki nie natknęłam się na małą informację w Panoramie firm, nigdy o takiej stacji nie słyszałam (już nie mówiąc o słuchaniu TEJ rozgłośni), ale teraz szczerze tego żałuję i obiecuję, że jak tylko uda mi się ją odnaleźć w eterze, będzie to moje ulubione radio i naprawdę będę go słuchać. Bo na pewno jest świetne. A z całą pewnością - świetnie prowadzone! Zresztą co innego można powiedzieć o firmie, która nie zaczyna od wywalania wszystkich nadesłanych kopert do kosza, tylko zadaje sobie trud, by je rozedrzeć, wydobyć CV, odnaleźć w nim telefon i zaprosić na rozmowę kwalifikacyjną?

Tak, tak. Moje Radio zaprosiło mnie na rozmowę kwalifikacyjną!

Wiem, to jeszcze żaden sukces, ale i tak śpiewało mi już coś w duszy!

- Ma pani ogromną wiedzę i spore doświadczenie - powiedziała mi na dodatek jakaś pani podczas tej rozmowy. Przyjrzałam się jej uważnie. Doszłam do wniosku, że sprawia

wrażenie rozsądnej. Wyglądała na osobę godną tego, bym w przyszłości spróbowała się z nią zaprzyjaźnić. Nie ma co, ujęła mnie! - Będziemy dzwonić - obiecała na koniec, więc i ja obiecałam, że będę cierpliwie czekać. Jak inaczej można zareagować na obietnicę nowej przyjaciółki?

Postanowiłam dać jej trochę czasu i nie wgapiać się nerwowo w telefon przez najbliższą godzinę. Tym bardziej że nie miałam go przy sobie. Wyglądało na to, że zapomniałam go zabrać z domu.

Nie szkodzi. Zwłaszcza że w duszy śpiewało mi cały czas. Nawet jakby bardziej. Nie zwracałam na to specjalnej uwagi, ale inni klienci w sklepie tak.

- Wiedziałam! Pijana! - skwitowała jakaś pani, gdy poprosiłam ekspedientkę o dwie butelki szampana.

- Życie jest piękne! - poinformowałam ją śpiewnie w odpowiedzi i zabrzdakałam melodyjnie butelkami, bo zawsze uważałam, że harmonia dźwięków jest bardzo ważna. Pasażerowie w autobusie sądzili jednak inaczej. Butelki w siatce wdzięcznie obijające się o poręcze nie budziły specjalnego entuzjazmu. Trudno. Wzruszyłam ramionami na ten brak wrażliwości muzycznej, bo dzięki temu, że ludzie się ode mnie odsuwali, miałam więcej poręczy dla siebie i mogłam bardziej rozwijać dźwięki stanowiące mój akompaniament.

W drodze do domu przy radosnym brzdęku butelek nabierałam coraz większej wiary w rysujący się przede mną mglisty jeszcze obraz przyszłości.

- Trzeba to uczcić! Toastem! - zawołałam na progu do Haneczki, ale nie usłyszałam odpowiedzi. Może dlatego że jej nie było. To znaczy nie było odpowiedzi, bo nie było Haneczki. Nie szkodzi, odpowiedziałam zatem sama sobie, a że nie wypadało mi już dłużej czekać, bo podskórnie czułam, że Mojemu Radiu po prostu się to należy, wystrzeliłam

pierwszy korek. Mglisty obraz jakby się nieco wyostrzył. Udało się! Byłam na rozmowie kwalifikacyjnej w Moim Radiu! Za Moje Radio! - wzniosłam pierwszy toast, bo naprawdę na to zasłużyło. Bądź co bądź zastanawiali się tam, czy mnie w nim nie zatrudnić! Upiłam łyczek. Nad czym się jeszcze niby zastanawiali? Przecież pani wyraźnie powiedziała, że mam wiedzę i doświadczenie, i obiecała, że zadzwoni. Upiłam drugi. Na wszelki wypadek podejrzliwie popatrzyłam na telefon. Stacjonarny, bo komórki nie mogłam znaleźć. Ten też nie dzwonił. Nie szkodzi. Ona się nie zastanawiała, ona mnie CHCIAŁA zatrudnić! Nalałam sobie kolejny kieliszek, bo ten zrobił się już pusty, a ja poczułam się w obowiązku wnieść kolejny toast. Za Moje Radio! Tak, zdecydowanie mu się należało. W końcu będę tam miała audycję. Tak!... Ale tu mnie trochę przystopowało. Tylko jaką audycję? Na szczęście przy kolejnym kieliszku mglisty obraz przestał być mglisty, a stał się już prawie całkiem wyraźny. Najlepszą audycję! Z najlepszą muzyką! Taką, że tych dziesięciu na krzyż słuchaczy nie będzie się mogło doczekać następnej i następnej! Mało tego. Zaczną opowiadać o niej przyjaciołom i rodzinie. Tamci będą z kolei opowiadać swoim przyjaciołom i swojej rodzinie, i oto, proszę państwa, spektakularny sukces! Aby go uczcić, poczułam się w obowiązku wystrzelić drugi korek, tym bardziej że pierwsza butelka złośliwie zdążyła się już zrobić pusta. Najlepsza audycja w naszym kraju! Już nie tylko w lokalnym radiu! Liczba słuchaczy tak się powiększyła, że teraz to stacja o zasięgu krajowym, europejskim, światowym! Jest tak popularna, że słuchacze chcą być nie tylko słuchaczami, lecz także widzami. O zatrudnienie mnie biją się telewizje muzyczne, i nie tylko muzyczne. Każda chce mieć w programie moją listę przebojów, zapraszają mnie na największe imprezy, paraduję po czerwonych dywanach,

udzielałam wywiadów, ludzie piszczą na mój widok, a tajemniczy wielbiciele przysyłają mi kosze kwiatów... Jestem sławna, bogata i życie jest takie piękne!

Hm, jest piękne. Jeszcze tylko muszą do mnie zadzwonić.

- Życie jest piękne... - zwierzyłam się, jestem tego pewna, tylko trochę niewyraźnie, gdy tylko Haneczka wieczorem wróciła do domu. Mój entuzjazm już dawno opadł, za to szampan wprowadził niepokój. - Dlaczego jeszcze nie dzwonią? - żaliłam się Haneczce, która usiłowała coś do mnie powiedzieć, machając na dodatek moim telefonem. Po co ona nim wymachuje? Niestety, nie za bardzo mogłam wysłuchać po co, bo miałam ważniejsze problemy na głowie. Dlaczego jeszcze nie zadzwonili? Tak, było to trochę zastanawiające, biorąc pod uwagę, że w międzyczasie nie wydarzył się żaden kataklizm. Nic przecież nie zerwało linii telefonicznych, w tamtej okolicy nic nie spłonęło ani nie zostało zalane, nie było żadnego huraganu, tajfunu ani trzęsienia ziemi! Takie rzeczy w minimalnym stopniu tłumaczyłyby opieszałość Mojego Radia, ale mieli tam telefony komórkowe, więc mimo wszystko daliby radę zadzwonić. Przecież chodziło o spektakularny sukces naszego radia! Nie, nie, nie miałam wątpliwości, czy w ogóle zadzwonią. Bo to akurat przecież mi obiecali.

Obok coraz bardziej bełkotliwie - charkotliwego śpiewu duszy rozbrzmiewało we mnie uporczywie pytanie: dlaczego jeszcze tego nie zrobili?

Następnego dnia rano już nic nie brzmiało. Raczej waliło. Mimo rytmicznej regularności nie przypominało jednak żadnej muzyki, lecz w odgłosie - młot pneumatyczny, a w odczuciach bardziej imadło. Tylko jakim cudem coś mogło jednocześnie miażdżyć mi głowę i zatykać gardło? Spróbowałam to jakoś zanalizować, ale umysł odmówił współpracy. Żadnych pytań. Żadnych odpowiedzi. Nie dało

się już dłużej tego przed sobą ukrywać. Miałam gigantycznego kaca.

- Chcę umrzeć - wyjęczałam z bólem, gdy odkryłam, że jedyne, co mogę i co sprawia mi jakąś ulgę, to jęczenie.

Dobrze. W takim razie będę jęczeć.

Co za licho mnie wczoraj podkusiło, na te - nie wiedzieć dlaczego aż dwie - butelki szampana?!

Oj, nie, jęknęłam, bo imadło w gardle na samo wspomnienie alkoholu poruszyło się jakoś zdradziecko. Na dodatek młot pneumatyczny zsynchronizował się z terkotem telefonu i teraz pospołu świdrowały mi mózg tak, że byłam bliska odkrycia, czym jest piekło.

- Halo? - uratowałam się chwilowo od młota, za to sięgnięcie po słuchawkę nieznośnie wpłynęło na ucisk imadła, dla odmiany na głowie! Panie Boże, za co? - Tak, oczywiście - powiedziałam ugodowo do słuchawki, bo aż nadto dobrze przypominałam sobie za co. Liczyłam teraz tylko na to, że ugodowość zmiękczy serce Pana Boga na tyle, że łaskawie zdecyduje się on zabrać imadła i młoty.

- To świetnie - ucieszyła się nie wiedzieć czemu słuchawka. - W takim razie proszę przygotować te teksty i o czternastej będzie pani miała przesłuchanie. Tylko proszę przyjść punktualnie, umówione są też inne kandydatki.

- Tak, oczywiście - przytaknęłam znowu, tym razem trochę głośniej, bo pierwszego potwierdzenia Bóg chyba nie usłyszał, w każdym razie młot i imadło wrednie działały dalej.

Jejku! Odłożyłam słuchawkę i ponownie zaczęłam jęczeć. Czulałam, że dziś właśnie to będzie mi wychodziło najlepiej. Dlaczego ja wczoraj piłam? Zaraz, zaraz... Jakaś mgła była. I jakiś ogromny sukces. Mój chyba, bo za czyjś bym tyle nie wychłała. Taaak. Jakieś kwiaty, dywany, audycja... Rany!

Audycja! Radio! Zaraz, zaraz. Przesłuchanie? O jakie przesłuchanie im chodzi?

- Szczęściara! Wczoraj przez pół dnia dzwonili, a nie wiem, jakim cudem miałam w swojej torebce twój telefon - powiedziała Haneczka, wchodząc do pokoju. To akurat mogłam jej wyjaśnić. Gdyby nie kupiła identycznej torby, jaką ja nosiłam, pewnie bym go wrzuciła do swojej. - Przysłali teksty i chcą, żebyś jak najszybciej się do nich zgłosiła. Usiłowałam ci to wieczorkiem powiedzieć, ale jedyne, co cię wczoraj interesowało, to tylko jak często w naszym kraju szaleją tornada. Nie wiem, po co ci to potrzebne, ale na wszelki wypadek sprawdziłam. Nigdy u nas żadnego nie było.

Trochę czasu zajęło mi przetrawianie tego, co Haneczka właśnie powiedziała. Ale nie chodziło o tornada. Wreszcie jakoś udało mi się cokolwiek zrozumieć.

- Jejku - jęknęłam na koniec, bo cały czas czułam, że tylko to wychodzi mi dobrze, a w tym momencie rozpaczliwie potrzebowałam czegokolwiek pozytywnego. - Za jakie grzechy mam iść dzisiaj na to cholerne przesłuchanie?!

Dlaczego? Dlaczego zawsze tak się dzieje? Gdy tylko zdarzy mi się upić, a zdarza się to naprawdę bardzo rzadko, właśnie zawsze wtedy narzeczony zabiera mnie na pierwszy obiad do potencjalnej teściowej albo już po tym wydarzeniu nowy aspirujący pragnie zaprosić mnie na randkę, albo, tak jak teraz, nagle ktoś zaprasza mnie na przesłuchanie. Czy to nie jest prawdziwa złośliwość losu? Pomijając młot pneumatyczny, pomijając imadło, dlaczego zawsze na kacu mam głos zachrypniętej do cna ropuchy?

- Mamy coś na kaca? - wychrypiałam z nadzieją do Haneczki.

- Masz - powiedziała moja najdroższa, najlepsza przyjaciółka i podała mi rozpuszczony w wodzie specyfik.

Najważniejsze jest pierwsze wrażenie

Chyba tylko dzięki temu udało mi się jakimś cudem dojść do siebie. Co prawda nadal nie przejawiałam tej spowitej aksamitem witalności, jaką chciałabym prezentować na przesłuchaniu, ale przynajmniej byłam w stanie powstrzymać się od jęczenia przez dobre piętnaście minut. W mojej obecnej sytuacji był to naprawdę wyczyn!

- Zjedz coś przed wyjściem, naucz się tekstu, przyjdź później, niż powinnaś, najlepiej nie zjawiaj się tam wcześniej niż o szesnastej i niczym się nie denerwuj - powiedziała do mnie Haneczka przed wyjściem (oprócz konieczności ratowania przyjaciółek na kacu miała jeszcze swoją pracę). Wiedziała, co mówi. Skończyła szkołę aktorską i swego czasu chodziła na wszelkiego rodzaju castingi, przesłuchania i eliminacje. Jednak dość szybko zmadrzała na tyle, by zająć się handlem nieruchomościami i żyć z tego lepiej niż większość koleżanek i kolegów, którzy pozostali przy zawodzie. Jeżeli nawet w sprawie przesłuchań nie była ekspertem, to i tak miała dużo większe doświadczenie niż ja.

Ale choć ufam Haneczce jak nikomu na świecie, nie tknęłam jedzenia, bo na sam jego widok robiło mi się niedobrze.

Za to przeczytałam tekst, zdziwiłam się, czemu to dialog, skoro radio w głównej mierze polega na monologowaniu, ale dłużej nie miałam siły się nad tym zastanawiać. Całą energię musiałam zresztą skupić na tym, aby mimo wszystko spróbować się go nauczyć. Marnie mi to wychodziło, dlatego nie zastosowałam się do ostatniego zalecenia Haneczki. Nie mogłam wysiedzieć w domu i na wyznaczone spotkanie na wszelki wypadek przyszłam godzinę wcześniej. Źle bym się czuła, gdyby ktoś musiał na mnie czekać.

- Proszę wypełnić formularz i czekać na swoją kolej - poleciła mi pani w recepcji z wyraźną naganą w głosie.

- Dziękuję - odpowiedziałam ze skrucą i pożałowałam, że nie przyszedłam jednak punktualnie. W holu kłębił się tłum dziewczyn i jak to bywa w miejscach, gdzie zbiorą się więcej niż trzy, panował straszliwy harmider. Nic dziwnego, że recepcjonistka była zła. Skoro każda z nas postanowiła przyjść wcześniej, musiało jej to potwornie utrudniać pracę!

- Następna! - z drugiego końca holu doleciał do mnie stłumiony głos jakiegoś faceta. Spojrzałam na zegarek. Parę minut po pierwszej. Bardzo dobrze.

Akurat przez ten czas znajdę wolne krzesło, gdy tylko przestaną mi latać mroczyki przed oczami (dojazd naprawdę mnie wykończył), postaram się może jakoś zapamiętać tekst (cały czas miałam problem z didaskaliami), a przede wszystkim... będę podtrzymywać w sobie niezachwianą nadzieję, że magicznym sposobem głos żaby zmieni się w głos księżniczki.

Nie, nie denerwowałam się. Na kacu jest to niewykonalne zadanie - skoro ciężko nawet istnieć, nie ma cudów, nie ma się już sił, aby cokolwiek się denerwować. Trochę szkoda. Gdyby zostało mi ich chociaż odrobinę, może ucieszyłoby mnie, że udało mi się znaleźć choć jeden plus tego stanu.

Tymczasem sytuacja pogarszała się dramatycznie. Polowania na kolejne krzesła kończyły się fiaskiem. Nawet w pełni sprawności fizycznej i umysłowej nie byłoby to proste, biorąc pod uwagę silną i z dużym rozeznanem wywijającą łokciami przy przepychaniu się konkurencję. Co dopiero w tym trudnym momencie mojego życia, tak mało sprzyjającym jakiegokolwiek dynamice!

Po kolejnej porażce jasno zdałam sobie sprawę: nie mam szans.

Niestety, silna potrzeba chociaż chwilowej przerwy w walce z grawitacją coraz napastliwiej domagała się zaspokożenia. Po przeanalizowaniu realnych możliwości

zdobycia krzesła (to znaczy policzeniu krzesel oraz tych wszystkich dziewczyn, które chciały na nich usiąść) zmieniłam taktykę. Nastawiłam się na zdobycie przynajmniej jakiegoś kawałka podłogi. Szansa pojawiła się szybciej, niż się spodziewałam. Wykorzystując zamieszanie (zwolniło się właśnie jakieś krzesło), usiadłam na ziemi.

Jezu! Jak dobrze! Nie wiem, jaki wpływ ma pozycja siedząca na wzrost intelektu, ale wprost czułam, jak znów wracają mi zdolności myślowe.

- Przepraszam bardzo... - jakaś dziewczyna chciała przejść do toalety i oczywiście uparła się na tę jedną, na drodze do której akurat siedziałam. Jakby w takim wielkim budynku była tylko jedna łazienka. Albo jakby nie mogła takich potrzeb zaspokajać w domu.

- Jasne, oczywiście - mimo wszystko odpowiedziałam jej uprzejmie i podniosłam się, by umożliwić przejście.

- Przepraszam... - po chwili wystarczającej, abym z powrotem usiadła, dwie inne stamtąd właśnie wracały.

- Tak, nie ma problemu... - odpowiedziałam miło.

- Czy mogę? - Recepcjonistka, zamiast siedzieć spokojnie na swoim miejscu, musiała akurat dostać się do stojącej obok łazienki szafy.

- Ależ proszę... - wydusiłam już przez zęby. - Przepraszam... - niepotrzebnie z powrotem siadałam, wiadomo było, że będzie musiała wrócić.

Nie! Poddałam się. To ciągle wstawanie i siadanie było jeszcze bardziej męczące niż walka o krzesło. Przeciwno takim mękom natychmiast zaprotestował mój instynkt samozachowawczy. Nie mogłam tam siedzieć. Ale żeby nie umrzeć, musiałam znaleźć chociaż kawałek wolnej ściany.

Miałam szczęście. W chwili gdy zdążyłam pomyśleć, że chyba zaraz zemdleję, zwolniło się miejsce pod ścianą tuż koło mnie.

Oparłam się. Średnio wygodne, ale trzeba umieć cieszyć się nawet z małych rzeczy, toteż spróbowałam na razie na ten temat nie myśleć i rozejrzałam się wreszcie porządnie po sali.

Coś było nie tak. Coś było potwornie nie tak.

Te dziewczyny! Odkryłam to, gdy zaczęłam się każdej po kolei przyglądać.

Dlaczego na przesłuchanie do radia przyszły tylko takie o wyglądzie top modelek ściągniętych na dodatek prosto z wybiegu jakiegoś superznanego projektanta kostiumów kąpielowych? Niewątpliwie to musiał być superznany projektant. Inaczej naprawdę nie byłoby powodu, żeby zamiast normalnej bluzki włożyć na siebie coś, co albo było przezroczyście, albo prawie wcale tego nie było.

Hm... Nagle sparaliżowała mnie potworna obawa. Chyba nie mam aż takiego kaca, aby w delirce widzieć roznegliżowane kobiety?! Kontrolnie spojrzałam na siebie.

Rany!!!

Wcale mnie to nie uspokoilo.

Nie. Nie dlatego, że siebie też zobaczyłam roznegliżowaną. Do tego widoku byłam już przyzwyczajona od ładnych paru lat, więc wyjątkowo nie chodziło o moje kompleksy. Było jeszcze gorzej. Cały czas, niestety, wyglądałam tak, jakbym na ostrym kacu, naciągając na siebie, co było pod ręką, i nie mogąc jeszcze na dodatek znaleźć szczołki, Hm. Czyżby właśnie z tego powodu one patrzyły na mnie tak dziwnie?

Bez przesady, w radiu nie liczy się wygląd. W radiu liczy się głos - pragnąc mnie pocieszyć, ponownie odezwał się mój głos wewnętrzny. Niestety, nie udało mu się. Też był zachrypnięty. Nie dało się zapomnieć, że głos dzisiaj nie był moją najmocniejszą stroną.

Nie wyglądało to dobrze. To nie był chyba najlepszy dzień na przesłuchanie!

Ale nie chciałam poddać się czarnym myślom, dlatego postanowiłam skupić się na jakichś konkretach.

- Przepraszam, przy czytaniu didaskaliów wymagają dużej zmiany intonacji? - spytałam dziewczynę, która akurat wyszła z pokoju przesłuchań i na chwilę stanęła obok.

- Hy? - chyba nie zrozumiała. Rany, nie wiedziałam, że gdy mam kaca, siada mi na dodatek dykcja. - Znaczy, ja nic nie zmieniałam! Mówiłam Weronikę, bo nic innego przecież nie wymagają! - dziewczyna wyraźnie się zdenerwowała, ale ja zajęłam się już swoimi sprawami.

Hm. Tekst Weroniki... Właściwie to ona nic nie mówi, poza jakimiś „hm, nie wiem, może” i „a ty co o tym myślisz”. Zresztą facet, z którym rozmawia, Sebastian, też nie ma tu wiele do powiedzenia. Za to dużo było mrugania, przewracania oczami i wydymania policzków. No tak, pewnie chodzi im o modulację głosu i kumulację ekspresji, a to przecież jest najtrudniejsze - pokiwałam głową z uznaniem nad zmyślnością tutejszych radiowców. Niby małe radio, a taki profesjonalizm. W moim starym kazaliby przeczytać to wszystko bez zwracania uwagi na tak istotne szczegóły i niuanse. Nic dziwnego w takim razie, że zbankrutowało.

Tutejszy profesjonalizm ucieszył mnie też z innego powodu. Będę mało mówić, a to znaczy, że będę mało chrypieć.

Zauważyłam światelko w tunelu. Jeszcze miałam szansę.

Ta nadzieja pozwoliła mi z większym optymizmem spojrzeć w przyszłość. To znaczy na zegarek. Niech to szlag! Podczas walk o miejsce do siedzenia przegapiłam moją godzinę.

Nic nie szkodzi, nic nie szkodzi, tłumaczyłam sobie pocieszająco, przepychając się powoli w stronę pokoju przesłuchań. Bardzo przeproszę tego faceta od wywoływania, że nie usłyszałam, kiedy była moja kolej. Na pewno zrozumie.

Tu jest taki harmider, że przecież nie sposób było usłyszeć! Ale wielka gula w gardle i tak rosła mi coraz bardziej. Nie, tylko nie to! Nie przegapię szansy tylko dlatego, że tak się zaperzyłam przy tych krzesłach, że koniecznie musiałam wbić jakiejś dziewczynie łokieć pod zebra. Prawda?

Zapukać? Mogą nie usłyszeć. Może od razu wejść? Nie. Głupio. Tam przecież ktoś siedzi w środku i ma przesłuchanie, nie będę przeszkadzać. No tak, ale jak się nie pokażę, to oni mogą pomyśleć, że w ogóle mnie tu nie było i więcej mnie nie wywołają! - łamałam się pod drzwiami, nie wiedząc, co właściwie powinnam zrobić.

- Następna! - W tym momencie drzwi się otworzyły, więc zareagowałam instynktownie. Cóż, czasem trzeba umieć złapać byka za rogi, prawdziwe szczęście, że naprawdę jestem w tym niezła.

- Przepraszam, że przeszkadzam... - wyszeptałam nieśmiało.

- Zaraz, po kolei - burknął ten przy drzwiach i zanim zdążyłam otworzyć usta, zatrzasnął drzwi z powrotem.

- Nie szkodzi, nie szkodzi - wymamrotałam w odpowiedzi, ale tak naprawdę zdenerwowałam się jeszcze bardziej. Cholera. Bez taktyki się nie obejdzie. Jak wyjrzy następnym razem, od razu bez wstępów trzeba mu wszystko wyjaśnić. Uknułam chytry plan i zadowolona ze swojego sprytu przyczaiłam się, czatując przed drzwiami...

Wreszcie klamka drgnęła.

Przygotowałam się do ataku. Klamka zaczęła opadać, baaardzo powoli. Spięłam wszystkie mięśnie. Struny głosowe już mi drgały w niecierpliwym oczekiwaniu artykulacji. I wreszcie! Drzwi się uchyliły...

- Przepraszam, ja miałam wejść już dużo wcześniej - wytrajkotałam jak katarynka prosto w twarz niebotycznie

zdumionej, wychodzącej z przesłuchania dziewczynie. - E... - dodałam w ramach przeprosin, bo mnie też trochę zatkało.

- Spryciara! - w tym momencie wężowym ruchem pomiędzy drzwi a mnie wsunęła się któraś top modelka. Musiała być top modelką. Ktoś o normalnych rozmiarach w życiu by się w tej przestrzeni nie zmieścił. - Ledwo tu przysła, a już chce się wepchać bez kolejki. Nieładnie - wysyczała jadowicie w moją stronę.

- Ale naprawdę! Jestem tu już od trzynastej. - Niestety, drzwi zdążyły się już za nią zamknąć, toteż mojej bezradnej skargi wysłuchiwała jedynie klamka.

- Przepraszam - z odrętwienia wyrwała mnie jakaś dziewczyna, która z błagalnym wyrazem twarzy ciągnęła: - Teraz to tak naprawdę powinnam wejść ja... Już przepuściłam dwie koleżanki, które inaczej spóźniłyby się na pociąg, a teraz boję się, że to ja się spóźnię! - i zręcznym ruchem znalazła się przede mną.

- Oj, nie ma sprawy, proszę, proszę! - powiedziałam do jej pleców. Chyba nie słyszała, bo już gadała przez swój telefon komórkowy.

- Sorki! - z impetem wpadła na mnie jakaś dobrze zbudowana kobieta, aż odrzuciło mnie na dwa kroki. - Puść nas, moja kumpelka fatalnie się czuje, już dwa razy byłam z nią na dworze, nie chciałabym, żeby jej to przepadło, ale za chwilę może po prostu nie dać rady - powiedziała szybko i nie czekając nawet na moją reakcję, krzyknęła: - Zola! Zola! Chodź tutaj! Mamy kolejkę!

Po sekundzie tuż przede mną stała już Zola. Całe szczęście. Dzięki temu nie musiałam więcej denerwować się o jej samopoczucie. Gdy tylko Zola stanęła przede mną, natychmiast zaczęła wyglądać zdrowo i kwitnąco. Widać ten ostatni pobyt na świeżym powietrzu naprawdę bardzo jej pomógł.

- Moja chora matka właśnie trafiła do szpitala, czy...

- Tak, oczywiście! - ustąpiłam miejsca ponownie, bo było mi już wszystko jedno. A potem znów ustąpiłam.

I jeszcze raz. I jeszcze...

Kiedy tym sposobem ponownie znalazłam się w najbardziej odległym od pokoju przesłuchań punkcie korytarza (czyli znów pod drzwiami łazienki), byłam pod ogromnym wrażeniem kobiet o wyglądzie top modelek i generalnie całego show - biznesu.

Tyle fałszywych opinii krąży o tym środowisku. Tyle niesprawiedliwych oskarżeń rzuca się pod adresem tych biednych dziewcząt.

I to mają być te wredne manipulatorki, zimne egoistki bez zasad, po trupach dążące do celu? Przepraszam, ale nie słyszałam nic bardziej kłamliwego. Stercząc w oczekiwaniu na przesłuchanie już którąś godzinę z rzędu, byłam coraz bardziej wzruszona ich wrażliwością, dobrocią serca, czystą bezinteresownością i nieopanowaną potrzebą pomocy bliźnim. Ujmowało mnie to do tego stopnia, że w pewnym momencie zaczęłam mieć wyrzuty sumienia, że myśląc tylko o swoim przesłuchaniu, chciałam się wdrzeć do środka i nie oglądając się na żadną z nich, załatwić swoją sprawę. O, nie! Też zapragnęłam uczestniczyć w tym szerzeniu dobra.

- Proszę, proszę, wejdź przede mną! - powiedziałam (szczerze uszczęśliwiona, że mogę pomóc) kolejnej osobie, gdy niechcący usłyszałam, jak mówi przez telefon, że martwi się o swoją głodną i bardzo chorą koleżankę czekającą samotnie w domu na kogokolwiek, kto podałyby jej chociaż talerz ciepłego rosółu... Swoją drogą ludzie z show - biznesu powinni bardziej na siebie uważać. Zdążyłam się już zorientować, że panuje wśród nich prawdziwa epidemia.

Ponieważ byłam ostatnia, nie zdziwiłam się, że dziewczyna w odpowiedzi wzruszyła jedynie ramionami i razem z telefonem przeniosła się na czoło kolejki.

Bądź szczerą

Reżyser czuł, jak narasta w nim desperacja.

Nic dziwnego. Mijał szósty dzień castingów i wciąż nie mógł znaleźć głównej aktorki.

Był reżyserem. Artystą. Kochał to, co robił, i przez całe dotychczasowe życie wydawało mu się, że nic tego nie zmieni. Teraz jednak powoli zaczynał się łamać. Coraz częściej żałował, że wybrał właśnie ten zawód. Dlaczego w młodości nie został producentem? Zdawał sobie co prawda sprawę z tego, że bycie producentem nigdy nie wydawało mu się szczególnie pociągające. Zwłaszcza perspektywa ciągłego kłócenia się ze wszystkimi o pieniądze nie wyglądała urzekająco, tym bardziej że był naturą ugodową i skłoną do kompromisów w prozaicznych i banalnych sprawach. Pieniądze zawsze wydawały się Reżyserowi czymś prozaicznym i banalnym. Co innego artystyczny przekaz, spójność, merytoryka i wewnętrzna melodia dzieła...

Rozmarzył się, ale szybko mu przeszło. No tak. Nie ma co się rozmarzać, skoro i tak Producent zatwierdza wybraną przez niego obsadę. Przy większości pomniejszych ról nie było aż tak źle i jakoś się dogadywali. Niestety, w większości produkcji zawsze była jakaś główna rola. W tej też.

- Nie, nie, nie! - powiedział Producent na trzy kolejne propozycje aktorek, które z powodzeniem mogły to zagrać. - One grają już wszędzie, są za bardzo znane!

Reżyserowi akurat to kompletnie nie przeszkadzało, tym bardziej że nie miał w domu telewizora, więc i tak ich nigdzie nie oglądał.

- Grają? To chyba dobrze, przynajmniej wiedzą, jak to robić - odpowiedział celnie Producentowi.

- Nie, nie, nie! - Producent, którego zboczeniem zawodowym było zaczynanie większości wypowiedzi w ten

sposób, pokręcił głową z dezaprobatą. - Potrzebujemy nowej twarzy. Na niej oprzemy całą promocję.

Następnie przysłał Reżyserowi córkę jednego ze swoich przyjaciół, która była nową, nikomu nieznaną twarzą, ale przed kamerą się rozplakała i wyznała, że za bardzo się wstydzi. Reżyser rozpoczął kolejną serię castingów. Nie poszły dobrze, bo najlepsza dziewczyna, która przejawiała jakiś cień talentu, niestety nie spodobała się Producentowi.

- Ona jest... eee... - powiedział Producent po obejrzeniu kasety z castingu i zamilkł, bo nie mógł znaleźć odpowiedniego słowa. - Tego... eee... nie jest ładna. - Po dłuższej chwili intensywnego myślenia wybrnął wreszcie z impasu. - W bohaterce kocha się wielu mężczyzn, nie może mieć śladów po ośnie i krótszej nogi.

- Jest zdolna, może to zagra? - zaryzykował z przekonaniem Reżyser, ale Producent i tak przysłał mu swoją kolejną kandydatkę, siostrzenicę jednego ze sponsorów. Była piękna i nie płakała, ale zapowiedziała od razu, że na pewno płakać nie będzie, bo nie zniosłaby tego, że ktokolwiek mógłby ją filmować z rozmazanym makijażem. A gdy chwilę później miała zagrać rozpacz, szczęście, strach i zdziwienie, kompletnie nie zmieniła wyrazu twarzy. Nie może tego zrobić, wyjaśniła. Stara się opanowywać emocje, bo boi się zmarszczek mimicznych.

Dlatego Reżyser czuł narastającą desperację. Im dłużej przeprowadzał castingi, tym bardziej, oczywiście, rosły oczekiwania Producenta i w tym większą ruinę popadały nadzieje Reżysera, że kiedykolwiek uda mu się znaleźć odpowiednią dziewczynę.

- Nikomu nieznaną, amatorką, ale żeby nie bała się kamery, nie żadna wyfiokowana lalka Barbie - wymieniał kolejno zadowolony z siebie Producent co najmniej tak, jakby składał zamówienie w McDonalddie. - Chcę taką zwykłą,

przeciętną, nieafektowaną dziewczynę, która nie jest jeszcze zmanierowana wielkim miastem, może być lekko zaniedbana.
- Tu Producent spojrział na Reżysera i dodał pospiesznie: - Ale pamiętaj. Bez żadnej ospy na twarzy i krótszej nogi. Natomiast ważne jest, żeby miała w sobie coś tajemniczego. Tajemniczego!

*

Było już późno. Wiedziałam o tym, chociaż nie spojrziałam nawet na zegarek. Zrobiło się ciszej i korytarz zaczął wyraźnie pustoszeć. Nie przejełabym się tym (po wielu godzinach czekania człowiek nie wzrusza się już tak łatwo), gdyby nie to, że zwolniło się jedno krzesło.

Nie zerwałam się. Obawiałam się, że po tak długim siedzeniu na podłodze nie byłoby to takie proste. Poza tym nie ufałam tym aspirującym do radia top modelkom. Poznałam je już na tyle, by wiedzieć, że i tak któraś czai się w pobliżu i w ostatniej chwili usiądzie na krześle przede mną.

Mijały minuty. Zwolniło się drugie.

Wahałam się. Z jednej strony byłam wykończona siedzeniem w tej pozycji, ale proces zmiany miejsca wymagał zbyt dużo energii. Gdyby została mi jej jakaś odrobina, wolałabym spożytkować ją na przemieszczenie się do domu. Co najmniej od godziny tkwiłam tu jeszcze tylko siłą rozpędu. Nie myślałam już o przesłuchaniu. Miałam niejasne wrażenie, że jedyne, czym mogłabym na nim zabłysnąć, to tempo zasypiania, gdy tylko opadną mi powieki.

Krzesło z perspektywy podłogi wyglądało coraz bardziej kusząco.

- Następna!

Haneczka nie miała racji. Powinnam tu przyjść najwcześniej o dziewiętnastej. A wyjść piętnaście minut później.

- Halo! Proszę pani!

Chociaż... Jeśli się zastanowić, alternatywą i tak było jedynie dalsze adresowanie kopert...

- Halo! - z odrętwienia wyrwał mnie nagle wywołujący kolejne osoby facet, który nie wiedzieć czemu, wyszedł z pokoju przesłuchań i stanął przede mną. - Teraz pani, zapraszam.

Hm. Konieczność ruszenia się gdziekolwiek nie pociągała mnie ani odrobinę.

- Nie, poczekam, niech lepiej już wejdzie ta dziewczyna z angina - odpowiedziałam nieprzytomnie. Facet wyglądał na takiego, który ze wszystkich sił stara się zrozumieć, o czym, do licha, do niego mówię. Popatrzyłam na niego niepewnie, a dalsze słowa o chorobie top modelki jakoś ugrzęzły mi w gardle. Rozejrzałam się po kompletnie pustym korytarzu i na wszelki wypadek umilkłam. Ciągnięcie tematu nie wydawało mi się dobrym pomysłem.

- Idzie pani?

Niewiarygodne. Drzwi do pokoju przesłuchań wreszcie i dla mnie stanęły otworem.

*

- Ostatnia - powiedział Reżyserowi pomocnik. Reżyser westchnął ciężko. Znów nic z tego. Nieuchronnie czekał go więc kolejny dzień castingu. Reżyser nienawidził castingów, choć wielu jego kumpli (zwłaszcza spoza branży) dałoby sobie rękę uciąć za to, żeby choć raz go podczas nich zastąpić. Szczytem marzeń wydawało im się oglądanie tych wszystkich kokietujących, preżących się i wyginających na niemożliwe sposoby dziewcząt, pretendujących do jakiejś roli. Nie wiedzieć czemu, nigdy jeszcze żaden z nich nie wpadł na to, że oprócz atrakcyjnych kobiet w filmach zatrudnia się również zażywnych pięćdziesięciolatków. Oni kokietują, preżą się i wyginają w taki sam sposób, ale jest to widok, po którym długo potem można z panicznym krzykiem budzić się w

środku nocy. Oglądanie atrakcyjnych kobiet jest nieco przyjemniejsze, ale i tak po dziesiątej z kolei zaczyna się ziewać z nudów i marzyć o papuciach oraz gazecie.

*

- Dzień dobry - powiedziałam tępo, gdy weszłam do pokoju.

Niedobrze. Chyba powinnam wykrzesać z siebie więcej optymizmu. Spróbowałam więc wymusić na twarzy jakiś uśmiech, ale niestety mi się nie udało. Trudno. Było mi już wszystko jedno. Nie zauważyłam w pokoju żadnego wolnego krzesła, więc naprawdę na niczym tutaj bardzo mi już nie zależało.

- Proszę? - spytałam, bo chyba ktoś do mnie coś powiedział. Ale nie byłam tego pewna.

*

Ostatnia!

Reżyser na wszelkie sposoby usiłował zmobilizować się do otworzenia oczu, jednak zupełnie mu to nie wychodziło. Minęło właśnie dziewięć godzin, podczas których z pełnym poświęceniem i cierpliwością anioła podrzucał teksty Sebastiana kolejnym dziewczynom. Potencjalne gwiazdy za wszelką cenę chciały odwrócić jego uwagę od swojej interpretacji aktorskiej, a zwrócić na dekolt. Po takiej gamie dekoltów Reżyser nie miał już najmniejszej ochoty na następny. Jedyne, do czego miał siłę jeszcze się zmobilizować, to pójście prosto do domu.

„Do domu...” - ta tęskna myśl spowodowała, że zmusił się jednak do gigantycznego wysiłku i nie spodziewając się naprawdę niczego, czego by przez ostatnie dziewięć godzin nie oglądał, z trudem uniósł powieki.

„Nie!” - taka była jego pierwsza myśl.

„NIEMOŻLIWE!” - to była druga. I oniemiał.

Bo wcale nie zobaczył, jak się spodziewał, kolejnej pięknej cud - bogini wyginalności. Przeciwnie. Stała przed nim rozczochna, ubrana w jeansy i wyciągnięty sweter, wpatrzona w jakiś odległy w przestrzeni i czasie punkt rzeczywistości jego Główna Bohaterka.

Tak. Reżyser doznał właśnie objawienia.

„Niedobrze!” - zaniepokoił się nie na żarty. Czyżby był tak zmęczony castingami, że zaczął mieć halucynacje? Spokojnie mógł sobie o to podejrzewać. Co prawda nie używał od dawna żadnych środków odurzających, ale cholera wie, może za długo siedział w niewietrzonym pokoju?! Na wszelki wypadek lekko się więc uszczypnął. Nic się nie zmieniło, Bohaterka stała dalej. Pomyślał, że może powinien zrobić to mocniej i na wszelki wypadek dodać jakieś: „A kysz, a kysz, zgiń, przepadnij na wieki, maro senna”, ale spojrzał na swego pomocnika i zabrakło mu odwagi. Jako reżyser musiał przecież budzić szacunek. Ponownie spojrzał w kierunku Bohaterki, łudząc się, że może w tym czasie zdążyła litościwie zniknąć. Nie zniknęła. Mało tego, cały czas wyglądała na prawdziwą.

„Rany!” - Reżyser nie wierzył we własne szczęście. Niewyfiokowana, bez manier, bo jeszcze nie zaczęła się nawet prężyć i wyginać, a stoi tu dobre pół minuty, absolutnie przeciętna, ale biorąc pod uwagę włosy i ubranie, maksymalnie zaniedbana. I najważniejsze: nie miała nawet śladu po ospie i żadnej krótszej nogi.

„Panie Boże! - Reżyser poczuł przyływ religijności. -
DZIĘKI!”

Wpatrywał się w to nieznikające cudo i czuł, jak powoli ogarnia go fala szczęścia. Wreszcie. Ma ją. Znalazł.

„Cholera! - nagle się zdenerwował. - Dlaczego nie mam telewizora? Czy ona na pewno nigdzie nie gra?!” Skurcz

przerażenia spowodował, że zrezygnował z konwencjonalnych form zapoznawczych i od razu przeszedł do sedna.

- Gra gdzieś pani? - spytał w napięciu.

- Proszę? - spojrzała na niego w taki sposób, jakby właśnie oderwał ją poznawania niewiarygodnych tajemnic wszechświata.

„Nie!” - prawie jęknął z wrażenia Reżyser. Jest Tajemnica. Na dodatek ona ma Tajemnicę!

*

- Gra gdzieś pani?! - pytanie tego człowieka otrzeźwiło mnie w mgnieniu oka. Był tak zniecierpliwiony, że pierwsze co, od razu się zdenerwowałam. Do licha! Tak się irytować tym, że nie dosłyszałam? Ze spóźnionym refleksem, ale mimo wszystko, postanowiłam popracować nad dobrym wrażeniem. Uśmiechnęłam się zachęcająco, jednocześnie zaś zachodziłam w głowę, dlaczego pyta, czy gram. Niby gdzie i na czym?! Chyba że chodzi mu o to, czy gram w jakimś zespole? Możliwe. Zatrudniają tylko tych, którzy gdzieś grają, dzięki czemu mają pewność co do słuchu i pamięci muzycznej. Poza tym od razu wiedzą, że tacy ludzie sprawdzają się w pracy zespołowej. Niedobrze! Tego nie przewidziałam!

- Śpiewam - odpowiedziałam więc trochę niepewnie. Ale z drugiej strony przecież to nie do końca kłamstwo. Choć co prawda nie był to zespół, tylko chór kościelny, i to jakieś kilkanaście lat temu, gdy jeszcze byłam w podstawówce. Dobra. Liczyłam na to, że nie będzie wnikał w szczegóły.

- Ale umiem też grać. Umiem! - zapewniłam go jednak pospiesznie, bo zrobił jakąś dziwną minę. Tym razem nie kłamałam. Miałam w końcu za sobą parę lat w szkole muzycznej.

*

Reżyser czuł, że powoli traci grunt w tej rozmowie. Jego główna bohaterka uśmiechnęła się najpierw wyniośle, a potem oświadczyła, że śpiewa.

Jak to śpiewa? Czyżby kręcili jakiś musical? Nic o tym nie słyszał, ale prawdę mówiąc, od dawna nie interesował się tym, jakie nowe produkcje powstają. „Cholera, niedobrze!” - zdenerwował się jeszcze bardziej. Co prawda ucieszyło go, że dziewczyna umie grać, to dobrze, potem będzie łatwiej. Zresztą to i tak zaraz się sprawdzi, ale póki co musiał natychmiast wyjaśnić dużo pilniejszą kwestię.

*

- Gdzie? Gdzie pani śpiewa?! - spytał mocno zdławionym głosem.

A jednak! Co za pech! Wiedziała, że się do tego przyczepi. Tylko co teraz? - zaczęłam się zastanawiać w panice. Przecież nie będę mu opowiadać o doświadczeniach z podstawówki. Pomyśli, że jestem niepoważna. Trudno, podjęłam męską decyzję. Najwyżej mnie nie zatrudni. Raz kozie śmierć! Westchnęłam ciężko i przysięgłam sobie, że od tej pory będę mówić już tylko prawdę.

- W łazience - przyznałam się z lekkim wstydem. No, co? Śpiewam w łazience. Gdy się kąpię.

- W Łazience! - Reżyser przez chwilę się zastanawiał. Nie, nic mu nie mówił ten tytuł. Owszem, słyszał o filmie Historie kuchenne, ale to było dawno i nie w tym kraju, ostatnio obito mu się o uszy, że robią jakiś tasiemiec Salon piękności. To ten reality show, wystąpiła w nim znana pisarka, której nie udało się zrobić wrażenia kolejną książką, a jej projekt stworzenia partii na rzecz uwolnienia cen benzyny i gazu ziemnego nie wypalił. Ale Łazienka? Zaraz, zaraz, była taka książka Toussainta. Czyżby robili adaptację? Nieważne. Musi się koniecznie dowiedzieć, jak dużą rolę ma tam jego Główna Bohaterka, ile dni zdjęciowych i takie tam. Jeśli tylko

kilka, to może nie będzie problemu z dogadaniem się z producentem. Oby.

- Często? - z przejęcia z trudem wydobył z siebie głos. - Często... w tej Łazience?

*

Jeżu! Co on znowu? Co go ta łazienka tak ruszyła?! Śpiewanie tam to jakaś zbrodnia?!

Patrzyłam na niego naprawdę przerażona. Albo za chwilę będzie miał zapaść, albo to jest po prostu wariat! Skłaniając się bardziej do tej drugiej opcji, powoli i łagodnie, żeby nie zdenerwować go jeszcze bardziej, odpowiedziałam niepewnie:

- Codziennie.

*

Reżyser był zdruzgotany.

Czyli jednak. Codziennie. Wszystko stracone. No tak, ale czego innego miał się spodziewać?! Przecież od razu widać, że jest dobra! Niech to, już ją jakaś produkcja zdążyła sprzątnąć sprzed nosa! Cholera! Ale kto? Ukłuła go zazdrość, że może to Jankowski! O nie! Tylko nie on! Niech to nie będzie on, niech nie dotyka tego nieoszlifowanego diamentu, bo nawet z najlepszej aktorki ten człowiek w magiczny sposób jest w stanie zrobić zwykłe drewno! Ale nie, Jankowski na pewno nie robi Łazienki, spotkał go niedawno, mówił coś o serialu Klisze pamięci czy jakoś tak. Niemożliwe, żeby robił dwie rzeczy naraz. Ale jeśli nie Jankowski, to kto?

- Kto to reżyseruje? - Spojrzał jeszcze raz na swoje utracone objawienie i westchnął. Z bólem.

*

Zamarłam. Nie no. Tego nie podejrzewałam.

Ale wszystko zaczęło mi się układać w jedną całość. Ruszyła go łazienka. Nagle zaczął się tak o to wypytywać, jakać się, sapać. I wreszcie to pytanie! „Kto to reżyseruje?”

Jeżu! Kto reżyseruje moje kąpiele?! Nie, zdecydowanie! Plotki o show - biznesie nie są ani o gram przesadzone! To jest po prostu jakiś ordynarny zboczeniec!!!

*

- No wie pan?! - odpowiedziała z takim oburzeniem, że Reżyser załamał się jeszcze bardziej. Nie wie tego, taki wstyd. Pewnie robi to ktoś znany, a on właśnie wyszedł na ignoranta i nieuka. I z pewnością jest to na dodatek jakaś superprodukcja. W życiu jej stamtąd nie podkupi.

- No dobrze, zaczynamy! - powiedział szybko, żeby ukryć zmieszanie swoją niewiedzą („Cholera! Czemu żona mi nic nie powiedziała?!“). Poza tym właśnie sobie uświadomił, że jedyne, co może zrobić, to ją nagrać i mocno wierzyć, że Producentowi uda się coś wymyślić. Ani przez chwilę nie wątpił, że on też będzie zachwycony. Przecież właśnie kogoś takiego szukali. Tyle czasu!

- Będę podrzucał pani kwestie Sebastiana. Możemy zaczynać? Tak? Uwaga! Lecimy! - Kiwnął głową do swojego pomocnika, by włączył kamerę, i wypowiedział pierwszą kwestię:

- Spotkamy się jeszcze? - powiedział z przejmującą nadzieją i zdając sobie sprawę z prawdziwości tej kwestii, spojrzał na Bohaterkę z rosnącym bólem w duszy.

*

- Hm? - odpowiedziałam posłusznie tekstem, bo w końcu przyszedłam tu na przesłuchanie. Ale prawdę mówiąc, wewnątrz aż kipiałam z oburzenia. Teraz chyba też zrozumiałam, czemu wybrał dialog, podrywacz tandetny! Spojrzałam na typa wyniośle. Cały czas gapił się prowokująco, więc ostentacyjnie odwróciłam głowę. Niech sobie nie myśli. Ja jestem ponad takimi tanimi zagrywkami, prostak jeden!

*

- Spytałem, czy spotkamy się jeszcze? - Reżyser czuł, że nic więcej mu nie pozostało. Może tylko patrzeć i starać na zawsze zapamiętać tę twarz, którą prawie udało mu się odkryć... Zresztą nie ma co zapamiętywać. Z pewnością i tak za chwilę zrobi się sławna, bo jakiś kretyński musical Łazienka złośliwie musiał ją zatrudnić. Reżyser nie mógł tego przeboleć do tego stopnia, że aż zgrzytnął zębami ze złości.

*

- Me wiem. - Jednak nie zrozumiał aluzji. Ponieważ cały czas na niego nie patrzyłam, wymyślił kolejną sztuczkę. Zgrzytnął zębami. Idiota. I co, myśli sobie, że po czymś takim natychmiast padnę do jego stóp?! Na pewno, już pędzę. I co on tak się na mnie gapi cały czas? Jak sroka, która odkryła kawałek gnata. Speszyć mnie chce? No, to zobaczymy w takim razie, kto kogo! I w odpowiedzi zaczęłam pogardliwie patrzeć na niego.

- Proszę, daj mi jakąś nadzieję, powiedz coś... - Reżyser czytał swoje kwestie i czuł, jak narasta w nim coraz większy zachwyty. Ona jest genialna. Nawet profesjonalistki nie czuły tak tego tekstu. Ta wyniosłość, wzgarda, te ukradkowe zerknięcia. A gdy wreszcie utkwiała w nim wzrok, aż ciarki przeszły mu po plecach, tyle w tym było emocji. Naprawdę, coraz bardziej był o tym przekonany: siedział przed nim talent wszech czasów!

*

- Może - powiedziałam ostatnią kwestię i całe szczęście, że to był już koniec. Gdyby to miało potrwać jeszcze trochę, mogłabym nie wytrzymać i nawtykać temu bezczelowi! O, na pewno nie! Za nic, za żadne skarby nie chcę pracować w takim radiu, nawet za cenę adresowania kopert do końca życia. Choćby nie wiem jak mnie błagali, w Moim Radiu moja noga więcej nie postanie!

*

- Co? Co ona powiedziała, wychodząc? - Reżyser był tak zajęty pospiesznym pisaniem esemesa do Producenta („Jest genialna! Mamy bohaterkę!"), że kompletnie nie zwrócił na to uwagi i teraz zrobiło mu się trochę głupio. - Nie słyszałeś? - spytał pomocnika i nacisnął „wyślij".

- No, nie wiem, coś dziwnego... - odpowiedział pomocnik, pakując kamerę.

- Co?

- Jakby: „mam gdzieś to twoje radio" czy coś takiego.

- Hm, faktycznie dziwne. Dobra, chłopaki, zwijamy się stąd!

*

- Jak poszło? - spytała mnie Haneczka, gdy wreszcie wróciłam do domu.

Wzruszyłam ramionami markotnie. Nie, nie chciało mi się o tym opowiadać. Całe to przesłuchanie było po prostu żenujące!

- Tylko tyle? - zawiesiła głos i popatrzyła na mnie wyczekująco.

Jak ona mnie dobrze знаła. Pomilczałam jeszcze trochę, dla zasady, ale ponieważ i tak obie wiedziałyśmy, że długo nie wytrzymam, z czystym sumieniem wreszcie wybuchłam:

- Kończę z tym radiem! To banda zboczeńców!

I to był naprawdę koniec. Kac, zmęczenie i całe to przesłuchanie wreszcie doczekały się dobrego momentu na odreagowanie. Wybuchnęłam płaczem i w poczuciu absolutnej porażki wypłakiwałam się Haneczce przez resztę wieczoru i pół nocy.

*

Tymczasem późno w nocy dwóch mężczyzn w kompletnej ciszy kucało w ciemnym salonie przed przenośnym telewizorkiem.

- Pokaż jeszcze raz! - po dłuższej chwili zażądał szeptem Producent.

- Naprawdę zabrania ci pracować w nocy? - przewijając taśmę, zapytał Reżyser.

- Nie, nie, nie! - zamachał rękami Producent i nerwowo zerknął w stronę sypialni. - Nie tak głośno, oszalałeś?! Mówiłem ci. Możemy oglądać, ale mamy być cicho! - wyszeptał przejmująco. - Chcę w niedzielę pojechać na ryby, a jak się obudzi i nas tu zobaczy, będę mógł o tym zapomnieć. Zresztą jak cię tu o tej porze zastanie, to też wcale nie będziesz miał miło.

- I tak nie będę miał miło, w domu mam własną żonę - odpowiedział Reżyser i westchnął, po czym spojrzeli na siebie z bolesnym zrozumieniem.

- Dobra, już. Patrz!

W pokoju na nowo zapanowała absolutna cisza, niezakłócona nawet najmniejszym oddechem.

- Naprawdę genialna! - jęknął Producent. - Jaki ogień w oczach! A ta mimika!

- Nie mówiłem? - z prawdziwą dumą odpowiedział Reżyser. - Tylko co z tą Łazienką?

- Nic o tym nie słyszałem - zatroskał się Producent i skurcz zazdrości znów chwycił go za serce. Łazienka? Aktorkę sprzed nosa ma mu sprzątnąć jakaś idiotyczna - z całą pewnością! - Łazienka?! O, nie! Taka porażka przez trzydzieści lat pracy jeszcze się Producentowi nie zdarzyła. Nie widział najmniejszego powodu, by na coś takiego pozwolić.

- Koniecznie musimy wyrwać ją do naszego serialu - powiedział. - Trzeba popytać w produkcjach albo, jeszcze lepiej, wśród pismaków, oni wiedzą o wszystkim, co się tu kręci, i namierzemy tę cholerną Łazienkę. Dobra, dawaj. Oglądamy jeszcze raz.

Nie daj się zaskoczyć

Parę dni później humor w najmniejszym stopniu mi się nie poprawił. Nie wiem, jak to było możliwe, ale zdecydowanie nawet się pogorszył.

Moje oszczędności topniały w zastraszającym tempie. Cały czas nie mogłam znaleźć pracy i coraz bardziej jasne stawało się dla mnie, że nie jest to wcale takie proste. Ale najgorsze było to, że z założenia krótki pobyt u Haneczki przeciągał się nieznośnie. Chociaż ona na ten temat nie mówiła ani słowa, mnie z dnia na dzień było coraz gorzej. Dopadała mnie chandra. Pomimo że Haneczka to moja najlepsza przyjaciółka, czułam się u niej jak piąte koło u wozu... Coraz poważniej myślałam o tym, żeby wracać. Co prawda sprawa pracy w Krośnie nadal w najmniejszym stopniu nie wyglądała zachęcająco, ale tam przynajmniej miałam własny pokój.

- Nie ma mowy! - mówiła na to Haneczka. - Nie możesz wyjechać, bo nie będzie miał mi kto gotować tych wszystkich fantastycznych potraw!

Fakt. Leczyłam wyrzuty sumienia, gotując codziennie coraz bardziej wymyślne dania. Na dobrą sprawę mogłam już z powodzeniem zacząć się zastanawiać nad otwarciem własnej jadłodajni. I pewnie byłby to świetny pomysł, gdybym tylko choć w minimalnym stopniu lubiła gotować.

- Mam problem - powiedziała poważnym tonem Haneczka, opychając się bezwstydnie bruschettą z pomidorami. Spojrzałam na nią uważnie. Rzeczywiście. Ilości jedzenia, jakie właśnie pochłaniała, mogły być nie lada problemem. - Jedna z moich zaprzyjaźnionych klientek wyjeżdża na co najmniej rok do rodziny do Australii - ciągnęła niewzruszenie - i chce, żebym w tym czasie znalazła kogoś zaufanego, kto pod jej nieobecność zaopiekuje się mieszkaniem w Warszawie.

- Hm - zafrasowałam się całkiem serio. - A ona nie ma tu żadnej rodziny?

Haneczka spojrzała na mnie dziwnie.

- Ma. Starą niedołączną ciotkę. Przekonałam ją, że nie ma sensu zawracać staruszce tym głowy.

- Głupio zrobiłaś - odpowiedziałam na to krytycznie. - Ciotka miałyby zajęcie, a ty nie miałybyś problemu.

- Tak, ale za to ty miałybyś nadal doła i ciągle nie miałybyś gdzie mieszkać! - odparowała Haneczka szybciotko.

- O! - powiedziała na to, bo nic innego nie przyszło mi do głowy.

- Pozmywam, a jutro jedziemy do mojej klientki na spotkanie. Jeszcze i tak musi cię zaakceptować.

- Nie ma zbyt wiele do oglądania, tu jest pokój, tu kuchnia i to całe mieszkanie - klientka Haneczki, starsza, malutka pani z bieluteńkimi włosami, po wstępnie przeprowadzonej akceptacji oprowadzała nas po mieszkaniu w rytm głucho walącego młota. Chyba dobrze wypadłam. W każdym razie na tyle, że pani zdecydowała się na pokazanie mieszkania, a nie na pogonienie mnie miotłą po schodach. - Tu jest łazienka, panowie wymieniają rury w całym budynku, dziś akurat do mnie doszło - powiedziała przepaszającym tonem, pokazując nam rumowisko w miejscu łazienki.

- Kiedy skończą? - spytała Haneczka rzeczowo.

- Najdalej pojutrze, bo będą jeszcze układać glazurę - wyjaśniła klientka przepaszającym głosem. - Dlatego dziś tu taki bałagan, ale przed przeprowadzką na pewno sprzątnę.

- Nie ma potrzeby, koleżanka sobie z tym świetnie poradzi - odpowiedziała Haneczka niefrasobliwie. Posłałam jej mordercze spojrzenie, ale udała, że niczego nie zauważyła. Nie szkodzi, na pewno zauważy, jak będzie tu ze mną sprzątać! - Iza, zaczekaj gdzieś chwilę, ja z panią omówię tylko szczegóły. - Moja przyjaciółka dała mi do zrozumienia,

żebym opuściła pokój. Chcąc nie chcąc, poszłam okupować kuchnię.

Nie szkodzi. Mieszkanie bardzo mi się podobało. Było małe, ale wyjątkowo przytulne i schludne. Nie licząc oczywiście hałd kurzu, który wydobywał się spod drzwi łazienki i był wszędzie. Dosłownie. Czułam go nawet pomiędzy zębami. Ale najbardziej podobało mi się w mieszkaniu to, że w żadnym miejscu nie było zagracone tysiącami bibelotów, które godzinami musiałabym potem odkurzać. Czekałam z niepokojem na wynik rokowań, przy okazji przeglądając leżącą na stole kolorową gazetkę. Zazwyczaj nie lubię oglądać takich gazetek. Ale zazwyczaj też nie przesiaduję w cudzych kuchniach i nie zastanawiam się przy odgłosach walących młotów, czemu chwila trwa już ponad dwa kwadransy.

„Chcę zamieszkać w domku z kominkiem, ale mój mąż od lat się na to nie zgadza” - przeczytałam z niesmakiem wyznanie jakiejś aktorki.

Rany! Naprawdę nie mają już o czym w tych gazetach pisać?!

„Jej największym kompleksem są bułowate kolana” - dowiedziałam się o innej.

Nieźle! Nie wiem, współczuć czy zazdrościć?!

„O Łaziencie, tajemniczym musicalu, niczego się nie dowiemy. Główna aktorka, której twarzy nikt nie pozna aż do premiery, chce wszystko zachować w największej tajemnicy”.

Nie wiem, odbija tym wszystkim sławom, czy naprawdę średnia IQ wśród aktorek wynosi dwa?! Niby po co jej ta tajemnica? Ma mnie zachęcić do zobaczenia tego musicalu? Co za bzdura! Po takiej reklamie w życiu tego nie obejrzę.

Nie zdążyłam się jednak bardziej zbulwersować, bo właśnie w tym momencie zadzwonił mój telefon.

- Dzień dobry, mówi... - cichy głos jakiegoś faceta niestety przegrał starcie z metalicznym waleniem dochodzącym z łazienki. Na szczęście odgłosy umilkły na chwilę przy najważniejszym. - W sprawie pracy, kojarzy mnie pani, prawda?

- Oczywiście - skłamałam, korzystając z tego, że znów rozległ się hałas. Bardzo dobrze. W ciszy kłamało się gorzej. Nie chciałam się przyznać, że nie usłyszałam jego nazwiska, bo a nuż zechciałby je powtórzyć, a to i tak nie za wiele by mi dało. Po wysłaniu paru setek CV trudno wymagać, żebym kojarzyła każde nazwisko. Ale nie mogę mu przecież tego powiedzieć i żądać na koniec, żeby mnie zatrudnił.

- Zanim cokolwiek zacznę... - młot przestał walić, za to dobiegło mnie przenikliwe wycie. Chyba szlifierki. - Proszę mi powiedzieć, jak wygląda sprawa Łazienki?

- Pojutrze kończą! - krzyknęłam, wcale niezdziwiona jego pytaniem, bo też miałam tych odgłosów dosyć. Trudno było usłyszeć własne myśli, a co dopiero prowadzić jakąkolwiek rozmowę!

- W piątek? Niemożliwe! E... tego... To znaczy bardzo dobrze! - odpowiedział facet, nie wiedzieć czemu nagle bardzo zadowolony.

Od razu go polubiłam, wyglądał na altruistę.

- W takim razie kończcie, nie zawracam głowy. Ale do usłyszenia, w poniedziałek dzwonię!

Zadowolony jak nie wiadomo co Reżyser popatrzył błogim wzrokiem na Producenta.

- Mamy szczęście! Za dwa dni będzie już po zdjęciach!

- Chwała Bogu! - westchnął Producent z prawdziwą ulgą.

- Nie mogłem w żaden sposób namierzyć tych od Łazienki! Znajomy z gazety zamieścił nawet prowokacyjny artykuł, żeby tylko się odezwali, ale do tej pory jeszcze ich to nie ruszyło...

- I niech nie rusza! W poniedziałek trzeba do niej zadzwonić. Jeśli skończą, to nie ma cudów, zrobimy wszystko, co się da, i na pewno ją będziemy mieli.

- Musimy! - powiedział z mocą Producent. Skoro Łazienka ją zdobyła, jego serial nie może być gorszy!

*

- Załatwione! - do kuchni weszła zadowolona Haneczka z równie zadowoloną właścicielką mieszkania. - Pani na te parę tygodni z chęcią przeniesie się do ciotki. A ty, jak chcesz, możesz się już wprowadzać...

Hurra!

Mam mieszkanie!

Już pierwszego dnia w nowym mieszkaniu stwierdziłam, że jestem przeszczęśliwa! Tu jest naprawdę pięknie. W moje okna (ostatnie, trzecie piętro w starej kamienicy) zaglądamy gałęzie wiekowych drzew. Cała okolica tchnie spokojem i godnością. Po chodnikach statecznym krokiem spacerują staruszkowie. Nikt się nie spieszy, świergot ptaków rzadko kiedy jest zagłuszany przez przejeżdżający samochód. Wszystko tu jest takie swojskie, domowe, urokliwe...

Pani Zosia (właścicielka mieszkania i klientka Haneczki, naprawdę cudowna!) oprowadziła mnie po najciekawszych zakątkach. Zakochałam się w tym miejscu! Jak ona może chcieć stąd wyjeżdżać?

Ale nie zdążyłam o to spytać. Pani Zosia mówiła cały czas, a jak nie ona, to napotykanie po drodze sąsiedzi.

- Dzień dobry, panie Henryku - w drodze powrotnej, prawie pod domem (Ha! MOIM domem!) ukłoniła się jakiemuś różowiotkiemu, z niewiarygodnie wyglansowaną łysinką, staruszkowi. Zresztą cały był niewiarygodnie wyglansowany. Wyglądał tak, jakby właśnie wyszedł spod wałków magła.

- Uszanowanie, pani Zofio - ukłonił się uprzejmie pan Henryk, po czym również skinął głową na moje „dzień dobry”.

Jeżu! Jakie to było kulturalne.

- To sąsiad z parteru - chwilę później wyjaśniła moja przewodniczka. - Bardzo dystyngowany.

- To prawda - przytaknęłam, bo było to widać na pierwszy rzut oka.

- Były oficer marynarki, bardzo skrupulatny i solidny, ale też bardzo samotny - opowiadała dalej, gdy wspinałyśmy się wolno po schodach.

- I ciągnął pan te rury! Ciąg! - nagle na trzecim piętrze wciągając historię o życiu pana Henryka przerwał ryk hydraulika, który nonszalancko oparty o framugę otwartych drzwi, od czasu do czasu wykrzykiwał podobne rady.

Pani Zosia zatrzymała się i popatrzyła przeciągle.

- Tu mieszka pani Janina - powiedziała i po chwili ruszyła dalej - bardzo zacna, ale trochę ekscentryczna...

- Popukaj pan! Popukaj! Obluzuje się i ruszy! - Co?

- Pukaj, mówię! Pukaj! - doleciały nas jeszcze pokrzykiwania z dołu. Pani Zosia znów się zatrzymała i chwilę nasłuchiwała.

- Tak. Zdecydowanie ekscentryczna.

- Kiedy może przyjść pani na spotkanie do produkcji Bingo? - usłyszałam w poniedziałek, gdy z samego rana odebrałam telefon.

Produkcja Bingo? Cholera. Nic mi to nie mówiło, ale w sumie nie było w tym nic dziwnego. Od kilku dni wysilałam się jedynie fizycznie. Za zgodą pani Zosi postanowiłam trochę inaczej urządzić mieszkanie i jedyne, czym się zajmowałam, to przesuwanie mebli.

- Jutro? - spytałam niepewnie. Nikt nie zaproponował. - Około szesnastej? - dodałam, już trochę pewniejszym głosem.

- Świetnie, wobec tego jest pani umówiona, czekamy z niecierpliwością - zakończył rozmowę głos w słuchawce.

No i proszę. Wiedziałaam, że to dobre miejsce do mieszkania. Wszystko powoli zaczynało się układać.

Odrobina wyniosłości nie zaszkodzi

- Dzień dobry - powiedziałam nieśmiało, wchodząc do wielkiego biura. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Wszyscy biegali, rozmawiali przez telefony komórkowe albo totalnie pochłonięci jakąś potwornie skomplikowaną robotą ślęczeli przed monitorami. Panował gwar i rozgardiasz, dlatego poczułam się trochę onieśmielona.

- Zapiszcie, mam czternaście kompletów plus parę pojedynczych. - Wychodzący zza moich pleców jakiś gruby facet przepchnął się przede mnie i rzucił na najbliższe biurko lekko zużyte tablice rejestracyjne.

Rany! Rejestracje! Czy przypadkiem nie jest to nielegalne?

Facet zauważył chyba, że patrzę na to wszystko z przestachem, bo zarechotał rubasznie i przechodząc do wyjścia, zatrzymał się obok mnie i mrugnął porozumiewawczo:

- Co? Potrzebujemy jakiś rekwizycik?

Odskokczyłam od niego gwałtownie. Nie! Co on sobie myśli? Że będę uczestniczyć w jego ciemnych interesach?! Dobrze sobie!

- Dzień dobry, zapraszam panią do mojego gabinetu - w tej samej chwili tonem nieznoszącym sprzeciwu odezwał się do mnie jakiś brodaty facet. Miał siłę przekonywania, to pewne. Zanim zdążyłam się nad czymkolwiek zastanowić, szłam już posłusznie w jego kierunku. - Przedstawię się - powiedział, gdy byłam już w środku. - Jestem głównym producentem i z przyjemnością chcę poinformować, że zdecydowaliśmy się panią zatrudnić. Gratuluję! - 'zakończył w taki sposób, jakbym właśnie wygrała kumulację w lotto.

Z wrażenia z impetem wciągnęłam powietrze głęboko w płuca. Ale cudowny dzień! Tylko, do licha, gdzie mnie chcą zatrudnić? Nie pamiętałam, żebym wysyłała CV do jakiejś

produkcji. Chciałam zapytać, co produkują i co miałabym tu robić, ale dokładnie w tym momencie drzwi otworzyły się gwałtownie i wpadł jakiś zadyszany mężczyzna.

- Panie Producencie! Nie da rady załatwić tego mieszkania jutro, bo ci cholerni... - zauważył mnie, przełknął jakieś pchające się na usta słowo i zakończył już zupełnie innym tonem: - eee... problem z właścicielami nastąpił, można albo dziś, albo dopiero za dwa tygodnie.

- W takim razie, panie Jarku, niech pan szybko załatwi jakąś ciężarówkę. Tylko proszę uprzedzić, że będą jechać na duży obiekt - nie stracił zimnej krwi Producent.

Tymczasem mnie wszelkie pytania zamarły na ustach. Te rejestracje... Ciężarówką na obiekt, bo problem z właścicielami... Powoli kolejne fakty składały mi się w głowie w jedną całość, aż na koniec ciarki mi przeszły po plecach. Rany! Gdzie ja trafiłam?

Pan Jarek wyszedł pośpiesznie i Producent znów zwrócił się do mnie.

- I jak? Jest pani zapewne zadowolona?

Cholera. No, raczej nie. Raczej czułam, niestety, lekką obawę, że być może zbyt pochopnie się w coś wpakowałam. Co to za firma, do diaska?! Bingo? Co to za idiotyczna nazwa! Patrzyłam na Producenta, a w głowie myśli szalały mi z prędkością światła.

*

Producent nie doczekał się żadnej reakcji. „Ale zaskoczyliśmy dziewczynę! - pomyślał zadowolony, nie mogąc się doczekać, kiedy opowie o tym Reżyserowi. - Dobrze mu tak!! Cholernik jeden, może oduczy się spóźniać!”

- W takim razie może od razu przystąpimy do podpisania umowy. - Zniecierpliwiony postanowił podjąć inicjatywę i zaczął już nawet czegoś szukać w stercie papierów na biurku.

- Przepraszam - wykrztusiłam z siebie wreszcie. - Nie kojarzę za bardzo, o co chodzi. Co niby miałabym tu robić?

- Pani przecież na Weronikę. Do Miłości i zdrady - odpowiedział niepewnie. Cholera z tym Reżyserem. „Będzie nasza”, mówił, a ona nawet nie kojarzy roli. Pewnie ma teraz zatrzęsienie innych propozycji.

*

Przetrawiałam jego słowa. Do miłości i zdrady??? Co to? Jakaś agencja usług towarzyskich?! Nic legalnego, to pewne. W takim razie dziękuję bardzo za posadę „Weroniki”, jeszcze nie upadłam na głowę, żeby się w coś takiego ładować!

- Dziękuję bardzo, jeszcze się zastanowię - odpowiedziałam więc wymijająco, marząc o tym, żeby jak najprędzej się stąd ulotnić.

*

„Wymyka się nam! - w Producentcie panika mieszała się z furia. - Wiedziałem, że trzeba od razu ją zakontraktować, to nie, on musiał swoje: »Jak skończy z Łazienką, jak skończy!«. Baran jeden! Jeśli jej nie będziemy mieli, przysięgam, urwę mu głowę!”

- Dostanie pani wysoką stawkę. - Wiele kosztowało Producenta, żeby coś takiego powiedzieć. „Trudno, stracę”, pomyślał z bólem, ale poczuł jednocześnie nieprzyjemny skurcz w okolicach kieszeni. - O! Jest Reżyser! - wykrzyknął, słysząc zza drzwi podniesiony głos. - On z pewnością panią przekona!

*

Reżyser?! .

Zdziwiłam się.

W tej sekundzie drzwi się otworzyły i do gabinetu wszedł...

- Ireneusz Zielniewicz, Reżyser.

No nie. Niewiarygodne. Zboczenie z przesłuchania.

Wszystko ułożyło się w jedną całość. Fikcyjne Moje Radio robiło jeszcze bardziej fikcyjny nabór... dam do towarzystwa. Wiedziałam, że coś tam było nie tak, moja intuicja jak zwykle okazała się niezawodna.

- Nie jestem zainteresowana - odpowiedziałam więc zimno i wyszłam.

Zmienić numer telefonu! Na policję! Opowiedzieć wszystko Haneczce! - miały mną sprzeczne pragnienia, gdy niecierpliwie rozdzwoniła się moja komórka.

Numer nieznany.

Przełknęłam ślinę, myśląc sobie, że te typy będą pewnie teraz nie do zniesienia namolne, i z pełną determinacją wyłączyłam telefon.

*

- I co? - zdenerwowany do granic możliwości Producent nerwowo tam i z powrotem chodził po pokoju.

- Nie odbiera - jeszcze bardziej zdenerwowany Reżyser trzęsącą się ręką po raz kolejny wybierał numer. - „Numer tymczasowo niedostępny” - jęknął.

- Świetnie! - jęknął do wtóru Producent. - Jesteśmy załatwieni.

*

Dopiero późnym wieczorem spotkałam się z Haneczką.

- Nie zgadniesz - zaczęłam tajemniczo. - Trafiłam na szajkę przestępczą!

- Jakim cudem? - Haneczka z wrażenia prawie zakrztusiła się herbatą.

- Chcieli mnie zatrudnić - odpowiedziałam z dumą. Bądź co bądź nie każdego człowieka prawdziwi przestępcy usiłują zwabić do nielegalnego interesu. - Działają pod przykrywką produkcji Bingo i zatrudniają laski na

„Weronikę”. Nie wiem, co to znaczy, pewnie to jakiś żargon przestępczy - popatrzyłam na Haneczkę z

zadowoleniem. Przeżyłam w końcu nie lada przygodę, a ona reagowała prawidłowo, to znaczy miała oczy wielkości spodków, więc nie przerywałam sobie i ciągnęłam dalej: - Szef ma ksywkę Główny Producent, na jego prawą rękę mówią Reżyser. Ale popełnił głupi błąd, idiota. Przedstawił się imieniem i nazwiskiem.

- Jakim? - wykrztusiła z siebie z przejęciem Haneczka.

- Ireneusz Zielniewicz - powiedziałam z satysfakcją. - Ale spokojnie, policja wie już wszystko. - Oczy Haneczki wylazły już całkiem na wierzch.

- Byłaś na policji?! - spytała z niedowierzaniem.

- Tak - potwierdziłam z dumą.

- Ty idiotko! - wybuchła Haneczka.

Po kwadransie wiedziałam już wszystko o firmie Bingo produkującej najlepsze seriale w kraju. No i o słynnym, wiele razy nagradzanym, Reżyserze Zielniewiczu.

Ta wiedza ścięła mnie z nóg. Dosłownie.

- Chcę umrzeć! - leżałam na łóżku z głową pod poduszką i nie przestawałam jęczeć. Bravo! Zrobiłam z siebie rekordową idiotkę!

- Wstawaj! Dzwon do nich natychmiast! - Haneczka usiłowała zabrać mi poduszkę.

- Nie mogę! - odparłam, trzymając ją z całych sił. To znaczy poduszkę, nie Haneczkę. - Jest po dziesiątej!

- Co z tego? Dzwon, wytłumaczysz wszystko i powiesz, że się namyśliłaś!

- Nie mogę - jęknęłam jeszcze żałośniej niż poprzednio, bo batalię o poduszkę też przegrałam.

- Nie przesadzaj! Dzwon, zanim policja pierwsza do nich zadzwoni.

- Naprawdę nie mogę! Nie mam numeru.

- Poczekaj. - Haneczka sprawnie wklepała do komputera nazwę firmy. - Jest! Dyktuję...

*

Producent z Reżyserem w opustoszałym biurze smętnie po raz kolejny przeglądali kasety z castingów.

- O, ta jest w porządku... - powiedział bez przekonania Producent.

- Aha... - z jeszcze mniejszym przekonaniem potwierdził jego słowa Reżyser.

Obaj zasepili się na chwilę.

- Spokojnie, kogoś jeszcze znajdziemy... - bez żadnej nadziei powiedział po chwili Producent.

- Aha... - znów zgodził się z nim Reżyser.

- Nalej mi jeszcze, może po tym kielichu przyjdzie mi coś do głowy...

Reżyser bez słowa napełnił puste kieliszki. Siedzieli w milczeniu, tępo wpatrując się w migający ekran telewizora.

- Odbierzesz? Może to ona - odezwał się Producent, rozpaczliwie czepiając się jakiegokolwiek nadziei, gdy ciszę przerwał natarczywy dźwięk telefonu.

- Ona? - Reżyser spojrzał na niego pustym wzrokiem. - A po co niby miałaby tu dzwonić? Żeby raz jeszcze powiedzieć, że nie jest zainteresowana? - powiedział łamiącym się głosem i dalej siedzieli w kompletnej ciszy, przerywanej co jakiś czas dzwonkiem telefonu.

*

- I co? - zdławionym głosem chyba po raz setny pytałam z nadzieją Haneczkę.

- Nic. Nikt nie odbiera. Za późno. Już tam nikogo nie ma - odpowiedziała.

*

Następnego dnia Producent, mocno zmarnowany bardzo przeciągniętym wieczorem z Reżyserem, dowłókł się do pracy grubo po jedenastej.

- Panie Producencie! - od drzwi od razu napadło go tysiąc próśb, pytań i wniosków.

- Nie przeszkadzać! - ryknął ostrzegawczo i szybko zwiął, odgradzając się od wszystkiego masywnymi drzwiami gabinetu.

- I co? - pierwsze, co zrobił po wejściu, to natychmiast zadzwonił do Reżysera.

- Nic... Cały czas numer tymczasowo niedostępny - odpowiedział markotnie Reżyser.

- Cholera - jęknął Producent, zakończył połączenie i smętnie usiadł za biurkiem. - Mówiłem: nie przeszkadzać! - ryknął ponownie, bo nagle drzwi do gabinetu się otworzyły i przepychała się przez nie jego sekretarka, szamocząc się z kimś.

- Tak jest! - wydyszała z wysiłkiem, gdy udało jej się zabarykadować od środka. - Tylko że tam na zewnątrz szaleją jakieś dwie kobiety, które mówią, że potwornie przepraszają, ale zaszła potworna pomyłka.

- Nie teraz. - Producent nie miał sił nawet do dania reprimendy sekretarce, a co dopiero do jakichś dwóch szalejących kobiet.

Niestety, miał pecha. Sekretarka, do tej pory utrzymująca drzwi zamknięte, zaczęła powoli odjeżdżać, a przez coraz większą szparę skutecznie wsuwała się jedna zdesperowana interesantka, siłą wciągając za rękę drugą.

Pozwól rodzicom cieszyć się z twoich sukcesów
I tak właśnie, dzięki Haneczce, dostałam jednak tę rolę.
Przepraszam: DOSTAŁAM ROLĘ!

To wszystko było tak niewiarygodne, jak gdybym zamieniła się miejscami z jakimś bajkowym stworkiem i nieoczekiwanie wylądowała w cudzej wyobraźni. Rany, dostałam rolę! W serialu!!! Czy człowieka może spotkać większe szczęście? Gdyby Haneczka nie usłyszała tego na własne uszy, będąc ze mną w gabinecie Producenta, sama sobie bym w to w życiu nie uwierzyła. Rolę!!!

Robiło się poważnie. Czułam się tak, jakby za chwilę groziła mi eksplozja od nadmiaru szczęścia.

Musiałam zrobić coś, co pomogłoby mi z powrotem wrócić na ziemię. Potrzebowałam rozsądku. Potrzebowałam opanowania. Musiałam podzielić się swoją radością z kimś mądrym, doświadczonym i dojrzałym, z kimś, kto będzie się cieszył wraz ze mną, ale pomoże mi opanować te szalejące emocje.

Była tylko jedna taka osoba.

- Mamo! - krzyknęłam radośnie do słuchawki. - Gram w serialu! Jestem Weroniką! Dostałam rolę!

Odpowiedziała mi głucha cisza.

- Mamo? - Cholera, nie pomyślałam. To przecież już starsza pani, z radości mogło jej pęknąć serce, jak mogłam oczekiwać, by jeszcze mnie uspokajała?!

- Gratuluję - powiedziała moja mama z dystansem i jakoś mało ucieszona. - Tylko żeby ci się nie przewróciło w głowie - dodała jeszcze tym swoim specjalnym, wychowawczym tonem.

- Nie przewróci się - obiecałam grzecznie. Jednak ton zadziałał. Emocje trochę opadły.

- A co z pracą? Zamiast zajmować się głupotami, może powinnaś pomyśleć o jakiejś pracy?

No nie! To już przesada! Ale moja mama zawsze miała specyficzne podejście do znaczenia słowa „praca”.

- Mamo! Właśnie dostałam pracę. Mam ją. Jestem aktorką i gram w serialu! - zirytowałam się na tyle, że zrezygnowałam z grzeczności i postanowiłam być stanowcza. Moja mama na to tylko ciężko westchnęła. Fakt. Dla niej praca w radiu była objaniem się i mitrężeniem czasu, a co dopiero praca aktorki w serialu.

- No tak, zawsze się lubiłaś objajać i miałaś tendencje do mitrężenia czasu. - Ha! BINGO! - A nie chcesz pomysleć o jakimś etacie? U nas w zakładzie właśnie zwolniło się coś w księgowości...

Taa. Szczytem marzeń mojej mamy było, nie wiedzieć czemu, żeby jej córka objęła gdzieś etat księgowej. Zawsze miała w zanadrzu jakiś wolny etacik. Nie wiem, jak ona to robiła, ale wiedziała wszystko o zwalnających się posadach tego rodzaju w promieniu stu kilometrów. Namawiała mnie na księgowość, odkąd skończyłam szkołę średnią. I odkąd skończyłam szkołę średnią, regularnie tłumaczyłam jej, że to kompletnie nie dla mnie. Choćbym nie wiem jak się starała, nie dałabym rady z tak potworną ilością liczb i matematyki! Jednak, jak widać, moja mama w tym względzie była nieprzejednana.

- Mamo!

- No tak tylko mówię przecież... W takim razie gratuluje ci tego serialu, tylko uważaj na siebie, to takie środowisko bez żadnych zasad.

Czytaj uważnie umowy

- Przyjedzie do pani kurier z umową, proszę ją przeczytać, zastanowić się, a potem umówimy się na podpisanie i spotkanie z Producentem - powiedziała mi jakaś pani przez telefon.

- Dobrze - zgodziłam się, bo byłam potwornie ciekawa umowy, jaką podpisują gwiazdy. Będę miała własną przyczepę? Asystenta od robienia herbaty? Na życzenie będą mi przywozić poziomki w środku zimy? Rozmarzyłam się. Czerwone dywany, kosze kwiatów. O rany.

- Dziękuję - powiedziałam do kuriera, odbierając od niego przesyłkę, trochę zbulwersowana faktem, że nie przyniósł dla mnie chociaż małej różyczki. Co za niedopatrzenie! Będę musiała zwrócić na to uwagę produkcji!

Dobra, na razie trudno. Rozerwałam kopertę.

Hm...

Myślałam, że dostanę umowę. Zamiast tego dostarczono mi jakiś gruby brulion.

Otworzyłam.

Date, nazwę miejscowości, swoje imię i nazwisko zrozumiałam od razu. Z resztą jednak nie było już tak łatwo.

Wreszcie, po tygodniu ślęczenia nad setkami rozwiewających się co chwila kartek, z pomocą Haneczki i jej kumpla, prawnika Maćka, udało mi się mniej więcej rozszyfrować treść umowy. To znaczy oni czytali i zastanawiali się, co to oznacza, ja zaś w skrytości ducha zachwycałam się Maćkiem. Jejku! Jakiego Haneczka ma fantastycznego kumpla! Tylko dlaczego on ani na moment nie oderwie się od umowy i nie zwróci na mnie uwagi? Przez żołądek do serca - przypomniałam sobie starą prawdę ludową i skupiłam się na regularnym donoszeniu jedzenia i herbaty. Niestety. Maciek na porzekadła ludowe okazał się wyjątkowo odporny. Gdy skończył, powiedział:

- Zrobione! - I nie zaprosił mnie nawet na kawę. Zamiast tego razem z Haneczką przedstawili mi streszczenie. Wyglądało ono następująco.

Produkcja musi:

- produkować serial.

(Może - o tym była co najmniej połowa umowy - przekładając z języka prawniczego na ludzki: wszystko).

Mnie za to nie wolno bez akceptacji ze strony produkcji:

- nieoczekiwanie odmłodzić;

- utyć.

Ale też nie mogę za bardzo schudnąć. I dalej:

- obciąć ani ufarbować włosów;

- zrobić operacji plastycznej;

- zająć w ciąży;

- zestarzeć się.

Oraz w absolutnie żaden inny sposób zmienić wyglądu (ten punkt był chyba na wypadek, gdybym miała ochotę własnoręcznie urwać sobie rękę).

Poza tym nie wolno mi:

- uprawiać niebezpiecznych sportów (a niebezpieczne są wszystkie, których nie zaleca produkcja; zaleca zaś jedynie fitness - dla kondycji - ale już nic nie wspomina o szachach; pewnie też są ekstremalne, w końcu przy macie ktoś wrażliwszy może nie wytrzymać i paść na serce). Nie wolno mi też:

- pić alkoholu w miejscach publicznych;

- źle się prowadzić;

- robić publicznie rzeczy niemoralnych (zrozumiałam z tego, że nici z wrywania starszkom torebek w centrum miasta w godzinach szczytu i już prawie odetchnęłam z ulgą, że na szczęście zostają ciemne parki późną nocą, ale wtedy właśnie zobaczyłam kolejny punkt umowy, a mianowicie):

- narażać się na niebezpieczeństwa i wypadki (no tak, nie mogę być pewna, że staruszka w parku nie okaże się polującą na bandytów psychopatką i zanim zdążę jej tę torebkę wyrwać, to ona zdąży mnie porządnie nią zdzielić...);

- za lekko się ubierać zimą i za ciepło latem, żeby się nie przeziębnić, a co dopiero złapać grypę;

- podejmować innych prac w filmie i telewizji. Za to zdecydowanie muszę:

- pracować (czyli uczestniczyć w zdjęciach, próbach, przymiarkach, sesjach zdjęciowych i wszelkich innych przedsięwzięciach służących promocji i powstaniu serialu).

A co mogę?

O tym w umowie nic nie było.

Jednak drogą dedukcji i eliminacji udało mi się to wywnioskować.

Z absolutną dowolnością, kompletnie bez żadnych ograniczeń, decydując o miejscu, czasie, jakości i długości trwania, mogę się uśmiechać.

Hm.

Tylko uśmiechać.

Dbaj o kondycję

- Proszę się uśmiechnąć! Naturalnie, luźno i radośnie! No, radośnie! - zażądał Fotograf na mojej pierwszej w życiu sesji zdjęciowej, a ja uświadomiłam sobie, że co do tego uśmiechania wykazałam się wyjątkowo wielką naiwnością. Nie jest tak, że „mogę” się uśmiechać. Wygląda na to, że też MUSZĘ.

Nie było to jednak takie proste.

Przez ostatnią godzinę Fotograf zrobił absolutnie wszystko, aby było mi maksymalnie niewygodnie. Udało mu się. Było. Do tego stopnia, że zaczęłam się nawet zastanawiać, czy sesja zdjęciowa nie podchodzi pod kategorię „sporty ekstremalne”. Wyglądało na to, że jak najbardziej.

Zwłaszcza że ten sadysta Fotograf żądał jeszcze na koniec, abym radośnie się uśmiechnęła. Czy ja naprawdę sprawiam wrażenie masochistki?

- Usiądź sobie wygodnie - powiedział na początku, gdy już przygotowana do zdjęć weszłam do studia, i to jeszcze było miłe, po czym wskazał oznaczony krzyżykiem punkt podłogi.

Popatrzyłam na podłogę krytycznie, zastanawiając się, jak to zrobić, żeby było wygodnie, ale postanowiłam nie marudzić i usiadłam.

- Hm... - zmarszczył się Fotograf zza pudełka aparatu. - Wyprostuj się...

Wyprostowałam się. Fotograf jednak nadal nie wydawał się usatysfakcjonowany.

- Nogi! - odkrył. - Nogi muszą być do mnie bokiem! Jak chce. Mogą być i bokiem.

- Nie! - przerwał mi jednak, gdy już zaczęłam się odpowiednio przekręcać.

Rany, niech ten chłopak się zdecyduje!

- Ty musisz być na wprost, tylko nogi bokiem... - zdecydował wreszcie.

Miałam wrażenie, że w tej pozycji coś lekko trzasnęło mi w kręgosłupie. Zabrakło mi jednak czasu na zgłębianie tego problemu, bo Fotograf wysuwał dalsze żądania dotyczące manewrów nogami.

- Trzymaj je lekko uniesione... Wyprostuj tę na dole, druga lekko ugięta, ale stopa w górę, żeby było ją widać. I obciągnij palce, jak najbardziej obciągnij... O, tak! Dokładnie tak! - zachwycił się wreszcie, a ja czułam, jak z wysiłku trzeszczą mi wszystkie więzadła i stawy.

Do licha! Nie było łatwo! Nikt mi nie powiedział, że sesja zdjęciowa polega na robieniu jakichś dziwnych figur z baletu. Ale dam radę - przypomniałam sobie, że to w końcu cena, aby zostać gwiazdą. One mogą, to ja też dam radę! Pomyślałam niejasno o Britney Spears, Angelinie Jolie, Christinie Aguilerze, zacisnęłam zęby i poprosiłam w modlitwie, aby już szybko poszło. Wtedy wytrwam!

- Ręce... - zmartwił nas jednak Fotograf.

Siebie - nie wiem z jakiego powodu. Mnie - bo jego zmartwienie nie wróżyło niczego wygodnego! Czego on chciał jeszcze od rąk? Nie wystarczyło mu, że już doprowadził do dygotu mięśni mojej nogi?!

- Nie opieraj ciężaru ciała na ręce - wyartykułował wreszcie.

Szkoda, że miałam zaciśnięte zęby. W przeciwnym razie pewnie bym zaoponowała, że muszę przecież na ręce, bo nic innego do opierania się już mi nie zostało. Nie powiedziałam jednak nic. Co prawda próbowałam jeszcze przekazać mu tę rozpaczliwą wiadomość oczami, ale widać nie zrozumiał, bo nalegał dalej.

- Nie opieraj! Luźno ręka, palce też luźno, podłogi dotykasz tylko opuszkami! - rozkazał.

Dłuższą chwilę zajęło mi odnalezienie równowagi poprzez balans na jednym pośladku. Ale dzięki temu zaczęłam rozumieć, dlaczego tyle gwiazd uprawia jogę. To fakt. Bez niej przy sesjach zdjęciowych nie ma szans, aby długo wytrzymać.

- Proste plecy! Ściągnij łopatki! Napnij brzuch! Głowę przekreśl! Za mocno! I lekko pochyl... Wyciągnij brodę...

Znalazł się. Zawodowy instruktor fitness.

- Ślicznie! - ocenił wreszcie zadowolony.

Nie zdziwiłam się, bo bolało mnie już wszystko, tak że nie miał szansy znaleźć jakiegokolwiek niewygiętego, niewykręconego czy nienapiętego fragmentu mojego ciała.

- No! To teraz szybciotko robimy! - powiedział, a ja odetchnęłam z ulgą. Mimo wszystko ten człowiek wiedział, co to litość.

Oczekiwałam, że zaraz pstryknie fotkę. Niestety przeżyłam rozczarowanie. Nie tylko charakterem Fotograf (już i tak nie miałam o nim najlepszego zdania, sadysta jeden!), również tym, że choć mięśnie drżały mi z wyczerpania, wyglądało na to, że fotki szybciotko na pewno nie zrobimy.

- Nie ruszaj się! - krzyknął Fotograf ostrzegawczo, gdy przestrzeń między mną a aparatem wypełniła się ludźmi, którzy mierzyli jeszcze światło, poprawiali lampki, dostawiali czarne lub białe płachty. Jednym słowem, robili kupę zamieszania. - Weź trochę tych z przodu i mniej niech zostanie po lewej stronie... - zamarłam, gdy Fotograf instruował stylistę fryzur. Hm. Nie wiedziałam, że oprócz mnie samej również pojedyncze włoski muszą zająć dobrą pozycję.

Ale nie tylko włosy. Stylistka (ta od ciuchów) poprawiała w tym samym czasie moje ubranie. Naciągała to, co się zmarszczyło, a fałdowała te fragmenty, które były proste.

Zaczełam rozumieć, jak czuje się wystawowy manekin. Przysięgam, w tamtej chwili czułam się dokładnie tak samo.

- Możemy już? - spytał Fotograf po paru minutach, gdy już wszyscy odeszli.

- Tak! - zawołałam błagalnie, bo groziło mi omdlenie z wyczerpania.

- Chwileczkę - powiedziała Mejkapistka.

Jezu. No dobra. Niech jej będzie. Ale jak będzie robić przerwę za każdym razem, kiedy zobaczy krople potu na moim czole, to od razu możemy rozejść się do domu. Pomijając niewygodę, pod tyłoma lampami czułam się jak w piekarniku. Cud, że nie siedziałam jeszcze w kałuży wytopionej ze mnie wody.

- Uwaga! - zawołał Fotograf.

Nareszcie! - pomyślałam z mieszaniną ulgi i ekscytacji. Z wrażenia wstrzymałam oddech. W końcu to była moja pierwsza sesja zdjęciowa. Umierałam z ciekawości, co się będzie dalej działo. Okazało się, że nic. Fotograf raz zrobił „pstryk” i to było wszystko.

- Już? - spytałam zawiedziona. Tyle godzin przygotowań i tylko jedno pstryk?!

- Sprawdzamy - odpowiedział Fotograf. Wtedy cała ekipa, pomrukując do siebie specjalistyczne uwagi, skupiła się nad aparatem.

Zaciekawiło mnie, co oni z taką uwagą tam oglądają. Musiałabym być z kamienia, żeby nie chcieć tego zobaczyć.

- Nie ruszaj się! - krzyknęli chórem, zanim nawet drgnęłam. Zostałam więc na miejscu, ale zastanawiałam się, o co im chodzi?

- Bo trzeba będzie ustawiać od początku - wyjaśniła stylistka, która podczas analizy obrazka w aparacie odkryła jeszcze jakieś mikrozałamanie i podeszła do mnie, aby je

wyrównać. Przekonała mnie. Ustawianie od początku groziło tym, że sesja zdjęciowa potrwa wieki.

- Jest dobrze - zawyrokował wreszcie Fotograf po wiekach debat nad aparatem. - Robimy, proszę się jeszcze tylko uśmiechnąć! Naturalnie, luźno i radośnie! No, radośnie!

Oszalał.

Zdrętwiała z bólu, wysiłku i fizycznego wyczerpania oraz zmęczenia wszystkich absolutnie mięśni, z ciałem powykręcanym w możliwie najbardziej nienaturalnej pozycji, jaką tylko można sobie wymyślić, miałam się jeszcze uśmiechnąć? Jak on to sobie wyobrażał? Poruszenie jednym mięśniem więcej groziło kalectwem i rehabilitacją przez resztę życia!

- No, pięknie będzie! - usłyszałam, jak mamrocze do siebie pod nosem.

Próżność mnie kiedyś zgubi. Usłyszałam „pięknie” i tylko to mnie zmotywowało.

Zmusiłam się zatem do wykonania prawdopodobnie ostatniego wysiłku w moim życiu. Przecząc fizjologii, zapewne tylko za sprawą boskiego cudu, naciągnęłam ostatnie jeszcze niewykorzystane mięśnie: twarzy.

Uśmiechnęłam się.

- Coś nie tak... - zafrasował się Fotograf. Zamarłabym, gdyby nie to, że i tak byłam już przecież prawie nieżywa. Toteż tylko dlatego nie zamarłam, a zwyczajnie się przeraziłam. Nie! Znowu zaczyna marudzić! Długo tak nie wytrzymam! - Spróbujmy jeszcze raz - dał mi drugą szansę. Dzięki ci, o Panie! Nie chciałam jej zmarnować, dałam z siebie maksymalnie wszystko, czułam, jak oczy powiększają mi się z wysiłku i tylko sekundy dzielą mnie od omdlenia! Róbmy! Błagam, róbmy!

- A możesz się jeszcze uśmiechnąć zębami? - No tak! Fizyczne wyczerpanie doprowadziło mnie do tego, że słyszę

dziwne głosy! „Uśmiechnąć się zębami”?! - Musisz uśmiechnąć się zębami. - Fotograf wychylił się zza aparatu i powiedział to do mnie wyraźnie.

Miałam wybór. Albo uznać, że na dodatek mam jeszcze halucynacje, albo poczuć ulgę, że to nie omamy słuchowe. Wybrałam to drugie i tony kamieni spadły mi z serca. Rany, co za radość! Nie mam omamów!

- No?! - ponaglił Fotograf wyczekująco, więc szybciotko przestałam się cieszyć, tylko skupiłam się nad bieżącym problemem.

- Ale jak? Mam nimi ruszać? - wykrztusiłam przez zaciśniętą szczękę, poważnie ryzykując zerwanie ścięgien. Jak, do licha, można się śmiać zębami?

- Co? - zdumiał się Fotograf. No nie! Zamiast się zdumiewać, ma mi wyjaśnić z łaski swojej, o co mu, do licha, chodzi! - Potrafisz ruszać zębami?

- Nie! - Co za bałwan! - To co mam z nimi robić? Błyskać?

- Jak błyskać? - spytał z podejrzanym zainteresowaniem.

Nie. W taki sposób ta dyskusja krótko nie potrwa.

- Nijak! - odpowiedziałam więc gniewnie. - Ale nie wiem, co mam robić!

- Uśmiechać się - powiedział rozbrajająco.

No tak. Zrozumiałam, na czym polega życiowy pat.

- Zrozum - Fotograf widać też to zrozumiał, bo postanowił wytłumaczyć mi sprawę łopatologicznie. - Bez zębów żadna gazeta tego nie kupi! Trzeba będzie powtarzać sesję! Wiesz, ile aktorek zmarnowało sobie karierę, bo nie miało zębów?!

- Ale ja mam zęby! - zaoponowałam, do głębi poruszona faktem, że podejrzewa się mnie tu o sztuczną szczękę.

- No to je pokaż! Uśmiechnij się i pokaż!

No tak. Wreszcie załapałam. Nie mógł od razu powiedzieć, że mam uśmiechnąć się zębami?! Przepraszam - z zębami? Uśmiechnęłam się na próbę, wyszczerzając zęby.

- Pięknie! Naprawdę pięknie! - zapiał Fotograf i wreszcie zaczął fotografowanie.

Szczerzyłam więc zęby przez kolejnych parę godzin lepiej niż niejeden zawodowy pies bojowy, tak że na koniec zaczęłam się obawiać zakwasów szczęki. Jednak ten lęk mnie nie powstrzymał. Dużo gorszy był bowiem drugi - że żadna gazeta nie kupi zdjęć i trzeba będzie powtarzać sesję. Twardo uśmiechałam się dalej, podczas kolejnych zdjęć i kolejnych ustawień, uśmiechałam się tyle czasu i z takim zapamiętaniem, że gdy wreszcie ktoś powiedział „koniec”, długo nie mogłam odlepić z twarzy tego przekłętego uśmiechu. Może i dobrze. Powinnam ćwiczyć. Z tego, co mówili, czeka mnie jeszcze wiele sesji zdjęciowych. I mieli rację - nie kojarzę z gazet zdjęcia aktorki, która śmiała się, nie pokazując zębów.

Z tym że do tej pory wydawało mi się, że one wszystkie mają tak naturalnie. Nie wpadłabym nigdy na to, że gazety nie kupują zdjęć, gdy nie ma na nich zębów.

Nie obejdzie się bez drobnych kompromisów

Po dokładnym przestudiowaniu umowy Haneczka miała prawo autorskie w małym palcu. Maciek też z powodzeniem mógłby już je wykładać na każdej prestiżowej uczelni. Natomiast ja? No cóż. Miałam na swoim koncie zaliczonych kilka nowych egzotycznych potraw.

- Możesz podpisać - powiedzieli mi pewnego wieczoru. - Co prawda nie dlatego, że masz tam superkorzystne warunki, ale jak chcesz w tym pracować, to nie masz innego wyjścia.

Spojrzałam im głęboko w oczy i przemyślałam sprawę raz jeszcze.

Fakt. Warunki nie były korzystne. W umowie nie było niczego o własnej przyczepie. Ani słowa również o kwiatkach, poziomkach czy chociażby o kawałku czerwonego dywanu. Nie wspomnieli nawet o asystencie od herbaty. To było rozczarowujące, tym bardziej że przecież zupełnie inaczej pokazują warunki pracy aktorek w amerykańskich filmach.

Niestety jednak chciałam w tym pracować. Dlatego nie zastanawiałam się zbyt długo i zgłosiłam się na rozmowę do Producenta.

- Ach! Witam naszą uroczą gwiazdeczkę! - aż rozpląwał się w uśmiechach, gdy tylko stanęłam w drzwiach jego gabinetu. Zaprosił mnie do środka, posadził w głębokim, wygodnym fotelu.

- Pani Izo... - zaczął. - Jestem uszczęśliwiony...

Może nie wszystko stracone i jeśli nie poziomki, to wytarguję chociaż jakieś jabłka! - pomyślałam chytrze, jednym uchem słuchając, jak strasznie jest zadowolony, że będę u nich pracować.

- Jest pani naprawdę świetna... zdolna... genialna... - do moich uszu, niczym pienia anielskie, dolatywały peany Producenta.

I dywan. Albo chociaż czerwony chodniczek - podnosiłam natychmiast w myślach poprzeczkę. No, ale skoro tak się cieszy, to powinien to jakoś wyraźniej zaakcentować.

Niestety, w tym momencie Producent zmienił swoją przemowę dość radykalnie. Już się nie cieszył. Teraz opowiadał, ile wysiłku, pracy, pieniędzy, poświęceń, wyrzeczeń, potu, krwi i łez będzie go kosztowało zatrudnienie właśnie mnie przy tym nieszczęsnym serialu, który ma tak niski budżet, że ktoś inny na jego miejscu nie dałby rady zrobić za te pieniądze nawet amatorskiego filmiku z wesela.

Słuchając go, doszłam do wniosku, że żądanie dywanu było zbyt dużą pascernością.

Mówił dalej, a ja nagle stwierdziłam, że przecież owoce równie dobrze mogą zabierać ze sobą z domu.

Nie przerywał, a mnie nagle bzdurne się wydały wszelkie moje roszczenia. Nawet więcej - zaczynałam czuć coraz głębszą wdzięczność, że okazał mi aż tak wielkie zaufanie i właśnie mnie chciał powierzyć tak fantastyczną rolę. Na dodatek - nie za darmo! Zadeklarował przecież, że będzie mi płacił za to, co prawda symboliczne, ale jednak jak najprawdziwsze pieniądze. Ogarniały mnie coraz większe wyrzuty sumienia. W niejasny sposób czułam, że przekraczam granice taktu i dobrego smaku, nie oferując mu chociaż symbolicznej rekompensaty za to, że zgodził się litościwie, abym mogła u niego pracować.

- Ma pani jakieś uwagi do umowy? - przerwał w najmniej spodziewanym momencie.

- Nie - odpowiedziałam, zanim przyszło mi do głowy, że to był dobry moment, aby zasugerować wyrzucenie paragrafu „wynagrodzenie”, bo przecież z przyjemnością zatrudnię się tu bez tego.

- W takim razie proszę podpisać... - No tak. Na uwagi zrobiło się za późno. Westchnęłam ciężko. Trudno.

Przegapiłam. I teraz z tak ogromnym wyrzutem sumienia, że nie pracuję za darmo, będę musiała nauczyć się żyć.

Było mi ciężko, ale wzięłam długopis. Zapewne za to będę po wsze czasy smażyć się w piekle jako wyzyskiwaczka dobrego serca Producenta.

I podpisałam.

Trzy egzemplarze. Dwa dla nich, jeden dla mnie.

- Bardzo się cieszę - Producent natychmiast znów zmienił ton. Rany, ten człowiek miał naprawdę gigantyczne wahania nastrojów.

Wstał z krzesła, więc natychmiast zrobiłam to samo i uścisnęliśmy sobie dłonie. To znaczy dla precyzji: on uścisnął, a ja ze wszystkich sił próbowałam nawet nie pisnąć, bo miałam wrażenie, że nie za bardzo pasowałoby to do podniosłości i powagi tej chwili. (Jak po latach miałabym niby opowiedzieć to wnukom? „I w tym uroczystym momencie, dzięki któremu wasza babcia miała zostać gwiazdą, w chwili gdy Producent uścisnął jej dłoń, babcia pisnęła przeraźliwie”? Nie, w ogóle to nie brzmiało!)

- No dobrze - wreszcie Producent zakończył część oficjalną i z powrotem usiadł za biurkiem. - To w takim razie możemy zacząć nad panią pracować.

Zaśmiałam się uprzejmie. Żart, co prawda wcale nie z pierwszej ligi, ale trzeba przyznać, w ustach Producenta nawet gorsze nabierały wyrafinowania. Ha, ha, ha! - zaśmiewałam się do rozpuku. Faktycznie, w sumie nad czym niby mają pracować? Jednak zreflektowałam się szybciotko i zdusiłam w sobie kolejny atak śmiechu (to nerwy), gdy zauważyłam, że twarz Producenta nie zawtórowała mi nawet najlżejszym grymasem..

Ej? To nie był żart?

Zastanowiłam się przez chwilę. Jak to? To jest nad czym? O co mu niby chodzi? - myślałam gorączkowo.

- Zaraz ktoś pani przyniesie scenariusze - wyjaśnił Producent.

A! Wreszcie załapałam. No tak. Scenariusze. Muszę się przecież ich nauczyć. Będą pracować, żebym się nauczyła.

- Zdjęcia rozpoczną się mniej więcej za miesiąc - poinformował mnie jeszcze. - Ktoś pani poda dokładną datę.

- Za miesiąc? To mam jeszcze dużo wolnego... - zmartwiłam się trochę, bo to oznaczało, że będę musiała popracować nad cierpliwością, a to nigdy nie było moją mocną stroną. Pracy w serialu nie mogłam się już doczekać!

- Wolnego? - zdumiał się Producent i popatrzył na mnie dziwnie, ale już nic nie powiedział. Wreszcie, jakby zebrał się w sobie, wstał z krzesła i wolno poszedł w kierunku drzwi.

- Proszę tu zostać - usadził mnie z powrotem, bo właśnie się podrywałam, żeby szybko pójść za nim. I spojrzał na mnie jeszcze raz. Długo, przeciągle, pełnym zagadkowej nostalgii wzrokiem. Takim, jakim się patrzy na coś, co się prawdopodobnie ogląda ostatni raz w życiu. To było tak przejmujące, że już chciałam powiedzieć coś optymistycznego, na przykład: „nie rób głupot, stary, przecież masz po co żyć!” albo w inny subtelny sposób dodać mu otuchy.

Cholera. Od razu po tych zmianach nastroju można było poznać, że coś jest z nim nie tak. Zanim jednak zdążyłam się zastanowić, co byłoby najwłaściwsze, on już podjął decyzję i energicznym ruchem otworzył drzwi.

- Dobra! Możecie działać! - zawołał i nie spojrzawszy już na mnie, wyszedł, ustępując miejsca napływającej ogromną falą hordzie ludzi.

Przedstawiali się, gdy wchodzili. Niektórzy (jak Agnieszka) mówili nawet, po co tu przyszli. Niepotrzebnie. I tak nie udało mi się wszystkich zapamiętać, co najwyżej połowę z nich.

- Wojtek od PR - u, Anita, kostiumograf, Tomek, stylistka fryzur, Martyna, instruktor, Agnieszka, dzień dobry, jestem tu nową asystentką, czy ktoś może ma ochotę na kawę lub herbatę, aha, to przepraszam, Drugi Reżyser, Robert, mam tu dla ciebie scenariusze, Grażyna, charakteryzatorka, Irek, reżyser, no tak, my się już przecież znamy - płynął jednostajny głos, który co jakiś czas przerywałam swoim „dzień dobry, miło mi, dzień dobry, nie, ja dziękuję za herbatę, miło mi, dzień dobry...”.

Kiedy już wszyscy się zebrali, przez jakąś sekundę była cisza i znów zaczęli mówić. Tym razem jednocześnie i trwało to co najmniej godzinę. Nie denerwowałam się, że nic z tego nie zapamiętam, i nawet nie usiłowałam tego robić, bo na całe szczęście na samym wstępie usłyszałam głos Drugiego:

- Do mnie z terminami! Ja ustalam jej harmonogram. Patrzyłam tylko, co się dzieje, i jedynie raz się ruszyłam, by podać garderobianej but, gdy chciała sprawdzić mój rozmiar. Było fajnie. Wszyscy krzyczeli, garderobiane mierzyły mnie centymetrem i pomyślałam wtedy, że praca w filmie wydaje się potwornie intrygująca.

- To jest twój grafik - na koniec, gdy wszyscy wyszli, Drugi podał mi zrobioną na komputerze tabelkę z listą moich zajęć. Spojrzałam. Dzień w dzień, godzina po godzinie, szczegółowo miałam wypisane zajęcia typu: próba, przymiarki, fryzjer, manikiur, z uwzględnieniem - jak zauważyłam - trzydziestominutowej przerwy pod hasłem „obiad”.

- Zajęcia fitness? - zdziwiłam się, gdy odkryłam, że taki jest początek każdego mojego dnia.

- No, tak jak w umowie - zdziwił się Drugi tym, że jestem zdziwiona.

- A. No tak - odpowiedziałam szybko, żeby się nie wydało, że nie przeczytałam jej ani razu. Znów spojrzałam w

tabelkę. Rany! Ani chwili wolnego!, pomyślałam z obawą i nawet przez ułamek sekundy zabłysła mi myśl, czyby się jednak z tego nie wycofać i zwyczajnie w świecie nie uciec. Opanowałam się jednak. Nie dlatego, że byłam pracoholiczką i pasjami uwielbiałam się męczyć. Przeciwnie. Przypomniałam sobie straszliwe kary i konsekwencje, które groziłyby mi po czymś takim, i zdałam sobie sprawę, że wpadłam. Musiałabym je równie ciężko odpracowywać przez resztę życia.

Zostałam więc.

A potem się zaczęło.

- Raz, dwa, raz, dwa, bardzo dobrze, i podnosimy nóżkę, raz, dwa, raz, dwa, pani z lewej wyżej nóżkę, wyżej, tak, tamta pani, tak, do pani mówię - cały czas usiłowałam udawać, że to jednak nie do mnie, ale instruktorka aerobiku, Martyna, widać nie pierwszy raz miała do czynienia z syndromem nagłej głuchoty podczas swoich zajęć, bo podeszła wreszcie i stanęła koło mnie.

- A! Ja! - wysapałam ledwie żywa, a pot zalewał mi oczy. Bolał mnie każdy jeden, nawet najmniejszy mięsień (rany, nie wiedziałam, że mam ich tyle), a płuca bezskutecznie domagały się chociaż odrobiny tlenu.

- Tak, pani. Wyżej nóżka, wyżej!

Z całych sił się starałam. Niestety, nie mogłam wyżej. Starałam się, aby chociaż troszeczkę udało się ją podnieść.

- Talia, zapiszcie, koniecznie trzeba podkreślać jej talię. Weź, proszę, i przymierz to teraz, nawet do tej samej góry będzie dobrze. Dziewczynki, dajcie tu szybko jakieś buty na wysokim obcasie.

Garderobiane zwijały się jak w ukropie, podając, zapisując, odnosząc i przynosząc. Kostiumografka dyrygowała. Ja stałam na środku i bez słowa skargi, na komendę, wkładałam i zdejmowałam, a potem znów

wkładałam, żeby ponownie zdjąć i włożyć. W jeden dzień udało mi się zaliczyć normę przebierania, której przeciętny człowiek nie byłby w stanie wykorzystać w ciągu całego roku. Niby nic, ale muszę się przyznać, od tego nieustannego zdejmowania i wkładania robiło mi się coraz bardziej niedobrze.

- Zapomnijcie o długości trzy czwarte, skraca nogi. Co z biodrówkami? Czy ja się mogę wreszcie doprosić o biodrówki? Zapiszcie, absolutnie nie zielony, to nawet prywatnie ci radzę, nie zakładaj nigdy zielonej góry, spójrz na siebie, wyglądasz, jakbyś była co najmniej chora!

- Witam wszystkich aktorów, zaczynamy próby. Poznajcie główną bohaterkę Weronikę. - Reżyser wypchnął mnie do przodu. - To właśnie Iza. Jest amatorką, debiutuje przed kamerą, tak że proszę, pomóżcie jej się w tym odnaleźć.

- Nic się nie martw, będzie dobrze.

- Trzeba tylko pamiętać o naturalności.

- Z serca, rób wszystko z serca.

- Trzeba myśleć, co, jak i dlaczego się robi, pamiętaj, myśleć!

Zaczęli mówić wszyscy naraz, tak że ciężko mi było zrozumieć, o co właściwie komu chodzi. Myśleć sercem. Tak? Tak to było?

- I raz, dwa, raz, dwa, raz, dwa, i seria skłonów, nie ociągać się, nie ociągać, bardzo dobrze, raz, dwa, raz, dwa, pani Izo, mówiłam, nie ociągać się!

- Koniecznie odsłonięte czoło, żeby włosy nie zasłaniały oczu, pamiętajmy, dla kamery najważniejsze są oczy!

- Proste, rozpuszczone, to wydłuży jej twarz, nie będzie taka okrągła...

- Wysoko upięte! Klasyczna elegancja!

- Kobiecość! Liczy się kobiecość! Nie robimy tutaj Helgi z filmu o esesmanach!

- Nie możemy jej postarzyć! Tylko luźne, młodzieżowe, nieuporządkowane skręty!

- Jakie skręty? Prosta, krótka, chłopięca fryzurka! Czterech najlepszych stylistów fryzur wyklócało się o mój wygląd. Kompletnie nie zauważali, że robią to tuż nad moją głową, chociaż od czasu do czasu próbowałam zwrócić im delikatnie uwagę, że tu jestem.

- Nie krótka! Błagam, tylko nie krótka - prosiłam cichutko, bo i tak nie dałabym rady ich przekrzyczeć...

- Ubrania do pracy wersja pierwsza. Druga... Trzecia... Enta... Elegancki obiad. Impreza w klubie. Babskie pidżama party. Romantyczna kolacja. Chandra w domu. Spacer po lesie.

Kostiumografka zapowiadała moje kolejne wejścia, a ja raz za razem musiałam paradować w coraz to innych zestawach ubrań przed komisją akceptującą w składzie: Reżyser, Producent, kompletna obsada biura produkcji uszczęśliwiona bezgranicznie tą nieoczekiwaną, nadprogramową rozrywką.

- U la la! Ale laska! - robili za klakę, a ja myślałam, że spalę się ze wstydu.

- No nie! Ona ma być sexy, a nie jak worek kartofli - czasem jednak komentowali w inny sposób. Wtedy przestawałam myśleć. Marzyłam o tym, żeby od razu zniknąć z powierzchni ziemi.

- Plecy! Prostuj plecy, pierś do przodu, pamiętaj o wciąganiu brzucha! - zduszonym szeptem podczas zmian kreacji instruowała mnie Kostiumografka.

- Tak, tak - przytakiwałam. A potem chodem manekina, ale wciągając, prostując i wypinając, co tylko się da (aczkolwiek mam małą obawę, że raz czy dwa udało mi się wypiąć to, co miało być wciągnięte, i na odwrót, chociaż liczyłam, że nikt tego nie zauważył), maszerując po pokoju,

czekałam na wykonanie gestu Cezara przez Reżysera, który w ten sposób przyjmował bądź odrzucał przy gorącym aplauzie publiczności kolejne kostiumy...

- Uwaga, próba czytana, scena siódma, odcinek drugi, od Weroniki. Akcja!

- Oj, nie, bez łaski, sama sobie poradzę - przeczytałam najpiękniej, jak umiałam. Nie będę ukrywać. Chciałam na aktorach zrobić jak najlepsze wrażenie.

- Poczekaj, poczekaj... - przerwał mi aktor, który siedział obok. - Postaraj się powiedzieć to z większym przejęciem. Wiesz, z uczuciem!

- Oj, nie, bez łaski... - zaczęłam więc znowu. Z uczuciem.

- Gestem! Wspomóż się gestem! - przenikliwym szeptem poradziła siedząca naprzeciwko starsza aktorka.

- Gestem. Tak - przytaknęłam. I zaczęłam od nowa. - Oj, nie, bez...

- Stop! Jakim gestem? Ja bym to raczej powiedziała zimno, bez gestów, posłuchajcie... Oj, nie, bez łaski, sama sobie poradzę.

- Zimno ci? To włóż sweter! - wtrącił się znów ten z boku. - Ona nie jest zimna. I dlatego to trzeba tak: Oj... nie... bez łaski! Sama...

- Zupełnie nie! Raczej tak: Oj, nie! Bez łaski. Sama...

- Słuchajcie teraz! Mnie słuchajcie! ... bez łaski, sama sobie poradzę!

- Oj, nie... bez łaski, sama sobie poradzę...

Przez jakiś czas nic innego nie było słyhać, tylko recytujących moją kwestię aktorów. Litości! Powiedzieli to już na tysiąc sposobów, a ja cały czas umiałam wyartykułować tylko w jeden. Słuchałam ich i zaczynałam łapać coraz większego dola...

Nie ma co! Pomagali mi całym sercem!

Wstawałam o siódmej, do domu dowlekałam się grubo po dziewiątej, i tak dzień w dzień i tydzień po tygodniu.

Aerobik - przymiarki - próba - sesja - aerobik - spotkanie z PR - owcem - fryzjer - próba - znów fryzjer - aerobik - sesja - próba - przymiarki - próba - kolejny raz fryzjer - próba - druga próba - przymiarki - aerobik - próba.

- Tylko miesiąc. To ma trwać tylko miesiąc - pocieszałam się przed zaśnięciem i walcząc z samoczynnie opadającymi powiekami, ostatnim gestem przed zaśnięciem odkreślałam kolejne dni. Jak się już złączą zdjęcia, to nie będzie tej gonitwy, że wszystko naraz, będziemy powoli, systematycznie pracować.

Powtarzałam sobie to, o czym zapewniali mnie wszyscy dookoła, i coraz częściej marzyłam tylko o jednym: żeby ten amok wreszcie się kiedyś skończył.

- Proszę się zrelaksować. Odpocząć. Zregenerować siły. Dojść do siebie - po miesiącu usłyszałam z ust Producenta słowa anioła. - Ma pani kilka wolnych dni, zaraz potem zaczynamy.

Wreszcie koniec - pomyślałam uszczęśliwiona, że dali mi przynajmniej parę dni wolnego. Zresztą nic w tym dziwnego! - dodałam, gdy po powrocie do domu spojrzałam w lustro. Dawno tego nie robiłam. Wystarczało mi, że codziennie tłumnie patrzyli na mnie inni. Schudłam (ale Produkcja widziała, nie było to samowolne). Miałam wielkie wory pod oczami. Szarą skórę. I pryszcz.

I w parę dni powinnam się doprowadzić do ładu? Jak niby mam to zrobić?

Prawdziwi z nich optymiści!

Jak nie wpaść w rutynę

Następnego dnia udało mi się wypaść, co natychmiast mnie zrelaksowało. Zadowolona, postanowiłam się trochę poobijać i po godzinie okazało się, że potwornie się nudzę. Albo raczej - nie miałam zajęć, które by odwracały uwagę, i nie mogłam się skupić na żadnej czynności, tylko z niecierpliwością myślałam, jak to będzie na planie.

Kolejny dzień okazał się jeszcze gorszy. Nie mogłam sobie znaleźć miejsca, chodziłam z kąta w kąt i złorzeczyłam Producentowi, że wrobił mnie w te dni wolne. Rany, kiedy zacznę? Czy naprawdę trzeba aż tyle czekać?

Żeby czas szybciej mijał, zrobiłam pranie, wysprzątałam mieszkanie, umyłam okna, uprałam tapicerkę na kanapie, wytrzepałam dywan i zrobiłam generalne porządki w szafie. Gdy wreszcie porządnie się zmęczyłam, poczułam się troszeczkę zadowolona. Z tym nastawieniem zasnęłam. Niestety, gdy się obudziłam, nie było po nim śladu, a nawet czułam się dużo gorzej. Mieszkanie było wysprząтанe i mimo intensywnego myślenia nie wpadłam na to, co w takim razie mogłabym teraz ze sobą zrobić.

- Posprzątaj piwnicę! - znalazła mi szybko zajęcie Haneczka.

Piwnicę?! Nawet nie wiedziałam, że jest tu jakaś piwnica.

Była. Na dodatek wyglądała na taką, do której od dziesięciu lat żywy duch nie zaglądał.

Cudownie. Właśnie takie coś było mi potrzebne!

Bosko! - parę godzin później cieszyłam się jak dziecko. Byłam szara od kurzu i pajęczyn, miałam połamane prawie wszystkie paznokcie i jeden wielki kołtun zamiast włosów, natomiast piwnica nie wyglądała ani trochę lepiej. Właśnie wtedy zadzwonili z Produkcji.

Już jutro zaczynam! (Rany! Jutro! Już jutro jest JUTRO!)
O 5.30 pod domem będzie czekał samochód. (Samochód! Po

mnie! Jak po GWIAZDĘ FILMOWĄ! Rany! Jestem GWIAZDĄ FILMOWĄ! Jestem TAKA SZCZĘŚLIWA!!!)

Byłam szczęśliwa tak bardzo, że dopiero gdy odłożyłam słuchawkę, dotarły do mnie wszystkie informacje.

RANY!!! - tym razem spanikowałam.

5.30?!

Tak, z pewnością oszaleli. Kto jest przytomny o tej godzinie? I jak mam na dodatek wyglądać wtedy urzekająco? Chcą mi zniszczyć karierę na samym wstępie?! W życiu się nie wyśpię! Normalnie kładę się po północy, przed piątą nigdy w życiu nie wstawałam... O tej godzinie parę razy udało mi się co najwyżej położyć.

Jednak postanowiłam zachowywać się odpowiedzialnie - rodzice byliby wniebowzięci - i pomyśl, żeby w takim razie w ogóle się nie kłaść, odrzuciłam jako głupi.

5.30, hm. Czyli w takim razie muszę wstać o 4.30, żeby się przygotować. Osiem godzin snu, żeby na pewno nie mieć worów pod oczami. Nie ma siły. O 20.30 muszę już spać martwym bykiem.

W imię racjonalności już o 19.30 byłam po: szybkim manikiurze i pedikiurze, maseczce z alg na twarz i z wyciągu ze słonecznika na włosy oraz długiej, relaksującej kąpieli. Nie zdążyłam tylko zjeść kolacji. Ponieważ zabrakło mi czasu, postanowiłam nie jeść. Nastawiłam budzik, wyłączyłam telefon, zgasłam światło i z mocnym postanowieniem, że zaraz zasnę, zamknęłam oczy. Po nieskończonych godzinach wałki i przewracania się z boku na bok wreszcie się poddałam. Znow otworzyłam oczy. Zegarek pokazywał 19.33. Odetchnęłam z ulgą - mam jeszcze pięćdziesiąt siedem minut do godziny zero. Nie jest źle. Szybko wstanę i dla uspokojenia wystarczy, jak zaparzę sobie melisę. Wtedy zasnę.

Szybko więc wstałam, zaparzyłam i popijając łyżkami wrzątek, wyrobiłam się na 19.53 z powrotem do łóżka. Zgasiłam światło. Zamknęłam oczy.

No nie! Jak mogę zasnąć, skoro myślę tylko o tym, jak będzie jutro?! Bez sensu takie kładzenie się o 19, nawet dzieciakom przed snem puszcza się dobranocki... To nie jest głupi pomysł, bajki je nużą, myśli odrywają się od spraw codziennych i zaczynają błądzić nie wiadomo gdzie. Dzieciak sam nie wie, kiedy zasypia.

Zdecydowanie włączyłam światło i telewizor. Bardzo dobrze. Zacznę oglądać jakiś film i sama nie wiedząc kiedy, po prostu zasnę.

Rany!!! Jutro tam będę! Jutro sama będę robić coś takiego! - aż podskoczyłam, kiedy na ekranie pojawiły się napisy początkowe jakiegoś serialu.

Jedzie samochodem! - podskoczyłam znowu, bo w jutrzejszych scenach miałam akurat jechać samochodem.

Rozmawia z przyjaciółką! - podskoczyłam po raz kolejny, bo na jutro też miałam zapisaną rozmowę z przyjaciółką.

Siedzi w kawiarni! - podskoczyłam ostatni raz, bo chyba dorobiłam się już siniaka na siedzeniu.

Siedzi w kawiarni?! - zdenerwowałam się, bo akurat nie miałam takiej sceny na jutro. Cholera, czy ja będę w ogóle siedzieć w kawiarni? Nie przypominałam sobie, żebym czytała taką scenę w scenariuszu. Co za zaniedbanie.

O! - podskoczyłam z ulgą, zapominając o siniaku, ale dla odmiany przypominając sobie, że na pewno będę grać scenę w parku, a bohaterka w telewizorze właśnie chodziła po jakimś parku.

O 22.40 przestałam podskakiwać. Nigdzie nie mogłam znaleźć już żadnego serialu i przypomniałam sobie o odpowiedzialności. Wyłączyłam telewizor, zamknęłam oczy.

Cholera. Już i tak się nie wyśpię. Rano będę nieprzytomna, więc tak naprawdę to zaoszczędzę jutro trochę czasu, jeśli teraz wstanę i przygotuję sobie ubranie.

Wstałam. I dobrze zrobiłam, bo okazało się, że nie mam się w co ubrać. Chciałam wyglądać zwyczajnie, żeby nie sprawiać wrażenia, że stroiłam się wiele godzin, ale jednocześnie urzekająco i z klasą, z lekką nutą niefrasobliwej elegancji i najlepiej, żeby mi w tym było wygodnie.

O 23.24 przeżyłam załamanie nerwowe. Czemu nikt nie wpadł jeszcze na pomysł, żeby otworzyć całonocny sklep z ciuchami?! Przecież ten człowiek zbiłby majątek, miałby pełno zdesperowanych klientek, które następnego dnia bladym świtem muszą przecież jakoś wyglądać.

Żeby o tym nie myśleć, poszłam do lodówki. Pomogło. Załamanie nerwowe ustąpiło zaraz po budyniu z konfiturą.

O 23.42 po tysiącach kompromisów położyłam się znów do łóżka. Trudno. Muszę spać. Zgasiałam światło. Zamknęłam oczy.

Muszę.

Muszę.

Muszę!

Inaczej będę nieprzytomna.

Nie wstanę od razu, zaśpię i się spóźnię.

Nie usłyszę budzika... Budzika? Czy ja w ogóle nastawiłam budzik?

O 23.51 przekonałam się, że jednak tak. Na wszelki wypadek nastawiłam go na 23.52, żeby sprawdzić, czy działa.

Działał. Z powrotem nastawiłam go na 4.30. Po namyśle przestawiłam na 4.45 - w końcu mam już przygotowane ubranie, mogę podarować sobie te piętnaście minut. Niby tak. Ale z drugiej strony - jeśli miałabym nie zdążyć, to chyba lepiej, żeby budzik obudził mnie te piętnaście minut wcześniej. Nie zdążyłam go przestawić. Zasnęłam.

Kurczę! Zaspałam! - z takim potwornym przekonaniem zerwałam się z łóżka.

Niepotrzebnie. Zegarek twierdził inaczej i ze stoickim spokojem mrugał 00.56. Trochę mnie to zmartwiło. Muszę czekać jeszcze tyle godzin do rozpoczęcia pracy. Trudno. Z rezygnacją wróciłam do łóżka. Tak, bycie Gwiazdą Filmową zmienia człowieka na lepsze. Oprócz odpowiedzialności daje też konsekwencję - z pełnym poświęceniem wróciłam do łóżka jeszcze o 1.41, 2.27 i 3.23.

O 4.12 wreszcie mnie to zirytowało. Czy ta noc ma zamiar nigdy się nie skończyć?! Co za pomysł zresztą, żeby tak późno zaczynać?! 5.30! Szkoda, że nie dopiero w południe!

Oburzona tak beztroskim lenistwem filmowców wstałam, zjadłam śniadanie, ubrałam się i irytacja przeszła mi dopiero przy makijażu - musiałam zająć się dużo bardziej palącym problemem.

Hmmm, jak się umalować?

Rzęsy koniecznie, ale co ze szminką i cieniem na oko? Mężczyźni pod tym względem mają, jak zwykle, dużo łatwiej. Wystarczy, jeśli użyją wody po goleniu i już mają z głowy.

Póki co postanowiłam jednak chwilowo odpuścić feministyczną agitację, aby więcej uwagi poświęcić temu, co właśnie skończyłam malować sobie na twarzy.

No, no!

Normalnie byłabym z siebie bardzo zadowolona. Jednak teraz świadomość, że za chwilę będą mnie oglądać profesjonaliści, dodała mi trochę autokrytycyzmu. Niby nie było źle, szkoda tylko, że używając tuszu, nie ograniczyłam się do pomalowania jedynie rzęs i pacnęło mi się trochę na powiekę.

Spojrzałam na zegarek - miałam czas, dlatego postanowiłam spróbować po raz drugi.

A potem trzeci.

Przed czwartym trochę się zawahałam, czasu zostało bardzo mało. Ale z drugiej strony nie chciałam już pierwszego dnia tak zawieść charakteryzacji. Toteż mimo wszystko podjęłam wyzwanie.

Jej! - kątem oka spojrzałam na zegarek. No tak. Spóźniłam się. Wiedziałam! Żeby się pocieszyć, po raz ostatni spojrzałam w lustro. Genialnie! Mimo wszystko było warto. Nigdy wcześniej nie udało mi się tak równo wszędzie pomalować. Padną z zachwytu. Makijaż w wersji czwartej to makijaż doskonały.

Wreszcie o godzinie 5.31 zeszłam do samochodu. Hm. Czarne volvo z przyciemnianymi szybami już na mnie czekało. Przez chwilę korciło mnie, aby poczekać na jakiegoś sąsiada, żeby mnie ktokolwiek zobaczył (Co za pomysł zaczynać tak rano? O siódmej biegałoby tu już przecież z pół kamienicy!), ale kierowca nie czekał. Zobaczył mnie, wysiadł i kulturalnym gestem otworzył drzwi do samochodu. Chociaż ociągałam się, jak mogłam, nikt nawet nie wyjrzał, a ponieważ kierowca patrzył na mnie coraz dziwniej... No cóż, nie miałam wyjścia. Wsiadłam i wreszcie odjechaliśmy.

Zapisuj wrażenia z pierwszego dnia zdjęć

- To tu - powiedział kierowca (Pawełek, tak się przedstawił po drodze), wysadził mnie i odjechał. Dzisiaj miało się obyć bez fitnessu, ale czemu zostałam sama w środku lasu? Dodam, pustego lasu. Rozejrzałam się z niedowierzaniem.

Hm. Nie wiem, jak wyglądał plan zdjęciowy, bo nigdy na żadnym nie byłam, ale... jakoś podświadomie czułam, że chyba nie tak. Czegoś tu brakowało. Bo ja wiem? Kamer? Lamp? LUDZI?!

- Dzień dobry, jestem kierownikiem planu, mam na imię Beatka i witam panią na planie zdjęciowym serialu Miłość i zdrada. - Jak spod ziemi pojawiła się jakaś dziewczyna. Chwała Bogu, bo już chciałam odwrócić się na pięcie i pognać z powrotem do domu z okrzykami: „ratunku, porwanie!” - Zapraszam do charakteryzacji - z uśmiechem powiedziała Beatka.

Na wszelki wypadek rozejrzałam się jeszcze raz. Być może coś przeoczyłam. Na przykład charakteryzację w krzakach. Niestety, oprócz starej opony niczego nie zauważyłam. Do licha. Robią sobie ze mnie jaja czy też tak kompletnie nie mam pojęcia o branży filmowej, że nie jestem w stanie rozpoznać czegoś takiego jak charakteryzacja? Spojrzałam niepewnie na Beatkę, która pokiwała głową zachęcająco i dodała:

- Trzeba panią umalować.

- Nie, dziękuję, nie potrzebuję - odpowiedziałam odruchowo, bo cały czas byłam dumna ze swojej czwartej wersji, a poza tym nie chciałam się zdradzić, że nie wiem, gdzie to cholerstwo jest. Ziemiarki wykopują? Budują domki na drzewach? Tak, to brzmiało nawet racjonalnie: na górze jest więcej światła, do zwykłego mejkapu potrzeba potwornie dużo światła, a co dopiero do dobrego. Z całą pewnością

charakteryzacja jest gdzieś na drzewie. Ale jakoś głupio mi było gapić się po drzewach przy Beatce. - Rozejrzę się - powiedziałam więc dyplomatycznie i odeszłam parę kroków. Chyba dobrze zrobiłam, bo Beata wyglądała na nieco skonsternowaną, prawdopodobnie przydałaby się jej chwila samotności. Nie będę ukrywać, mnie też taka chwila była bardzo potrzebna, chciałam spokojnie zastanowić się i znaleźć cokolwiek filmowego, cokolwiek innego niż drzewa.

Pięknie.

Więc jestem na planie filmowym. Z tym że za cholere nie jestem w stanie powiedzieć, gdzie on jest i co ja tu, do licha, mam niby robić?!

*

Kierowniczką planu, Beata, miała dziś ciężki dzień. Drugi raz w życiu pełniła tak odpowiedzialną funkcję (pierwszy raz był przy produkcji szkolnej) i już nie mogła opędzić się delikatnemu wrazeniu, że wcale nie będzie łatwo. Od początku wszystko szło nie tak, jak powinno. Główna aktorka stwierdziła, że nie potrzebuje charakteryzacji. Nikt nigdy nie przygotował Beatki na to, że taka sytuacja może się zdarzyć. Uczyli ją najwyżej, co zrobić, jeśli po dwóch godzinach mozolnych usiłowań aktorki nadal nie da się wyciągnąć z charakteryzacji. Trzeba odciąć prąd i zagrozić, że dalej będzie musiała malować się po ciemku. Wtedy wyjdzie, aby kontynuować mejkap przy lampach na planie, a tam już przechwyci ją reżyser. Jakim sposobem zmusi ją do tego, aby zamiast dalszej pracy nad makijażem zajęła się raczej pracą nad rolą, tego Beata nie wiedziała, bo nikt nigdy jej tego nie powiedział. W skrytości ducha podejrzewała, że tę wiedzę można zdobyć jedynie na reżyserii. W każdym razie nic dziwnego, że po tak niecodziennym oświadczeniu, że charakteryzacja jest niepotrzebna, lekko straciła głowę. Na dodatek spóźniali się oświetlacze. Co prawda agregat

przyjechał punktualnie, ale obsługiwało go dwóch kompletnie pijanych agregacıarzy. Beatka wołała nie myśleć, co by było, gdyby na plan nieoczekiwanie przyjechała jakaś kontrola. Prawdę mówiąc, liczyła na to, że gdy tylko agregacıarze podłączą sprzęt do busa charakteryzacji, uda się ich cichcem usunąć z pola widzenia reszty ekipy i namówić do snu w zakamarkach którejś ciężarówki, tak że może nikt niczego nie zauważy. Od razu zresztą dostali przykazanie, że pod groźbą natychmiastowego wywalenia z pracy, mają pod żadnym pozorem nie rozmawiać, nie kontaktować się i nie przebywać z żadnym członkiem ekipy.

*

- Choroba mać! - usłyszałam niespodziewanie i zobaczyłam dwóch rachitycznych staruszków, usiłujących rozciągnąć gruby kabel pomiędzy starym żukiem a wrakiem jakiegoś autokaru, który wyglądał tak, jakby właśnie w tym miejscu zakończył swą ostatnią trasę i to przed ponad dwudziestu laty. Autokar wyglądał nieciekawie, ale staruszkowie jeszcze gorzej: ledwo trzymali się na nogach i sapali przy tym w taki sposób, jakby za chwilę mieli wydać ostatnie tchnienie. Rany! Nie wiem, co usiłowali zrobić z tym rozpadającym się gratem, starcy czasem mają naprawdę dziwaczne pomysły, ale jeśli jakoś nie zareaguję, to zaraz tu będą leżały dwa trupy!

- Pomogę! - zawołałam ruszona współczuciem dla zdecydowanie zbyt ciężko pracujących staruszków i chwyciłam leżący na ziemi kabel. Staruszkowie popatrzyli na mnie jakby z aprobatą, odsunęli się uprzejmie, zostawiając mi pole do działania, ale po sekundzie, gwałtownie gestykułując, zaczęli coś tam na boku szeptać.

- Yrgh! - stęknęłam, bo gdy zostałam z kablem sama, okazał się naprawdę ciężki. Nie będzie to proste zadanie.

- Paniusia tu dziś pracuje? - jeden z nich oderwał się od szeptania i z podejrzliwą miną wyraźnie oczekiwał odpowiedzi.

- Aha - przytaknęłam, myśląc, że jak skończę z kablem, to dowiem się od nich, czy może widzieli w okolicy jakąś charakterystycję. Ucieszyłam się ze swojego sprytnego pomysłu i dziarsko ruszyłam w stronę autokaru. To znaczy: chciałam ruszyć. Byłam nawet pewna, że ruszę, toteż o mało się nie wywróciłam, gdy się okazało, że staruszkowie zamiast uśmiechu wdzięczności rzucili mi pod nogi siebie i z zaskakującą jak na swój wiek siłą zaczęli wyrywać mi kabel z ręki.

- Paniusia zostawi! - sapali tak gorączkowo, że teraz byłam już pewna: dobrze, że przyszłam, bo inaczej na pewno skończyłoby się to dla nich zawałem.

- Spokojnie, dociągnę - wysapałam, mając nadzieję, że zabrzmiało to uspokajająco. Chyba nie, bo najwyraźniej zdenerwowali się bardziej i zaczęli ciągnąć kabel w przeciwną stronę.

- Paniusia nie da rady! - Faktycznie. Szłoby łatwiej, gdybym nie musiała ciągnąć kabla razem z uczezionymi tam tymi dwoma!

- Puście! - wystękałam z wysiłkiem.

- Puści paniusia, mówię! - wydyszał w odpowiedzi któryś.

Puściłabym, ale nie było to takie proste. Staruszkowie z taką energią szarpali kablem, że teraz bałam się puścić, żeby się nie wywrócić!

- Dociągnę... do autokaru... - charczałam z nadzieją, że jak kabel będzie już blisko pojazdu, to wtedy się uspokoją. Niestety, to rozgorączkowało ich jeszcze bardziej.

- No, co paniusia! Się paniusi coś stanie! - powiedział ten zielony na twarzy i zachwiał się znacząco, tak że przestraszyłam się, że zaraz będzie po nim.

- Mnie?! To pan zaraz polec! - chciałam przemówić do jego rozsądku i delikatnie zwrócić mu uwagę na jego leciwy stan, ale widać trafiłam w kanał adrenaliny. Rany, skąd w ludziach w tym wieku tyle wigoru.

- Czepia się i jeszcze grozi! - odpysknął i zaparł się z kablem tak, że teraz ledwo ciągnęłam.

- Grozę?! - dotarło do mnie, że to z pewnością wariaci! Mimo wszystko nie mogę pozwolić im paść z wysiłku!

- No, a co! Ja potem powiem, paniusia sama się czepiła! Nie wiedzieć po co tu przylazła! - powiedział do kogoś z boku. Dostrzegłam, że wokół nas zdążyło się już zebrać parę osób. Gapie w środku lasu?

Ale stanowili dla mnie pewną szansę.

*

- POMOCY! - nagle wyrwał Beatkę z zamyślenia charkotliwy jęk aktorki.

„No tak! - pomyślała. - Wiedziałam. Już się awanturuje, bo zobaczyła ten wrak, który przysłali nam jako charakteryzację”.

Ale to właśnie postawiło Beatkę na nogi. Tak, rozhisteryzowana aktorka, to było to, na czym się Beatka znała. Radzenie sobie w takich sytuacjach to było to, w czym była naprawdę dobra.

„Swoją drogą, co za pech. Już pierwszego dnia trafiła mi się tak nieużyta, grymaśna baba”, zdążyła jeszcze uzalić się nad sobą w duchu, zanim wmurowało ją w ziemię.

Tak, zdecydowanie Beatka miała ciężki dzień. W życiu nie spodziewała się takiego widoku. Z niewiadomych przyczyn główna aktorka szarpała agregacıarzy, którzy przy okrzykach zachęty i próbach interwencji ze strony reszty

ekipy wszelkimi sposobami usiłowali się od aktorki uwolnić, ale z niewyjaśnionego powodu nie byli w stanie tego zrobić!

- Rany boskie! - jęknęła Beatka i ugięły się pod nią kolana. - To koniec!

Wizja rozwścieczonej aktorki donoszącej o pijakach równie rozwścieczonemu Producentowi, który nie słucha oczywiście żadnych wyjaśnień, tylko zwalnia z pracy nie dość, że ich, to na dodatek jeszcze i Beatkę, pchnęła ją do natychmiastowego działania.

Ze zmęczenia ciemniało mi już w oczach. Gapie pomagali, szkoda tylko, że nie ustaliłam z nimi wcześniej, co mają robić. Nie wiedzieć czemu pomagali staruszkom zabrać mi kabel. Na szczęście z uporem tytana kroczek po kroczeniu zbliżałam się do autokaru.

- Załatwię to! Zaraz to załatwię! - jedną ręką trzymałam kabel, drugą z marnym skutkiem usiłowałam odgonić pełnych zacieklego wigoru staruszków. - Zwariował pan? Ja was tak na pewno nie zostawię!

- Nie! - krzyknęła spazmatycznie Beatka i uwiesiła się na moich plecach. - Błagam! Proszę! Proszę tego nie robić!

Ki diabeł?! Zmówili się wszyscy czy co?! Pewnie przypadkiem odkryłam jakąś tajną operację rządową: wykańczanie starców przeciąganiem kabla.

- Pomagam! - starałam się wyjaśnić, ale doprowadziło to Beatkę do jeszcze większej hysterii.

- Nie tak! To trzeba spokojem! - Zdumiało mnie to trochę, bo jakoś nie przypomiinałam sobie, abym ten kabel ciągnęła wyjątkowo gwałtownie. Wręcz przeciwnie, o nic innego tu nie walczyłam, tylko o spokój.

- No wła... śnie! - odparłam, starając się z jej uchwytu uwolnić tchawicę, bo powoli zaczynało mi brakować powietrza. Nie udało się.

- Wytlumaczmy to sobie, pogadamy, po co od razu mieszać w to Producenta - ciągnęła Beatka, ale już nawet nie byłam w stanie zrozumieć, o co jej chodzi. Jakiego Producenta? Przecież go tu nie ma! Niestety, mimo szczerych chęci nie mogłam się nad tym zastanowić. Ostatnimi siłami kombinowałam, w jaki sposób złapać chociaż najmniejszy oddech. - Proszę to zostawić! - usłyszałam jeszcze, jak załkała rozpaczliwie, a ponieważ z tym dodatkowym przeciwnikiem szansę miałby jedynie strongman z wmontowaną wewnętrzną aparaturą dostarczającą tlen, nie miałam wyjścia. Mózg odmówił współpracy. Zostawiłam.

- No dobrze, jeszcze zostanę - odetchnęła z wyraźną ulgą Beatka, gdy już ocucili mnie z omdlenia i jakimś cudem udało mi się ją przekonać, że niepotrzebnie rezygnuje z pracy, bo ja na pewno nie naskarzę Producentowi. Nie wiem za to, czemu nie uwierzyła mi, że absolutnie nie mam żadnych złych zamiarów w stosunku do agregacıarzy. Odesłała ich do samochodu, a gdy przypadkiem odwracałam głowę w tamtą stronę, patrzyła na mnie podejrzliwie... - Mamy opóźnienie... To co? Teraz do charakteryzacji? - spytała niepewnie.

- Tak, oczywiście - odpowiedziałam łagodnie, dyskretnie pocierając obolałą jeszcze szyję i poprzysięgając sobie, że nigdy już niczego Beatce nie odmówię, chyba że będę w stu procentach zdecydowana, że mam dość życia, i nie będę umiała znaleźć innego sposobu, aby je zakończyć. Znów na mnie dziwnie spojrzała, więc czym prędzej udałam się do charakteryzacji.

Rany, jeszcze tyle muszę się o tej branży nauczyć! Ale przynajmniej już teraz wiem, że kierowniczkę planu to straszne histeryczki i lepiej im nie odmawiać, bo po chwili dostają niebezpiecznego dla innych amoku.

- Pierwszy raz na planie? - zagadnęła Charakteryzatorka przyjaźnie.

Nie odpowiedziałam.

Nie, nie dlatego, że jestem gburem. Nie jestem. Natomiast sądzę, że istotny wpływ na brak odpowiedzi miał fakt, że jej nos wędrował właśnie w odległości dziesięciu centymetrów od mojej twarzy, a oczy z bezwzględną wnikliwością mikroskopu skanowały w tym czasie każdy, nawet najmniejszy milimetr mojej skóry.

Co w takiej sytuacji zrobiłaby każda normalna kobieta?

Nie. Ja tego nie zrobiłam. Natomiast poruszyłam się niespokojnie i spróbowałam delikatnie zwiększyć dystans. Niestety. Zapomniałam, że fotel przyśrubowany był do podłogi. Kiedy na nim siadałam, usłyszałam, że to dlatego, by nie jeździł po całym samochodzie, gdy autokar jest w ruchu. Ha, ha, ha! Kłamstwo ma krótkie nogi.

Skoro nie mogłam się odsunąć, spróbowałam podejść do sprawy psychologicznie i z równą intensywnością skanować pory skóry Charakteryzatorki.

- Oj! Pyszczyk!

- Gdzie? - zareagowałam odruchowo, zanim zdałam sobie sprawę, że pewnie ona rozszyfrowała moją strategię i teraz stosuje swoją. Rano żadnego pryszcza nie zauważyłam.

- Mamy kłopoty ze skórą? - powiedziała w liczbie mnogiej, a ja nawet bez wnikliwego skanowania zdążyłam już zauważyć, że to „my” powiedziała jedynie przez uprzejmość.

- Ja? Nigdy w życiu! - zaprzeczyłam szybko, ale potem rozważyłam, jakie są szanse na to, że Charakteryzatorka jest ślepa. Poza tym ucziwość zwyciężyła, gdy przed oczami stanęły mi dramaty wczesnej młodości. - To znaczy od jakiegoś czasu już raczej nie.

Wreszcie odsunęła się ode mnie i popatrzyła z daleka.

- No, no, no! - zacmokała. Jakby z uznaniem. Czyżby dalsza perspektywa pozwoliła jej wreszcie zauważyć mój śliczny, starannie wypracowany, dopieszczony w każdym

szczegółe makijaż w wersji czwartej? No! Bo myślałam, że już się nie doczekam! Wyprostowałam się więc i z zadowoleniem oczekiwałam na nieuniknione wyrazy uznania. - No, no, no! Jak nie będziemy zmywać makijażu na noc, to pryszczyki zawsze będą się nam robiły. - Podała mi mleczko i waciki. - I żeby nigdy więcej mi się to nie powtórzyło!

Powoli zaczynałam rozumieć, w czym rzecz, gdy aktorki mówią, że ich praca jest potwornie trudna!

Aczkolwiek cały czas nie mogłam zrozumieć, dlaczego wszyscy mówią, że jest niemiłosiernie nudna?

Wreszcie.

- Zaczynamy! - powiedziała Beatka. - Zapraszam wszystkich na plan!

Nie mogłam się już doczekać. Zaczę pracę! Na planie! Ja!!!

- Robimy scenę czternastą z odcinka drugiego - oznajmiła. Nie zaskoczyła nas. Nie powiedziała nic, o czym byśmy już wcześniej nie wiedzieli. Ponad dwa tygodnie temu każdy z nas dostał z biura produkcji perspektywę, na której szczegółowo było wypisane, którego dnia, jaką scenę, z którego odcinka, z udziałem których aktorów i w jakim obiekcie będziemy robić. Beatka nie powiedziała nic, o czym by nie wiedziały również takie osoby, które (jak ja) dobre dwa tygodnie temu, wychodząc z biura produkcji, natychmiast tę perspektywę nie wiadomo gdzie zgubiły. Biuro zadbało również o takie osoby i parę dni przed zdjęciami wysłało nam szczegółowy plan pracy, informujący:

1. jakie sceny będziemy robić danego dnia,
2. z udziałem których aktorów,
3. w jakich obiektach,
4. z użyciem jakich rekwizytów oraz zawierający:
5. datę,
6. imię i nazwisko reżysera,

7. tytuł serialu.

Nie było ryzyka - nikt się nie mógł pomylić ani zostać zaskoczony. Perspektywka plus plan pracy mówiły o WSZYSTKIM, co na planie mogło nas interesować.

Prawie.

Nawet szczegółowa analiza planu pracy oraz perspektywki (kiedy ją jeszcze miałam) nie dała mi odpowiedzi na jedno, coraz bardziej nurtujące mnie pytanie...

- Pani Izo, zapraszam na próbę.

... które w tej chwili nabrzmiewało we mnie i coraz bardziej nagle domagało się artykulacji...

- Pani Izo!

... wreszcie, przełamując wstyd, który do tej pory kazał mi milczeć w obawie, że palnę jakąś głupotę...

- Pani Izo? ... zapytałam:

- Ale dlaczego właściwie zaczynamy od sceny czternastej z drugiego odcinka?

Ruch ekipy zajmującej się swoimi obowiązkami zamarł. Poczulałam, że kilkadziesiąt par oczu wpatrzyło się we mnie z wyrazem kompletnego zdumienia.

- Jak to? - powiedział ktoś bezradnie. - A od czego mielibyśmy niby zacząć? - to z kolei mnie zdumiało, bo przecież było to takie oczywiste!

- Pierwszego dnia zdjęciowego? Od pierwszej sceny z pierwszego odcinka! - podzieliłam się ze wszystkimi oczywistością. Z oczu powoli znikało zdumienie. No tak, to było logiczne! Kilkadziesiąt par oczu powoli przeniosło się na Beatkę, domagając się jakichś wyjaśnień. No, bo w końcu dlaczego?

- Zaraz, zaraz... - powiedziała Beatka z coraz mniejszą pewnością siebie i wczytała się w perspektywę. - Nie, no jak byśmy mogli od tego zacząć?! Przecież dom Weroniki mamy w przyszły czwartek!

- Aaa! - odpowiedziałam, jakbym cokolwiek z tego zrozumiała. Ekipa odetchnęła z ulgą, Beatce jakby kamień spadł z serca. Wyglądało na to, że problem mamy rozwiązany. Coś jednak cały czas nie dawało mi spokoju... - Chwileczkę - zatrzymałam znów wszystkich. - I co z tego?

- Z czego?

- No, że to jest dom Weroniki? Dlaczego to nie może być dzisiaj?

Znów zapanowała konsternacja. No właśnie, dlaczego?

- Bo dziś mamy tu las - próbowała znaleźć jakieś wytłumaczenie Beatka.

- A co? W przyszły czwartek go tu nie będzie? - spytał rozsądnie któryś z dźwiękowców.

Musieliśmy spojrzeć prawdzie w oczy - problem był nie do rozwiązania.

- Dobra - Beatka podjęła decyzję. - Dzwonię do biura.

Tak, to była nasza jedyna szansa. Telefon do biura wykonywany był wtedy, gdy ekipa stanęła przed problemem nie do rozwiązania. Kiedy my nie umieliśmy go znaleźć, biuro umiało. Gdy my nie wiedzieliśmy, co zrobić, biuro wiedziało. Oddalone od ekipy o wiele kilometrów, odgrodzone od nas grubymi murami, nie traciło głowy i umiało znaleźć wyjście z sytuacji, gdy ponad sześćdziesiąt dorosłych, doświadczonych życiowo, zawodowo i emocjonalnie osób bezradnie borykało się z problemem typu: „Nie dojechał obiad. Co robić?”. "Czekać", odpowiadało biuro, a nam nagle otwierały się oczy, styki mózgowie znów zaczynały działać, tak że byliśmy w stanie zabierać się do dalszej roboty.

- Dlaczego nie zaczynamy od domu Weroniki? - spytała Beatka, a my wszyscy wstrzymaliśmy oddech w oczekiwaniu. Dlaczego? Dlaczego?!

Beatka słuchała, a na jej twarzy malowała się coraz większa ulga, która magicznym sposobem zdawała się

spływać na ekipę i koić jej wzburzone nerwy. Tak, wtedy jeszcze nie wiedziałam, że uważne obserwowanie wyrazu twarzy kierownika planu może przynieść wiele odpowiedzi na podstawowe kwestie dotyczące przetrwania dnia zdjęciowego. Kierownik planu promienny i zadowolony - obiad przyjedzie punktualnie i będzie schabowy. Zamyślony, jakby w innym świecie - nawalili rekwizytorzy, co najmniej godzinna obsuwa. Za to kierownik planu wyjątkowo energiczny, tak że wszędzie go pełno - aha! Niedobrze! To znaczy, że będzie kontrola z produkcji i na wszelki wypadek lepiej powtórzyć teksty.

- No i? - spytaliśmy chórem, gdy Beata zakończyła rozmowę.

- Obiekt nie jest gotowy, scenografia go kończy, będzie dopiero w przyszły czwartek.

Ekipa pokiwała głowami ze zrozumieniem. No tak, wszystko jasne, obiekt nie jest gotowy...

- Robimy scenę czternastą z odcinka drugiego - powiedziała więc Beata i na wszelki wypadek spojrzała na mnie podejrzliwie, czy nie mam zamiaru zadać jeszcze jakiegoś podchwytliwego pytania.

Miałam. Jednak pod wpływem jej spojrzenia utkwіło mi ono w gardle.

No bo dlaczego w takim razie nie zaczynamy w przyszły czwartek?

Scena czternasta, odcinek drugi

Widać samochód Weroniki nadjeżdżający leśną drogą do domu. Nagle samochód zatrzymuje się - Weronika niecierpliwym, ale zdecydowanym ruchem sięga do leżącej na fotelu torebki. Przez moment zastanawia się, czy jeszcze chwilę nie poczekać i jednak nie dojechać do domu, aby tam w spokoju przeczytać list. W końcu decyduje się - wyciąga kopertę, pełna determinacji rozrywa ją i wyjmuje list. Czyta. Ręce wolno opadają jej na kolana. Weronika zamiera wpatrzona w okno. Wreszcie widzimy, jak samochód powoli odjeżdża.

Przeczytałam jeszcze raz ten fragment scenariusza, zanim udałam się na próbę do Reżysera.

- Uważaj teraz - powiedział - to nie będzie takie proste...

Nie będzie proste? Zwariował czy co? Prawo jazdy miałam od dziesięciu lat, wyciąganie różnych rzeczy z torebki ćwiczyłam jeszcze dłużej. Co niby ma być w tym trudnego? Czytanie listu? Co on, ma mnie za analfabetkę? Zbulwersowało mnie to. O, niedoczekanie jego. Z kim on pracował do tej pory?! Z blondyneczkami idioteczkami z niedowładem mięśniowym wynikającym z permanentnego rozpieszczania? No, to w takim razie niezłymi kobietami się otacza, ale skoro lubi lalki Barbie o IQ 2, to niech ma. Ja mu w takim razie pokażę. To będzie scena - mistrzostwo świata. Załatwimy ją w trzech podejściach. Z tym może nieco bojowym nastawieniem słuchałam go dalej.

- Wyjedziesz stąd... - tłumaczył Reżyser, a w tym czasie jego Asystent pracowicie zaznaczał pozycję pospiesznie zebranych w lesie szyszkami - ... a zatrzymasz się tu - dokończył po szybkim przetruchtaniu jakichś pięciuset metrów. Ledwo za nim nadażyłam. - Uwaga! Samochód! Gdzie jest samochód? - wydarł się nieoczekiwanie, opierając się jednocześnie o usłużnie czekającą meganę.

- Tu, panie Reżyserze - wyjaśnił mu zadyszany Asystent, który dopiero co za nimi dobiegł.

- A! - uradował się Reżyser. - To w takim razie próba! Dlaczego nikt nie próbuje? Próbujemy podjazd! - zażądał.

Po kilkunastu razach, gdy ćwiczyłam uruchomienie samochodu i przemieszczenie go z pozycji numer jeden na pozycję numer dwa, Reżyser wreszcie wydawał się zadowolony.

- Bardzo dobrze! - pochwalił mnie, a ja, mimo wszystko, poczułam się nad wyraz dumna z siebie. Co prawda nie rozumiałam za bardzo, dlaczego nie wystarczył ten pierwszy raz, bo każdy następny podjazd wyglądał identycznie, ale póki co postanowiłam nie wnikać w zawile meandry reżyserii.

- Sięgasz po torbę - kontynuował Reżyser. - Gdzie torba?!

- Mam ją w ręku - odpowiedziałam zgodnie z prawdą, bo słysząc jego ryk, natychmiast wzięłam ją do ręki.

- Niedobrze - zafrasował się. - Musisz sięgać... Chwileczkę! Gdzie sięga? - zaskoczył celnym pytaniem Asystenta.

- Na fotel? - odpowiedział bystro Asystent, cytując przeczytany przed sekundą fragment scenariusza. Ale okazało się, że nie aż tak bystro.

- Na który fotel? - podchwytliwie drażył Reżyser.

- Z boku będzie najwygodniej - wtrącił się Szwenkier, czyli człowiek za kamerą, a Asystent odetchnął z prawdziwą ulgą. - Nie zasłoni sobie twarzy.

- Dobrze, z boku - łaskawie zgodził się Reżyser.

- W zeszłym tygodniu ukradli z tego fotela torebkę mojej teściowej - nieopatrznie z problemów domowych zwierzył się Wózkarz Miecio (ten sterujący wózkiem, na którym zamocowana jest kamera). - Zrobiła nam potem straszną awanturę, dlaczego nikt jej nie powiedział, że tak się nie wozi torebki...

- Cholera! - zdenerwował się Reżyser. - W takim razie nie może być z boku. Potem widzowie będą nam robić awantury, gdy im w ten sposób pokradną torby.

Zapanowało milczenie. Każdy się zastanawiał, gdzie w takim razie mam sięgnąć po tę torebkę?

- To może do tyłu? - niepewnie szepnął Asystent.

- Do tyłu! - odkrył radośnie Reżyser. - Sięgnij do tyłu! - polecił, więc posłusznie natychmiast sięgnęłam.

- Do dupy - ocenił Operator. - W życiu jej tak nie oświetlę!

- A ja nie pokażę - skrzywił się Szwenkier, pierwszy wazeliniarz Operatora.

- Hmm - zasepił się Reżyser, który, widać, nie lubił rezygnować z własnych odkryć.

- Bo źle sięgnęłaś - stwierdził z pretensją. - Musisz sięgnąć inaczej.

- Jak? - zgłupiałam, bo sięgnęłam przecież normalnie, ręką.

- Nie wiem - wyjaśnił. - Spróbuj jakoś... Jak miałam niby spróbować? Nogą?!

- Może drugą ręką - szepnął pomocnie Asystent, a ja poczułam, że nie wiem czemu, ale lubię go coraz bardziej.

- Tylko pamiętaj - dodała Charakteryzatorka - jak będziesz sięgać, odgarnij włosy z czoła, żeby cię nie zasłaniały.

Ona z kolei grabiła sobie coraz bardziej.

- Pilnuj światła, masz być cały czas w świetle! - zażądał Operator.

- Aha. I nie patrz do tyłu. Cały czas trzymaj twarz zwróconą w stronę kamery - dorzucił Szwenkier.

- Pamiętaj, jak to robisz, żebyś potem dokładnie wszystko powtórzyła! - poradziła też Script, czyli ta, która robi klapsy.

- Zrób to ruchem niecierpliwym, ale zdecydowanym - przypomniał jeszcze Reżyser.

- Tylko nie uderz tą torbą w mikrofon - zaniepokoił się Dźwiękowiec.

- Nie pognieć za bardzo koperty. I na próbach markuj, że rozrywasz - wtrącił Rekwizytor.

- Jak już sięgniesz, postaraj się obciągnąć rękawy - włączyła się dziewczyna z garderoby (a szkoda, bo myślałam, że chociaż ją polubię).

- Uwaga! Próba sięgania! Gotowa? - uratowała mnie na całe szczęście Beatka, bo jeszcze kilka osób wyglądało tak, jakby miało mi coś niesłychanie ważnego do powiedzenia. Może i miało. Mnie w każdym razie zaczynała już powoli boleć głowa. Mimo wszystko skinęłam głową Beatce i starałam się zapamiętać wszystkie uwagi.

- Akcja! - wrzasnął Reżyser.

Niecierpliwie, ale zdecydowanie... Sięgając... Rękawy... Nie, cholera, włosy!... Sięgając i nie patrząc... Do licha! Gdzie jest ta torebka?

- No co? Czemu nie sięgasz? Masz sięgnąć! Niecierpliwie i zdecydowanie! - domagał się Reżyser, a ja cały czas nie mogłam się jej domacać. - No, sięgaj! Co tam robisz?! - poganiał.

Niech to szlag. Muszę spojrzeć. Muszę jakoś zobaczyć, gdzie mi położyli to draństwo.

- Twarz! Pokazuj twarz! - wydarł się Szwenkier, zanim udało mi się cokolwiek zobaczyć.

- Włosy! - jęknęła Charakteryzatorka, ale ja na całe szczęście, choć nie wiem, jakim cudem, wreszcie natrafiłam na torbę.

- Auć! - jęknął Dźwiękowiec, gdy z rozpędu walnęłam nią w mikrofon.

Po dwudziestu kolejnych próbach byłam wyczerpana, mokra z nerwów, ale za to bezbłędnie umiałam sięgnąć po leżącą na tylnym fotelu torebkę. Co za sukces! Wcześniej w życiu nie przyszłoby mi do głowy, że to może być takie trudne. Nie mam też pojęcia, jakim cudem udało mi się opanować wyciąganie listu, rozrywanie koperty, które na dodatek tylko markowałam, czytanie, opuszczanie rąk, zamyślenie, a na koniec, po tym wszystkim, w jaki sposób dałam jeszcze radę uruchomić samochód. Wszystko to trwało wieki. Niemniej jednak przyszedł moment, gdy Reżyser wyraził zadowolenie z mojej koordynacji ruchowej, a ja poczułam się tak, jakbym właśnie wlaźła na Mount Everest.

- Robimy ujęcie! - powiedział. Zrozumiałam, że po tym upojnym momencie wetknięcia w szczyt chorągiewki przychodzi nieunikniona chwila, kiedy trzeba jeszcze jakoś zleźć na dół.

- Wszyscy na pierwsze pozycje! - padały komendy.

To złażenie bywa dużo trudniejsze niż droga w górę, bo ciężko nie patrzeć wtedy w dół. Tak, to jest to. Poczułam treść!

- Uwaga, cisza! - zażądała Beatka, a mnie zaczęły się trząść kolana.

- Zaraz będzie po wszystkim - próbował mnie pocieszyć stojący obok samochodu Asystent.

- Kamera!

Niestety, niewiele to dało, i tak pociły mi się już ręce...

- Poszła!

... waliło serce...

- Klaps!

... no i potwornie się bałam, że zaraz i tak coś zepsuję.

- AKCJA! - usłyszałam, z nerwów za wcześnie puściłam sprzęgło i stało się. Zgasł mi samochód.

- Stop! Co jest?! Czemu nie jedziesz? - spytał Reżyser. - Dobra! Ujęcie numer dwa! - zawołał, gdy wreszcie Asystent pomógł mi odpalić auto. - Ujęcie trzecie! - powiedział, gdy przedyskutowaliśmy, że jednak powinnam jechać z włączonymi światłami.

- Ujęcie czwarte - powiedziała już Script zaraz po tym, gdy przeprosiłam, że nie trafiłam na pozycję. To znaczy zatrzymałam samochód dwanaście centymetrów za daleko. Nie wiem czemu po dwudziestu próbach, kiedy wszystko opanowałam już perfekcyjnie, teraz nie byłam w stanie tego powtórzyć!

- Piąte... szóste... siódme...

W pewnym momencie przestałam już kontrolować, dlaczego kolejne. Wiem, że zacięły mi się pasy, potem rozerwałam kopertę, ale przy okazji też list, więc musieliśmy czekać, aż rekwizytor napisze nowy, a wreszcie, z nerwów, że wszystko idzie dobrze, nie byłam w stanie na końcu znów odpalić samochodu.

- Akcja!

Ruszam... Zatrzymuję... Sięgam... Wyjmuję... Czytam... Opadają... Zamyślenie... Odjeżdżam...

UDAŁO SIĘ! Wreszcie! Zrobiliśmy! Mamy to!!! Byłam z siebie tak dumna, jakbym co najmniej właśnie dostała Oscara. Niestety, sekundę po tym załamał mnie Reżyser.

- Stop, jeszcze raz, poszła ostrość. - Jaka ostrość? DLACZEGO?!

Ósme, dziewiąte, dziesiąte... Tak, do pewnego momentu było to jeszcze zabawne. Potem już jakoś przestało. Przestało też nawet być ciekawe. Mało tego, gdy po raz czterdziesty (licząc próby) robi się to samo, a na koniec się słyszy, że i tak trzeba to jeszcze powtórzyć, zaczyna się to robić lekko nudne. Bardzo nudne jest wtedy, kiedy pomiędzy „stop” a kolejnym „akcja” mija co najmniej kwadrans, a ty musisz siedzieć w

tym samym miejscu i nie możesz nawet pogadać, bo nikt nie może się rozpraszać, gdy w gotowości do ujęcia trzeba czekać na chmurę. Bo okazało się na przykład, że nie możemy kręcić bez chmury. Nie, nie jest to ksywa Reżysera ani nikogo innego z ekipy. Chodziło o zwyczajną chmurę, których pełno na niebie i na które zazwyczaj nie zwraca się uwagi, chyba że właśnie z nich leje, a my jesteśmy na pikniku na polanie dziesiątki kilometrów od najbliższego schronienia. Tym razem nie lało, ale i tak kilkadziesiąt osób z dziką intensywnością i wstrzymanym oddechem, w potwornym napięciu wpatrywało się w niebo...

- Jest? Widzisz? Jest?

- Czekaj, coś chyba. Nie, jednak nie...

Aktorstwo to dziwny zawód

Przechodzący nieopodal grzybiarz przystanął i popatrzył na nas ze zdumieniem.

- Zaraz, zaraz! A tam?

- Idzie coś? Idzie?

Pomyślał chwilę, po czym też z oczekiwaniem zaczął się wpatrywać w niebo. Nie wiedział, na co czekają zebrani na drodze ludzie. On czekał na to, aż się o tym dowie.

- Jest! Robimy, jest! - uradował się Operator. I jak na komendę posągi nieruchomości wpatrujące się w niebo na powrót zmieniły się w pospiesznie zajmującą pozycję ekipę.

Grzybiarz jednak wpatrywał się dalej. Do licha, co oni tam zobaczyli? Samolot? Balon? Ptaka? Wykonane Boskim palcem napisy na niebie? Niestety, niczego nie dostrzegł, niebo jak niebo, wyglądało normalnie. Wzruszył ramionami.

- Psychole! - parsknął pod nosem i przypomniał sobie, że jego wnuczka chciała zostać aktorką. „Po moim trupie! - pomyślał. - Za żadne pieniądze nie pozwolę, by miała coś wspólnego z wariatami!” Z tym mocnym postanowieniem zapomniał o grzybach i zdecydowany na wszystko pomaszerował prosto do domu.

*

A my męczyliśmy się dalej. Najpierw chodziło o coś z ostrością, potem zmieniła się ekspozycja (cokolwiek to znaczy), następnie czekaliśmy, aż nadejdzie chmura, a ponieważ nie mogliśmy się doczekać, Operator poprzestawiał lampy, żebyśmy mogli kręcić w słońcu. Zaraz po tym schowało się słońce i czekaliśmy z kolei, aż wyjdzie znowu, potem radio, które miałam włączone, żeby się nie nudzić czekaniem, rozregulowało coś Dźwiękowcowi. Potem chyba przysnęłam. W każdym razie Charakteryzatorka musiała mi coś poprawić, a potem pomyślałam, że mam już tego dość.

Minęły trzy godziny, odkąd zrobiliśmy pierwszy klaps, i od tego czasu miałam wrażenie, że nic się nie dzieje!

- Nie przejmuj się - powiedział Asystent.

Nie przejmowałam się. Po prostu konałam z nudów. Co za idiota twierdził, że to ciekawa praca?!

Wreszcie, po kolejnych wiekach oraz czterdziestu ośmiu ujęciach, Reżyser powiedział:

- Zrobione.

Rany! Pienia anielskie nie zabrzmiałyby wspanialej. Ze szczęścia miałam ochotę ucałować wszystkich po kolei, nawet pijanych agregacıarzy. Wreszcie. Po wszystkim.

- Robimy scenę siódmą, odcinek trzeci - powiedziała bezlitośnie Beatka.

O, nie! Litości! Zapomniałam, że mamy jeszcze dzisiaj do zrobienia cztery sceny.

- Ostatnia scena, zaczynamy! - powiedziała Beatka zmaltretowanym głosem po dwunastej. Nie, nie w południe. Chodzi o dwunastą godzinę naszej pracy.

Poczułam coś na kształt ulgi. „Ostatnia scena” brzmiało co prawda optymistycznie, ale to, że dopiero zaczynamy, było trochę mniej wesołe. Jak na pierwszy dzień miałam już dosyć. Wiatr w każdej scenie wywijał jakieś numery z chmurami. Reżyser wymagał coraz większych niemożliwości: musiałam chodzić, siadać, wstawać, znów chodzić, i to na dodatek rozmawiając. Zdecydowanie przeceniał moje umiejętności.

Szwenkier też nie był lepszy. Aby już do końca obrzydzić mi życie, na próbach żądał precyzyjnego określania miejsc, gdzie się zatrzymam. To jeszcze nie było trudne, radziłam sobie doskonale. Ale podczas ujęć pieklił się, że stanęłam dziesięć centymetrów obok i nie weszłam mu do kadru. Najgorsze jednak było to, że nikt z ekipy nie powiedział mi, że lepiej by zrobił, gdyby porządnie stuknął się w czoło.

Przeciwnie - wszyscy patrzyli na mnie z naganą, jakby to była moja wina, że ten baran wrzaskami przerywa kolejne ujęcia.

Nie on jeden się awanturował. Dźwiękowiec albo marudził, że mówię niewyraźnie, albo miał pretensje, że mówię zbyt cicho. Nie dyskutowałam z nim, ale miałam coraz więcej wątpliwości, czy chłopak dobrze słyszy i czy nie ma problemów z obsługą sprzętu. Script, o której początkowo myślałam, że jest miła, okazała się czepialska i wyjątkowo małostkowa. Co z tego, powiedzcie mi, że parę razy zdarzyło mi się z nerwów trochę pomylić tekst? Grunt, że stanęłam w dobrej pozycji, nie było za cicho i nie zapomniałam o całej tej skomplikowanej reszcie!

I tak co osoba, to inny problem. Każdy dyskutował z każdym, tak że w lesie momentami było naprawdę cholernie głośno. Wyglądało na to, że trafiłam na wyjątkowo konfliktową i nieużytą ekipę.

- Pierwszy dzień zawsze jest trudny - powiedział Asystent na pocieszenie. - Potem wszyscy się dotrą i jest już dużo lepiej.

Nie uwierzyłam, ale nie wyjawiałam, jakie jest moje zdanie na ten temat, bo w tej chwili akurat miałam inny problem.

- A co z ostatnią sceną? Zdażymy? - spytałam z powątpiewaniem, bo w scenariuszu było napisane, że: Weronika z Magdą, opalając się na polance w lesie, komentują wydarzenia z poprzedniego wieczoru, a tymczasem powoli zaczynało już zachodzić słońce.

- Czemu nie? - zdziwił się Asystent. - To przecież krótka scena. Jak będziesz gotowa, to zjaw się na planie - powiedział na odchodnym, oddalając się do swoich obowiązków.

Aha. Wydało się. Asystent nie wie, co to za scena. Nie czytał scenariusza. Reżyser urwie mu głowę, jak tylko się dowie. Popatrzyłam za nim z żalem i dostrzegłam przebiegającą akurat obok Beatkę.

- Naprawdę robimy? - zatrzymałam ją niepewnie. Spojrzała na mnie, jakbym była zielonym ludzikiem z czułkami z zaginionej w kosmosie planety.

- Jeszcze nie gotowa? To szybko, szybko! - Pięknie! Też nie czytała. Ale może kierownik planu nie musi.

Nie będziemy się przecież opalać po nocy! - pomyślałam logicznie i postanowiłam w tej sprawie iść do jedynej osoby, co do której miałam niezachwianą pewność, że scenariusz czytała co najmniej tysiąc razy, tak że nie ma on dla niej żadnych tajemnic, i nic jej nie zaskoczy.

- Panie Reżyserze... - przerwałam mu naradę z Operatorem.

- Naprawdę miałaś być tak ubrana w tej scenie? - z zaciekawieniem popatrzył na długą do kostek sukienkę.

- Nie - zaprzeczyłam. Przecież nie będę przebierać się w kostium, żeby udawać opalanie w środku ciemnej nocy. Chciałam mu to powiedzieć, ale nie zdążyłam. Reżyser zrobił się czerwony i nakrzyczał na mnie:

- To na co jeszcze czekasz?! Musisz się przebrać! Szybko! - i odszedł wzburzony, dalej dyskutować z Operatorem.

Świetnie.

Wygląda na to, że oprócz mnie żywy duch nie wie, o co w tej scenie chodzi.

Ha. Staralam się pomóc, naprawdę. I co? Zamiast podziękować, zaczęli na mnie krzyczeć. Proszę bardzo, w takim razie umyвам ręce. Chcą opalać się w środku nocy - niech się opalają, tylko niech się nie dziwią na koniec, że to wygląda idiotycznie.

I oburzona poszłam do garderoby włożyć kostium.

- Banda wariatów - szukając solidarności, wyzaliłam się aktorce, która miała grać Magdę. - Jak oni mają zamiar to zrobić?

- No właśnie, też nie rozumiem... - odpowiedziała mi podekscytowana. Wreszcie ktoś rozumie. Ucieszyłam się, że udało mi się znaleźć bratnią duszę. - ... jak w tej scenie mogę krytykować Karola? W następnej wodzę za nim rozmarzonym wzrokiem. Nie ma tu żadnej konsekwencji uczuciowej. Muszę pogadać z Reżyserem... - dokończyła i pozostawiając mnie w kompletnej konsternacji, wyszła.

Nie. Tutaj naprawdę nie pracuje nikt normalny!

Targana negatywnymi emocjami dałam w końcu radę przebrać się w kostium i po drobnych poprawkach Charakteryzatorki, choć cała na „nie”, znalazłam się wreszcie na planie.

- Na kocyk! Idź na kocyk! - usłyszałam od Reżysera. Proszę bardzo. Mogę i na kocyk.

Przedarłam się przez gąszcz lamp, statywów, blend, zastawek i innych płachtowatych przedmiotów, których nie umiałam nawet nazwać, odnalazłam w tym wszystkim kocyk i zajęłam pozycję. Zbliżała się ta triumfalna chwila, gdy oświadczę wszystkim: „a nie mówiłam”, więc już spokojnie czekałam.

- Zaczynamy! - zawołał Reżyser. I ogarnęła mnie światłość.

Nie, nie było to nic z rodzaju religijnych ekstaz, chociaż z wrażenia też zabrakło mi głosu.

- Gramy, dziewczyny? Na co czekacie? - niecierpliwił się Reżyser.

- Ale słońce! - wykrztusiłam więc tekst i nie było w tym ani cienia fikcji. Pomimo tego że był już koniec października, godzina dwudziesta pierwsza czterdzieści, pod szeregiem lamp panowała temperatura co najmniej tropikalna, a jaśniej nie było nigdy nawet w samo południe!

Zwracam im hołd. Odszczekuję każde negatywne słowo. Nie miałam racji. To ja byłam jedyną osobą, która nie miała pojęcia, jakie cuda są możliwe na planie.

- Koniec zdjęć - ogłosiła Beatka chwilę po ostatniej komendzie „stop”.

- Dziękuję bardzo - powiedzieliśmy sobie jeszcze z Reżyserem, Operatorem, Aktorką i resztą ekipy. Skończyliśmy sobie ścisnąć dłonie i dłużej już nie czekałam. Potykając się o lampy, kable i biegające w różnych kierunkach osoby, popędziłam prosto do garderoby, by się przebrać. Cały czas byłam pod wrażeniem.

Co za operator, myślałam z podziwem. Zrobić dzień w środku nocy. Niezwykły jest, koniecznie muszę mu jeszcze raz pogratulować.

Z tą myślą wysiadłam z autokaru. Rozejrzałam się wokół. Samotny autobus stał obok samotnego volvo. Kierowca Pawełek był jedyną żywą osobą, którą udało mi się zobaczyć.

- Gdzie wszyscy? - spytałam, rozglądając się bezradnie po opustoszałym lesie.

W tym momencie autokar zapalił silnik i odjechał, zabierając z sobą Kostiumografkę i garderobiane.

- Jak to? - zdziwił się Pawełek. - Już odjechali!

Popatrzyłam jeszcze raz z niedowierzaniem. W ciągu niecałych dziesięciu minut, gdy pospiesznie ściągałam jedne ciuchy i wkładałam drugie, plan zniknął niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Nieemożliwe - pomyślałam wtedy naiwnie. Nie wiedziałam jeszcze, że filmowcy są mistrzami świata, jeśli chodzi o tempo zwijania się z miejsca pracy.

- Jedziemy już? - spytał Pawełek delikatnie.

Chyba tak. W końcu co niby mam robić sama w środku ciemnego lasu?

Nic rozsądnego w odpowiedzi na to pytanie nie przyszło mi do głowy, toteż w końcu wróciłam do domu. Nie zdążyłam nawet porządnie się wyspać (już nie wspominając o dojściu do siebie po tylu ekscytujących wydarzeniach), bo po pierwszym dniu zdjęciowym zaraz następnego dnia przyszedł drugi. Potem trzeci. I czwarty. I kolejny... A potem już straciłam kompletnie rachubę.

Gdyby ktoś w międzyczasie zadał mi pytanie, czy w serialu pracuję pięć dni czy trzy miesiące, nie umiałabym odpowiedzieć. Intuicja raczej skłaniała się ku tej drugiej opcji. Nie wiadomo tylko dlaczego, pewnie z jakichś szachrajskich powodów, kalendarz uparcie twierdził, że nie minęły jeszcze nawet dwa tygodnie. Na planie czułam się już tak, jakbym spędziła tam całe życie. Nie miał dla mnie żadnych tajemnic. Podobnie zresztą jak życie Charakteryzatorki. Przez te wszystkie godziny, które spędziłam u niej na fotelu, zdążyła opowiedzieć mi je w najdrobniejszych szczegółach. Właśnie przeszła do streszczania życia swojego męża i dzieci, gdy weszła Beata i powiedziała:

- Jutro nocne zdjęcia.

Powiało ekscytacją. Niemal taką, jaką przeżyłam przed wielu laty, gdy jako zuch w podstawówce usłyszałam hasło „nocna zabawa”, po czym do późnych godzin z latarkami bawiliśmy się w podchody w lesie.

- Super! - odpowiedziałam spontanicznie.

Na podchodach przypadkiem wpadłam do stawu i tylko mnie się wtedy wydawało, że to wcale nie jest śmieszne. Inni byli przeciwnego zdania i wołając „ale sierota”, ryczeli ze śmiechu. To jeszcze nic. Po powrocie do domu nie wychodziłam z niego przez trzy tygodnie. Przyczyną była nie tylko reprymenda od mamy, ale jeszcze angina. Nie dość na tym! Jak wyzdrowiałam i dowiedziałam się, że nie dostałam sprawności „dzielnego zucha”, bo ponoć zuchom nie wolno z

płaczem wracać do domu, czara się przelała. Postanowiłam dwie rzeczy: koniec z podchodami i koniec z harcerstwem.

Do tej pory dotrzymałam słowa. Tylko czasami powracało wrażenie, że może mnie coś w życiu ominęło.

Wszyscy w charakteryzacji spojrzeli na mnie jak na tředowatą organizującą aukcję kończyn używanych.

Mieli rację.

Co prawda nigdzie nie było stawu, ale i tak nocne zdjęcia w najmniejszym stopniu nie są zabawne. Mimo różnych nazw dużo łączy je z podchodami: mnóstwo nieprzytomnych osób obija się o siebie, usiłując w egipskich ciemnościach cokolwiek odnaleźć. Owszem, mają latarki, lecz służą one w głównej mierze do oślepiania innych. Kiedy mają się przydać do czegoś konkretniejszego, natychmiast pada bateria, przepala się żarówka albo latarka nieodwracalnie się psuje. Nawet jeśliby ktokolwiek w tej sytuacji usiłował być rozbawiony, szybko by mu to przeszło. Trudno w środku nocy wybuchać śmiechem, gdy usta rozdziera ci rozpaczliwe ziewanie. Na koniec i tak dochodzisz do jednego wniosku. Coś, co wcześniej powodowało, że miałeś ochotę tarzać się ze śmiechu, po trzech godzinach nieodmiennie budzi jedynie natychmiastową potrzebę mordy.

Wreszcie około drugiej w nocy, kiedy wydaje się, że ta praca nigdy się nie skończy, nadchodzi ten straszny, ale nieunikniony moment.

Patrzysz na te wszystkie wykonujące jakieś abstrakcyjne czynności osoby, zdajesz sobie sprawę, że ruszają się jak na zwolnionym filmie, przez co wszystko trwa cztery razy dłużej, i powoli czujesz, że jak tak dalej pójdzie, to nie wytrzymasz.

Starasz się pohamować. To trudne. Z maksymalnym wysiłkiem jednak dajesz radę. W końcu przecież nie chcesz doprowadzić do skrajności na planie. Nie tyle działają twój takt i dobre wychowanie, ile raczej świadomość, że jeśli nie

uda ci się powstrzymać, to jest spora szansa, że tej cholernej sceny w życiu nie skończycie.

Ale niestety.

Reżyser nie wyczuwa twojego stanu i prowokacyjnie, bestia, woła:

- Akcja!

Wtedy koniec. Nie wytrzymujesz.

- Buhahaha! - wybuchasz śmiechem, no bo przecież on to tak zabawnie powiedział.

Reszta ekipy jakby tylko na to czekała.

Każdy chichocze na swój sposób i zanim płaczącej ze śmiechu Beatce uda się wszystkich doprowadzić do porządku, mija co najmniej kwadrans. Wreszcie przestajesz się śmiać, za tobą powoli uspokaja się cała reszta i z lekkimi wyrzutami sumienia znów jesteście gotowi do ujęcia.

- Uwaga, ujęcie! - słyszysz hasło Beatki i jesteś przekonany, że wszystko jest na jak najlepszej drodze do tego, by zrobić ujęcie, skończyć scenę i jechać do domu.

Niestety. W ciszy, która zapada po jej haśle, zaczynasz zdawać sobie sprawę, że już za moment nadejdzie chwila, kiedy Reżyser znów powie „akcja”, a wtedy przestaniesz ręczyć za siebie.

Rozglądasz się po ekipie i widzisz, że każdy myśli dokładnie to samo. Starasz się zebrać w sobie i trzymać w ryzach. Nic z tego. Powoli wewnętrzny chichot ogarnia całe twoje ciało. Dam radę, przysięgasz sobie, ale z powstrzymywanego śmiechu dygocze ci już każdy mięsień. Patrzysz na ekipę, widzisz drgające kąciki ust Szwenkiera, zamykasz więc oczy, bo wiesz, że jak popatrzysz sekundę dłużej, to nie wytrzymasz i śmiech natychmiast wydobędzie się na zewnątrz.

- Akcja! - woła Reżyser.

Dam radę, dam radę, powtarzasz w myślach magiczną mantrę, ale na wszelki wypadek zaciskasz też zęby, i to tak mocno, aż kruszy ci się jedynka. I w tym momencie słyszysz „buhahaha” osoby stojącej obok.

Nie. Na taką zdradę nie mogłeś być przygotowany. Nie masz już sił, by się pohamować, tym bardziej że rechoczą już wszyscy, a czerwony na twarzy Reżyser właśnie wyskoczył z reżyserki i wściekły jak nie wiem co, awanturując się, miota się po planie. Niestety, to rozśmiesza was wszystkich jeszcze bardziej, musisz usiąść, bo ze śmiechu nie możesz już ustać, „ja się chyba zaraz posiusiam”, chichocząca Script ucieka do toalety, a Dźwiękowiec dostaje ze śmiechu czkawki. Sporo czasu musi upłynąć zanim znów się uspokoicie.

- Uwaga, ujęcie! - woła prowokacyjnie Beatka kolejny raz.

I tym sposobem dopiero o szóstej, potwornie wściekły, że tak późno, wracasz do domu.

Czarne myśli?! Po co ci one?

Duże czarne volvo z przyciemnianymi szybami parkujące czasem na ulicy zajmowanej zwykle przez matizy, micry, punta czy - co najwyżej - omegi i escorty, nie mogło długo pozostać niezauważone. Zwłaszcza że za kierownicą tego cichutko mruczącego silnikiem samochodu siedział czarnowłosy kierowca w czarnych okularach, sztywno wyprasowanej koszuli i z kamienną twarzą żuł gumę (zdobycie tej wiedzy wymagało od pana Henryka wielu podstępów i poświęceń!). A przede wszystkim dlatego że volvo parkowało na ulicy raz o szóstej rano, raz o siedemnastej, bywało też tak, że kierowca z kamienną twarzą żuł tę swoją (ale chyba nie cały czas tę samą?) gumę o dwunastej, a raz nawet pan Henryk przyuważył czekający samochód o dwudziestej pierwszej.

Coś tu było nie tak.

Tym bardziej że samochód parkował pod kamienicą pana Henryka nie bez powodu. Czekał minutę, czasem więcej (aczkolwiek nigdy dłużej niż kwadrans), aż z drzwi wejściowych wyłaniała się młoda, rozczochrana (za młodych lat pana Henryka było to nie do pomyślenia) kobieta w czarnych okularach, rzucała zdawkowe „witam”, zajmowała miejsce z tyłu i samochód wreszcie odjeżdżał.

Po jakimś czasie wracał. Wracał zawsze. Kobieta wysiadała. Widać było, że ktoś w międzyczasie zajął się jej włosami, zanim znów się rozczochrąły, a na twarzy widniały szczątki (na wpół zmytego? rozmazanego?) makijażu. Żadną metodą nie udawało się panu Henrykowi, pomimo drobiazgowego prowadzenia dziennika odjazdów i powrotów, ustalić prawidłowości rządzących tymi transportami. Denerwowało go to coraz bardziej, bo skrupulatne sporządzanie notatek wymagało nie lada poświęceń. Na przykład porzucania swojego fotela przed telewizorem na czas

wiadomości i zastępowania go niewygodnym krzesłem przed oknem, żeby nie przegapić ani odjazdu, ani tym bardziej - powrotu. Czasami samochód nie wracał przez czternaście godzin, czasami był już po siedmiu. Wracał o trzeciej rano, by być z powrotem po kobietę już o jedenastej. Irytowało to pana Henryka, bo w takich warunkach ciężko mówić o regularnym spaniu czy porach posiłków. Trochę te niedogodności rekompensowało mu obserwowanie kobiety. Zauważył, że rzadko kiedy wracała w dobrej formie, najczęściej bywała potwornie zmęczona, tak że kleiły jej się oczy i rozdzierała powietrze nieopanowanym ziewaniem. Takie fakty pan Henryk również (nie bez złośliwej satysfakcji!) notował w swoim dzienniku, aby w odpowiedniej chwili użyć ich w walce z jawną niemoralnością i - był tego pewien - niecnym nierzędem.

*

Niestety, okazało się że przy serialu równie często pracuje się od zmierzchu do świtu, co w normalnych porach dnia. Czasem zdjęcia zaczyna się nie o siódmej, ale z różnych przyczyn na przykład o dwunastej.

Nie jest to wygodne. Jeśli nie jest się do tego trybu życia przyzwyczajonym, to w efekcie non stop chodzi się nieprzytomnym z niewyspania. Ziewa się w najmniej odpowiednich strategicznie momentach, a na dodatek w żaden sposób nie można nad tym zapanować.

- Miło panią widzieć, pani Izo - powiedział Producent wyjątkowo radośnie, gdy nieoczekiwanie zjawił się z wizytą na planie.

- Yyaaau! - odpowiedziałam mu kulturalnym ziewnięciem. Nie wiem czemu, po nim nie był już tak radosny i przez resztę dnia wydawał się nawet lekko na mnie obrażony.

- I wtedy, Iza, musisz odwrócić się bardzo powoli. Kamera musi za tobą nadażyć, więc zrób to nawet nienaturalnie wolno, rozumiesz?

- Yyaha... - potwierdziłam ziewnięciem, gdy Reżyser tłumaczył mi właśnie zawiłości kolejnej sceny. Reżyser nie wydawał się jednak przekonany.

Tymczasem zadzwonił mój telefon. Haneczka.

- Iza! Jak będziesz miała wolne, musimy pogadać. Chodzi o Maćka, widziałam się z nim wczoraj i wydawał się bardzo...

- Yyyaaah - pełne ciekawości ziewnięcie wydarło mi się do słuchawki, bo nie traciłam nadziei, że żołądek Maćka przypomni sobie o porzekadłach i wreszcie skontaktuje się z sercem. Haneczka jednak musiała tę ciekawość odebrać trochę inaczej, bo przerwała, skończyła rozmowę i nie wracała już więcej do tematu, jaki „bardzo” wydawał się Maciek. Szkoda. Tym bardziej że ja w natłoku zajęć kompletnie o tym zapomniałam.

Nie wiem, jak z urozmaiconymi godzinami pracy radziła sobie reszta ekipy. W każdym razie nie ziewali. Być może po latach pracy organizm ewoluuje do takiego stanu, że ziewa się jedynie przy regularnym trybie życia. Naprawdę nie wiem. Jednak oni nie ziewali i patrzyli na mnie coraz dziwniej. Nie miałam pojęcia, co sobie myślą, do momentu gdy podczas krótkiej przerwy podszedł do mnie dyżurny planu, młody chłopak o wdzięcznej ksywce Sponsor.

- Znów był jakiś niezły balecik, co? - powiedział konspiracyjnym szeptem i mrugnął porozumiewawczo zaraz po tym, jak po raz kolejny ziewnęłam nieopanowanie. - Ale albo nie szalej tyle, trochę zbastuj, co drugi dzień chociaż chodź na te bibki, albo się tak nie afiszuj. W produkcji zaczynają się na ciebie powoli wnerwiać.

Dzięki temu dowiedziałam się, że zdobyłam wewnątrz ekipową ksywkę: „Niez mordowana Imprezowiczka”.

Na jedną osobę jednak moje ziewanie kompletnie nie działało. Mogłam ziewać raz za razem, do upojenia, ona bez najmniejszego zająknięcia ciągnęła z uporem swoje opowieści. Skończyła już streszczać życie męża i dwójki dzieci, od dwóch dni przerabialiśmy więc życiorysy dalszych krewnych. Tak. Ziewanie w najmniejszym stopniu nie wpływało na Charakteryzatorkę.

- ... I wtedy Krysia powiedziała „dość tego” i wyprowadziła się od swojego męża... Do góry oko... Jak on szalał! Prosił, wygrażał... W dół... A ona nic...

Charakteryzatorka była właśnie przy siostrze męża Krystynie, gdy jej cichutka jak myszka Asyistentka nieoczekiwanie się odezwała:

- Jutro wolne!

W pierwszym odruchu nie uwierzyłam. Najpierw w to, że ona w ogóle potrafi mówić, w drugiej kolejności dopiero w „wolne”. Wydawało się to równie nierealne jak to, że skończymy dziś zdjęcia dokładnie po ośmiu godzinach! Nigdy nie kończyliśmy tak wcześnie. Gdy udało mi się wsiąść do samochodu Pawełka przed upływem dwunastu godzin, oznaczało to, że nie gram w ostatniej scenie albo że nadchodzi tornado. Tylko raz nie grałam w ostatniej scenie. Tornado nigdy w naszym kraju nie było. Moje marzenia o spokojniejszej i mniej stresującej pracy, gdy tylko zaczną się zdjęcia, już pierwszego dnia legły w gruzach. Tylko że wtedy pocieszałam się jeszcze, że tak ciężko wyglądał tylko ten pierwszy dzień, potem wszystko się unormuje. Początek, wiadomo. Niestety, dni mijały i w pewnym momencie musiałam przestać łudzić się „początkiem”, tylko spojrzeć prawdzie w oczy: okres przygotowawczy to były wakacje w porównaniu z tym, jak moja praca wygląda teraz. Byłam wtedy zmęczona i miałam dosyć? Cóż, złożmy to na karb

naiwności, wtedy jeszcze nie miałam bladego pojęcia, JAK może wyglądać PRACA. Asystentka jednak miała rację.

- Do pojutra! - Po zdjęciach wszyscy się ze sobą żegnali i jak zwykle znikali w ciągu czterech sekund.

Następnego dnia obudziłam się w strasznej panice, że zasnęłam. Spojrzałam na stojący obok łóżka zegarek i dopiero wtedy mi się przypomniało.

Wolne - pomyślałam z rozmarzeniem i znów zasnęłam.

Naprawdę wolne - chciałam powtórzyć tę samą akcję z ponownym zasypianiem trzy godziny później, ale w błogostan senny brutalnie wdarł się dźwięk telefonu.

- Halo?! - warknęłam do słuchawki ostrzegawczo. Na nic. Mojej mamy żadne warknięcia nigdy w życiu jeszcze nie odstraszyły.

- I jak? I jak? I jak? - zatrajkotała tysiącem pytań naraz. - Czemu nic nie opowiadasz?

Nie miałam serca uświadomić jej, że nie jestem w stanie przebić się przez jej słowotok. Zatem gdy tylko zabrakło jej oddechu i musiała zrobić przerwę dłuższą niż nanosekunda, opowiedziałam.

Dopiero po godzinie udało mi się wstępnie zaspokoić ciekawość mamusi. Przysięgłam, że na pewno zadzwonię jeszcze później, i w te pędy wróciłam do łóżka. Spać! - jęczał cały mój organizm, ale znów nic z tego. Nie zdążyłam nawet zamknąć oczu, gdy ponownie zadzwonił telefon.

- Jeszcze coś? - zawołałam gniewnie. Moja mama jest po prostu nieznośna. Od kiedy „później” znaczy „za pięć sekund”?!

- Przepraszam, chciałam tylko wiedzieć, jak tam... - odezwała się na to lekko obrażona Haneczka - ale jak chcesz, mogę zadzwonić kiedy indziej.

Uciekła się do prowokacji, bo oznaczało to tak naprawdę: „w takim razie w ogóle nie muszę do ciebie dzwonić”. Mój

organizm co prawda zawołał na to z błaganiem: „Tak! Jest szansa na sen!”, jednak mnie zrobiło się głupio, że tak obcesowo potraktowałam Bogu ducha winną Haneczkę. Powstrzymując westchnienie, żeby naprawdę się na mnie nie obraziła, powtórzyłam to, co już wcześniej zdążyłam opowiedzieć mamie. Poszło nieźle. Haneczka była usatysfakcjonowana, a ja tym razem wyrobiłam się w trzy kwadranse.

Ledwo co odłożyłam słuchawkę, znów telefon.

Kie lichy?! - pomyślałam poważnie rozwścieczona i ledwo powstrzymałam się od tego, by po prostu rozdeptać tę cholerną słuchawkę. Po krótkiej walce ze sobą jednak spojrzałam na telefon i zobaczyłam, że wyświetla się numer Maćka, prawnika od Haneczki. Nie dałam mu szansy na zadawanie pytań. Zamiast zwyczajowego „halo” z marszu zaczęłam opowiadać.

- Dzięki - powiedział po półgodzinie. - W sumie dzwoniłem tylko po to, żeby spytać, czy nie masz ochoty na kino...

Niestety. Miałam ogromną ochotę na pójście do kina z Maćkiem, jednak tego dnia miałam siłę jedynie na spanie. Podziękowałam z bólem za propozycję, odłożyłam słuchawkę, ucieszyłam się, że w następny dzień wolny jak gdyby nigdy nic będę mogła sama do niego w tej sprawie zadzwonić i... A, właśnie. Telefon. Zanim zdążył zadzwonić, wyłączyłam drania.

W szampańskim humorze i z całkowitą pewnością, że nikt mi już nie przeszkodzi, podryfowałam z powrotem do łóżka. Tak spędziłam dzień wolny. W życiu się tak dobrze nie bawiłam.

Uroki sławy

- Poczekaj, kupię jeszcze coś do picia - powiedziałam następnego dnia do kierowcy Pawełka, gdy kolejny raz po mnie przyjechał. Nie miałam szampańskiego humoru. Niby dlaczego miałabym mieć?

Dni niczym się od siebie nie różniły. Codziennie wstawałam o jakiejś horrendalnej porze, jechałam do pracy, spędzałam tam po naście godzin, potwornie zmęczona wracałam do domu, kładłam się spać i następnego dnia znów to samo! Owszem, czasem był jakiś dzień wolny. Niestety, rzadko. Zbyt rzadko, bo w najmniejszym stopniu nie zaspokajał tęsknoty do wolnego. Gdy wreszcie nadchodził, nie mogłam się nim nacieszyć. Ale trudno się czymkolwiek cieszyć w tym czasie, gdy śpisz, i na dodatek śni ci się jedynie praca! Zresztą po dniach wolnych było jeszcze gorzej. Bez nich wstawałam rankiem jakąś siłą rozpędu. Po wolnym dniu pobudka, nie wiedzieć czemu, bolała jeszcze bardziej.

Prawdę mówiąc, rozczarowałam się. Bycie aktorem to jedno wielkie kłamstwo. Gdzie to wylegiwanie się w puchach do południa? Gdzie dwie trzecie dzinu, jedna trzecia wermutu i plasterki cytryny, do tego podawane przez przystojnego bruneta? Kosze kwiatów nadsyłane do domu? Nic z tych rzeczy! Jedyne, czego było aż w nadmiarze, to tyranie od świtu do nocy. Na dodatek wszyscy naokoło, zamiast wzdychać z podziwem, tylko mnie upominali. Czyli nie dość, że tyranie, to jeszcze tyrania.

„Oho!”, słyszałam na wstępie, gdy tylko próbowałam się poskarżyć. „Uważaj”, mówili zaraz po tym, gdy tylko udało mi się wyzalić. „No tak, czyżby już uderzyło ci do głowy? Nic dziwnego, to normalne, że aktorom odbija”, kwitowali na koniec, zamiast po prostu mnie pocieszyć.

Jakie to było irytujące! „Odbija”! Mówili to na dodatek z tak absolutną pewnością, jak gdyby aktorzy mieli to

„odbijanie” obowiązkowo wpisane do umowy. Jakby w innych zawodach nie spotykało się ludzi, którym odbiło i zachowują się jak wariaci.

- Hi, hi, hi, hi!!! - jak na zawołanie zachichotała sklepowa ze spożywcza, gdy tylko weszłam do sklepu.

O! Proszę bardzo! I komu odbija?! - pomyślałam z jeszcze większą irytacją. Obląkany chichot nie podziałał na mnie kojąco. Bładym świtem nic nie działa na mnie kojąco. Dzieje się tak, odkąd żyję, więc odkąd żyję, skrupulatnie staram się unikać bladych świtów. Przez większość czasu udawało mi się, z własnej woli bladego świtu nie oglądałam nigdy. Zły los jednak perfidnie postanowił wkroczyć w moje życie i zesłać na mnie koszmar bladych świtów. Uosobił się w postaci mojego pracodawcy Producenta, który z sadystyczną przyjemnością recytuje porzekadło: „Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje” i często zmusza nas do zjawiania się w pracy przed siódmą rano. Jedno jednak trzeba przyznać mojemu Producentowi: nie jest pazerny. Jest tak koszmarnie bogaty, że widać doszedł do wniosku, że od Boga dostał już wystarczająco, bo rzadko kiedy zjawia się w pracy wcześniej niż o jedenastej.

- Bry... - mruknęłam sklepowej mała zachęcająco i biorąc po drodze sok, podeszłam do kasy.

- Cudownie! Cudownie! Cudownie! - zawołała niezrozumiale i zamachała gazetą. - Gratuluję! - tu mnie trochę zdziwiła. Bo niby czego gratuluje? Soku?

Odruchowo spojrzałam na trzymany w ręku kartonik. Nic, zwyczajny, porzeczkowy.

- Proszę spojrzeć! No, proszę popatrzeć, no! - widać trochę się zniecierpliwiła, bo gazeta z rozmachem przeleciała mi przed nosem. Postanowiłam zdziwienie odłożyć na bardziej sprzyjający moment i w naturalnym odruchu

instynktu samozachowawczego, obawiając się, że w ferworze ekscytacji uda się jej we mnie trafić, spojrzałam.

- Rany! Rany, rany rany! - powiedziałam wszystko, co przyszło mi do głowy. Sklepowa pokiwała głową ze zrozumieniem.

- Od razu zauważyłam! I tylko czekałam, aż na panią trafię! Dobrze, co? Gwiazda na naszym osiedlu!

Prawdę mówiąc, dalej nie słuchałam. Byłam zbyt zajęta wpatrywaniem się w moje zdjęcie zamieszczone na szesnastej stronie jednego z kolorowych brukowców i słuchaniem fanfar, trąb anielskich czy czego tam jeszcze można słuchać w tak doniosłych okolicznościach.

- Ale super! - wyjęczałam. - Jestem sławna!

Zdjęcie miało wielkość połówki znaczka pocztowego, ale przedstawiało mnie w objęciach mojego serialowego amanta. Niezbyt wyraźnie było mnie widać, za to był podpis. Co prawda z błędem w nazwisku, natomiast imię napisali poprawnie. Nowy serial, głosił tytuł artykułiku, który dla mnie stał się nagle najważniejszym materiałem w całej gazecie. Ba! Tego dnia żadna inna nie zamieściła ważniejszej informacji!

Rany. Cudowne blade świty. Niewiarygodne, jak bardzo można być o tej porze szczęśliwym. Ja byłam szczęśliwa. Sklepowa była szczęśliwa. Cały świat (zdecydowanie!) powinien natychmiast stać się szczęśliwy. Z najwyższym trudem powstrzymałam się od wybiegnięcia na ulicę i od tego, by gromkim krzykiem obwieszczać napotkanym przechodniom wspaniałe nowiny. Obcych pójdę uszczęśliwiać za chwilę. Jestem w gazecie! Nie będę egoistką! Najpierw podzielę się tą informacją z moimi najdroższymi przyjaciółkami!

- Jestem sławna! - wykrzyknęłam więc do pierwszej, gdy wreszcie po dłuższej chwili odebrała telefon.

- Odbiło ci?! - wymamrotała nieprzytomnie Haneczka. Już wtedy powinno mnie to zastanowić. Mało tego.

Dokładnie w tamtym momencie powinnam zareagować: przerwać rozmowę i jak najszybciej dodzwonić się gdzie indziej, najlepiej do tego drania, prezesa wydawnictwa, żeby zrobić mu dziką awanturę, aby ani jemu, ani innym draniom wydawcom nie przyszło nigdy więcej do głowy zamieszczać w gazetach moje zdjęcia czy nazwisko. Powinnam, dla własnego świętego spokoju, natychmiast wycofać się z serialu i dla pewności wyjechać na antypody. Niestety, w tamtym momencie zabrakło mi refleksu. Mało tego. Wtedy byłam zachwycona. Artykuł w gazecie wydawał mi się szczęściem absolutnym, dlatego z całkowitą beztroską nie zrobiłam nic i wkopałam się w całą tę sławę. Na swoje usprawiedliwienie mogę tylko powiedzieć, że wówczas nie miałam zielonego pojęcia, czym ona jest. Tylko dlatego nie zrobiłam nic poza tym, że z absolutną powagą i szczerością odpowiedziałam na pytanie mojej przyjaciółki:

- Nie. Nie odbiło!

- Odbiło. Jest sześć po szóstej! Śpię! Pogadamy później - i odłożyła słuchawkę. Mówiąc szczerze, wcale mnie to nie zmartwiło. Od kolejnych osób mogłam dowiedzieć się, że jest: szósta siedem, dziewięć, dziesięć, dwanaście (dzwoniłam cztery razy, zanim Aśka mi to powiedziała), czternaście, piętnaście... I pewnie w ten sposób kontrolowałabym godzinę jeszcze przez jakiś czas, gdyby pan z tyłu nie popukał mnie delikatnie w ramię:

- Przepraszam, może pani nie blokować?

Obejrzałam się. Za mną czekała już spora kolejka ludzi, sklepowej jednak wcale to nie przeszkadzało. Właśnie dopadła kolejną osobę i wciskając jej gazetę do ręki, mówiła gorączkowo:

- Złociutka ty moja! Oryginalny unikat! Świeżutka, z jeszcze ciepłym autografem! - Jednocześnie kiwała do mnie znacząco, wskazując na stertę gazet leżących przed moim nosem. Nie był to głupi pomysł! Postanowienie uszczęśliwienia świata wcale mi jeszcze nie przeszło, a nie najgorszym rozwiązaniem wydało mi się porzucenie niewdzięcznych przyjaciółek na rzecz jakże wdzięcznych klientów.

*

Pan Henryk, niczego nie podejrzewając, jak zwykle rano wybrał się po świeże bułeczki. Zamieszanie w sklepie nieco go skonsternowało. Naprawdę, nie tego spodziewał się w tym miejscu. Na dodatek już przy drzwiach wejściowych dopadła go sklepowa i nerwowo wymachując jakąś gazetą, zaczęła mamroczyć oryginalnym autografem prosto od prawdziwej gwiazdy.

- Autograf? Oryginalny? - pan Henryk prawie połknął haczyk. Całe szczęście czuwała nad nim Boska opatrność i niemal w ostatniej chwili dostrzegł, kto te autografy rozdaje.

O, nie! Nierządnicą z jego klatki! Miałyby cały w zachwytach wziąć autograf od moralnie wątpliwej osoby?! Żeby co? Umacniać ją jeszcze w niewłaściwych zachowaniach? O, nie! Tego pan Henryk był pewien.

- Niedoczekanie, żebym kupił tę gazetę! - powiedział głośno i wzgardliwie, po czym z dumnie uniesioną głową natychmiast wyszedł ze sklepu. - Nigdy! - powiedział do siebie przed wyjściem, potrząsnął głową z całkowitą dezaprobatą i wolnym, pełnym oburzonej godności krokiem ruszył w kierunku najbliższej przecznicy. Gdy minął róg, kątem oka sprawdził, czy nikt go nie obserwuje. Ulica była kompletnie pusta.

Pan Henryk rozejrzał się odważnie, uśmiechnął się, po czym zapominając o bułkach, popędził prosto do najbliższego kiosku.

- Trzy poproszę - powiedział dysząc ze zmęczenia.

Po paru minutach, cały rozradowany, ślęczał już z uwagą nad pismem we własnym domu.

Brawo. Tajemnica rozwiązana. Zdobył dowód. Nierządnicą na zdjęciu całkiem jawnie obściskiwano się z jakimś mężczyzną. Podpis pod zdjęciem głosił: „Iza Strzałeczka w objęciach Piotra, jednego z amantów”.

„Jednego z amantów. Aha. - Pan Henryk zatrzęsł się z oburzenia. - Jednego z amantów! I jeszcze publicznie się tym przechwala. Dość tego!” Postanowił wyczekać na odpowiedni moment i zacząć działać.

*

- Pani godność? Już piszę. Dla Marii... A, i jeszcze dla brata, tak? A jak bratu na imię?... Władkowi z pozdrowieniami... - wypisywałam z radością dedykacje i w myślach sumowałam swój nastrój: Jest pięknie! Naprawdę, czasem jest po prostu cudownie!

- Co ty robisz, odbiło ci? Przecież się spóźnimy! - błogą atmosferę zepsuł oczywiście Pawełek. Wtargnął do sklepu jak buldożer i siłą odciągnął mnie od tych wspaniałych klientów.

- Mnie odbiło? - zareagowałam z oburzeniem na jego brutalne zachowanie - Mnie? Ja siebie samej przecież nie ciągnę! - poskarżyłam się jeszcze z żalem, ale nic z tego! Tyran Pawełek zdążył wepchnąć mnie już do samochodu i burcząc coś pod nosem, łamał przepisy niedozwoloną prędkością!

Mnie odbiło! Mnie...

- Odbiło ci, czy co? - z oburzenia wyrwał mnie zdenerwowany głos Reżysera, gdy obrażona na cały świat wysiadałam właśnie z samochodu. - Jest już po siódmej! Ten

obiekt musimy zwolnić najpóźniej o dwunastej! Nie zdążymy, za nic nie zdążymy! - wykrzyczał histerycznie i zanim udało mi się odpowiedzieć, uciekł, trzymając się obiema rękami za głowę.

Ha. I to niby aktorkom sława uderza do głowy. Czy wszyscy już naprawdę poszaleli?

Jak nic, gremialnie im odbiło!

Gdy zadzwonią z „Imperium” - ciesz się, ale...

Po pierwsze: ciesz się z umiarem

- Słucham? - telefon odebrałam, spokojnie siedząc w charakteryzacji. Malowałam się do kolejnej sceny. Nuda, ale w końcu był to dzień jak co dzień, co interesującego mogło się wydarzyć? - Wywiad?! - poderwało mnie z krzesła, a Charakteryzatorka, która akurat malowała mi usta, przejechała mi szminką przez pół twarzy.

Wywiad! Ze mną!! Do gazety!!! Oczywiście, że się zgadzam. Rany, co za szczęście. Prawdziwy wywiad ze mną będzie w prawdziwej gazecie! Ha, to już nie byle artykułik, gdzie nazwali mnie „Strzałeczka”. Wywiad! To miał być prawdziwy wywiad!

Śpiewało mi w duszy. Z trudem powstrzymałam się, żeby nie skakać po busie. Udało się. Nie podskoczyłam ani razu. W końcu byłam już przecież dorosła. Dlatego opanowałam się najbardziej, jak tylko mogłam, dokończyłam rozmowę, w euforii zgadzając się na wszystko, i jak gdyby nigdy nic - usiadłam z powrotem w fotelu.

Wywiad! Wywiad! La, la, la, la, będzie ze mną WYWIAD!!!

I oto: ZACZEŁO SIĘ!!!

- Do czego? - kurtuazyjnie spytała prawdziwa aktorka, którą malowano na stanowisku obok. Była to Joanna, w serialu grała moją przyjaciółkę i oprócz tego, że była potwornie sympatyczna, to na dodatek z pewnością na swoim koncie miała już tysiące wywiadów. Szczęściara!

Całej siły woli użyłam do tego, aby się opanować i nie wyśpiewać jej nazwy pisma, rzucając się jednocześnie na szyję. Boże, bycie aktorką to koszmarnie trudny zawód. Wymaga tyle opanowania.

- Do „Imperium” - odpowiedziałam spokojnie, tak jakby dla mnie też był to tysięczny wywiad i ta propozycja nie

zrobiła na mnie najmniejszego wrażenia. Takie rzeczy są przecież normalne między nami, aktorkami.

- Do „Imperium”? - powtórzyła, a jej oczy zrobiły się wielkości spodków.

O co chodzi? Zaniepokoiłam się. Zła gazeta? Nie powinno się im udzielać wywiadów? Słyszałam już dużo na temat tego, że ze szmatławcami się nie rozmawia. „Imperium” na szmatławca niby nie wyglądało, to całkiem gruby miesięcznik, ale cholera go wie. Pozory mogą mylić.

- Zły pomysł? - spytałam niepewnie, żałując już nawet trochę, że tak od razu się na wszystko zgodziłam. Ależ podstępna Dziennikarka. Tak mnie omamić jakimś byle wywiadem. Spryciara, że też tak mnie podeszła.

- Zły? Zwariowałaś?! To najbardziej prestiżowa gazeta w kraju! Każdy marzy, żeby mieć tam wywiad! - odpowiedziała z niekłamaną zazdrością. Spojrzała na mnie, opanowała się szybciotko i ciągnęła już normalnym głosem: - Uważaj jednak. Mogą zrobić z ciebie gwiazdę, ale jak dojdą do wniosku, że jesteś zwykłą idiotką, to skreślą cię z rynku i w życiu już żadna gazeta nie będzie chciała z tobą rozmawiać...

Po drugie: zapanuj nad swymi myślami

Szłam na spotkanie z Dziennikarką „Imperium”, a słowa Joanny cały czas tętniły mi w głowie. Po co mi w ogóle ten wywiad? Mogłam się przecież nie zgodzić, zaczęłabym od czegoś prostszego, na przykład od wypełnienia telefonicznej ankiety zużycia proszków do prania. Ale nie. Ja musiałam oczywiście zgodzić się na wszystko! „Każdy o tym marzy”, przypominałam sobie i prychnęłam z politowaniem. Niby o czym? O takich nerwach mogą marzyć jedynie szaleńcy!

Miałam tremę. Najzwyczajniej w świecie miałam tremę. O co ona będzie mnie pytać? Co ja jej na to powiem? Rany, potwornie się denerwowałam, że palnę coś głupiego i zrobię z siebie idiotkę.

Nie! - uspokajałam samą siebie. - Trzeba do kwestii tego wywiadu podejść taktycznie. Uważać na każde słowo, najlepiej nie mówić za dużo. To, żeby w ogóle się nie odezwać, było co prawda kuszące, ale jakoś nie wydawało mi się najlepszym pomysłem.

Byle tylko nie zrobić z siebie idiotki, nie zrobić idiotki, nie zrobić idiotki - modliłam się w duchu, gdy stałam przed umówioną kawiarnią, udawałam, że rozmawiam przez komórkę, trzęsły mi się kolana i całą siłą woli powstrzymywałam się, żeby nie uciec.

Dobra. Skłamałam. Siły woli miałam akurat tyle, ile alkoholik w ciągu. Patrzyłam na te cholerne, wielkie, szklane okna kawiarni i myślałam: na pewno się teraz na mnie gapi, głupio będzie, jak zobaczy, że ja nagle gdzieś sobie idę, od razu zgadnie, że uciekam!

Powinłam wejść, ale z drugiej strony bałam się jak przed maturą. W końcu ona też miała mi zadawać podchwytliwe pytania, a na koniec ocenić w tej swojej gazecie. Nie wchodziłam więc, tylko nadal gadałam swoje do głuchej komórki, a w głowie powoli krystalizowała mi się myśl: kurczę, siedzi tam i się na mnie gapi, i zastanawia się, czemu tu tak stoję jak idiotka.

To na mnie podziałało.

Tylko nie jak idiotka! - coś się w głębi mnie sprzeciwiło i popchnęło w kierunku drzwi. - Nie jak idiotka! - mówiło już w środku. - Nie jak idiotka, nie jak idiotka!

- Zajązkowska - podeszła do mnie jakaś pani.

- Idiotka! - odpowiedziało to coś we mnie, zanim zdążyłam się zastanowić.

- Proszę?

Po trzecie: zachowaj spokój .

Pięknie. Po czymś takim już chyba nic gorszego nie może się wydarzyć.

Teoretycznie mogłam przestać się czymkolwiek przejmować. Ale wtedy ten racjonalizm kompletnie do mnie nie przemówił, toteż przejęłam się jeszcze bardziej.

A jak mi będzie zadawać jakieś trudne pytania? O czym w ogóle rozmawia się podczas wywiadów? Cholera, o zainteresowaniach! Tylko jak ja mogę twierdzić, że lubię filmy, skoro nawet nie wiem, kiedy powstał pierwszy film długometrażowy.

- Kawy? - spytała Dziennikarka pomocnie.

- Tak, poproszę - odpowiedziałam z ulgą. Uff, odpowiedziałam, to było nawet proste.

- Chciałabym, żeby to była taka luźna, szczerza rozmowa. O pani, o tym, co pani robi, co pani lubi, a czego nie. Nie ma pani nic przeciwko temu?

- Skąd! - Odpowiedziałam szczerze, bo faktycznie nie miałam. Żeby tylko zapomniała o wpadce na samym wstępie, zgodziłabym się nawet na rozważania dotyczące mechaniki kwantowej.

Może dobrze, że o tym akurat nie wiedziała. Nigdy w życiu nie byłam dobra z fizyki.

Poczekaliśmy, aż kelnerka przyniesie kawę, i Dziennikarka włączyła dyktafon. Powiedziałam, że wcześniej się denerwowałam? Rany! To było nic przy tym, jak zobaczyłam tę czerwoną lampkę! Nigdy jeszcze tak bardzo się nie denerwowałam. Stres na przesłuchaniu? Był przy tej lampce niczym! Przy pierwszej scenie? Przysięgam, to była prawdziwa przyjemność, relaks, błogostan z tym komfortem kolejnego dubla! Zdecydowanie. Nie ma nic bardziej stresującego od czerwonej lampki w dyktafonie, który nagrywa waszą rozmowę do „Imperium”.

- Zaczynamy? - Skinęłam tylko głową, bo chwilowo nie mogłam wydobyć głosu. - Dobrze. Od czego tu zacząć? - zaśmiała się, więc wykonałam podobny grymas ustami, żeby

zatuszować to, że czuję się coraz gorzej. - Zaczniemy od początku. W takim razie proszę mi powiedzieć, od jak dawna, od dzieciństwa, czy może ta myśl pojawiła się już później, ale przede wszystkim, czy w ogóle marzyła pani, żeby zostać aktorką?

Zapadła cisza. Przez kawiarniany gwar docierał do mnie dźwięk dyktafonu mielącego taśmę. Zastanawiałam się. Nie, nie marzyłam, ale czy na pewno? A może w przedszkolu...? Usilnie przywoływałam swoje przedszkolne marzenia, bo wzięłam sobie do serca to, że odpowiedzi mają być szczerze. Bardzo nie chciałam zawieść Dziennikarki i nawet nieświadomie skłamać podczas mojego pierwszego wywiadu.

- Pani Izo? - Dziennikarka przestraszyła się chyba, że zasnęłam, ale ja już miałam gotową odpowiedź.

- Nie.

Znów zapadła cisza. Dziennikarka dopiero po chwili się zorientowała, że to właśnie była odpowiedź na jej pytanie. I że zdecydowanie wyczerpałam temat.

- Aha... tego... to w takim razie może pani opowie, jak do tego doszło...? Jakim cudem znalazła się pani na planie jako odtwórczyni roli Weroniki? Wygrała pani casting?

Jaki jest sens zadawania pytania, jeżeli zna się odpowiedź? Ale postanowiłam nie marudzić. W tym może się czaić podstęp.

- Tak - powiedziałam więc krótko.

Ha! Nie dam się złapać! No dobrze, idzie nieźle, czekam na następne pytanie!

Dziennikarka sprawiała wrażenie, jakby też jeszcze na coś czekała. Nie mogłam zgadnąć, na co. Przecież kelnerka podała już kawę.

- Eeee... Kolejne pytanie... - Wreszcie! - Grała pani już wcześniej?

Uf, nad tym w ogóle nie musiałam się zastanawiać. Coraz lepiej mi szło, odpowiedziałam niemalże od razu. - Nie.

- Aha. A, tego, a ma pani jakieś kolejne propozycje?

Nie jest źle, to też proste. Czułam się coraz bardziej pewna siebie i coraz bardziej byłam z tego wywiadu zadowolona.

- Nie.

- Eeee... Hm...

Nie wiem czemu, Dziennikarka sprawiała wrażenie niezadowolonej. Była coraz bardziej zasepiona (to jeszcze mogłam zrozumieć, w końcu na niczym nie udało jej się mnie złapać). Ale nie mogłam pojąć, czemu robi wrażenie coraz bardziej zagubionej. Prawdę mówiąc, zaczynało mi się to nie podobać. Zdecydowanie powinna się lepiej przygotowywać do wywiadów. Czemu ona nie ma spisanych pytań?! Ci z „Imperium”, swoją drogą, skoro potem łamią ludziom kariery, powinni zatrudniać solidnych pracowników.

- A lubi pani tę pracę? - wreszcie z siebie wydusiła i znów zapadła cisza.

Nad tym musiałam się zastanowić, bo pytanie znów wyglądało na podchwytliwe.

Czy lubię? Owszem, czasami jest nudna i irytująca, zwłaszcza gdy trzeba głupią czynność sięgania po torebkę powtarzać w nieskończoność, ale z drugiej strony... Fascynuje mnie to, że rano mogę wyjść zaspana, rozczochrana i z zapuchniętymi oczami i nie przejmować się ani przez sekundę tym, jak wyglądam, bo potem i tak dwie osoby; kiedy siedzę wygodnie w fotelu z zamkniętymi oczami, robią wszystko, żebym po ich otwarciu wyglądała jak bóstwo. Ale przecież nie mogę jej tego powiedzieć. Po takim wyznaniu na pewno nie wyjdę na miłą, kulturalną, godną podziwu młodą kobietę. Może ona nawet nie pomyśli o mnie, że jestem wyjątkowo małostkową i leniwą idiotką. Ale moja mama, jak to

przeczyta, pomyśli sobie na pewno i nieźle mnie za to prześwieci. Rany, co powiedzieć?

- Tak... - spróbowałam zatem ostrożnie.

- Dlaczego? - zaatakowała czujnie Dziennikarka. A to bestia! Znów myślała, że mnie podejdzie!

- Hm... To trudne pytanie, jeszcze się zastanowię - odpowiedziałam natychmiast, wykazując się nie mniejszą czujnością.

Ale unik! Genialny! Chyba powinnam zająć się polityką.

- No dobrze - Dziennikarka wyraźnie się poddała. Czy mi się wydaje, czy ona zaczęła się pocić? - Może z innej beczki. Ma pani męża? Narzeczonego? Rodzinę?

- Nie.

Nie, nie wydaje mi się! Poci się na pewno!

- Brata? Siostrę?

I trzęsą jej się ręce! No nie, naprawdę! Ona nie ma nawet psychicznych predyspozycji do tego zawodu!

- Jakież zwierzę?

- Tak, kota.

Na twarzy Dziennikarki pojawiła się prawdziwa ulga. Błysnęła szansa. Może uda się jej wyciągnąć chociaż jakąś opowieść o kocie. Nigdy jeszcze w swojej karierze nie natrafiła na tak trudnego rozmówcę. Właściwie nawet ciężko kogoś takiego, kto jedynie mówi „tak” albo „nie”, nazwać rozmówcą. Nie było szans, aby z monosylab sklecić jakikolwiek wywiad do „Imperium”. Ale może nie wszystko stracone. Wzięła głęboki oddech i modliła się jedynie o to, aby nie zmarnować czasu i umieścić wywiad ze Strzelecką w jakiegokolwiek innej gazecie.

- To w takim razie może porozmawiamy o kotach? - uczepiła się swojej ostatniej nadziei.

- Proszę bardzo - odpowiedziałam niepewnie. Do „Imperium” chce rozmawiać o kocie? Gdzie tu haczyk, który

ujawni we mnie idiotkę? Ale Dziennikarka wreszcie wydawała się zadowolona. Odprężyła się trochę, przestały jej się trząść ręce i uśmiechnęła się ze szczerą radością. Mimo że nadal patrzyłam na nią z dużą podejrzliwością, zaczęłam opowiadać o moim kocurze Zedzie.

Wreszcie, po godzinie rozmowy, Dziennikarka powiedziała z uśmiechem:

- Cudownie! Wystarczy, mam już aż za dużo materiału!

Wobec tego podziękowałyśmy sobie za urzekającą rozmowę, uścisnęłyśmy dłonie i po uregulowaniu rachunku rozeszłyśmy się w dwie różne strony.

W sumie było bardzo sympatycznie. Dziennikarka po tym nieszczęśliwym początku, kiedy za wszelką cenę usiłowała zrobić z siebie nieprzygotowaną do wywiadu idiotkę, okazała się całkiem miłą i elokwentną. Też opowiedziała mi o swoim kocie. Okazało się, że wywiad to wcale nie jest taka straszna sprawa. Ale, co najważniejsze, ja nie zrobiłam z siebie idiotki.

Byłabym bardzo zadowolona, tylko...

Rozczarowało mnie jedno. Dlaczego na początku skłamała, że wywiad ma się ukazać w miesięczniku „Imperium”?

Przecież od razu mogła powiedzieć, że to będzie w gazecie „Mój Przyjaciel Kot”!

Do premiery dobrze się przygotuj
I nadszedł wreszcie ten dzień.

Telewizyjna premiera pierwszego odcinka!

Czy byłam zdenerwowana? To mało powiedziane! Kto na moim miejscu nie byłby zdenerwowany, wiedząc, że o określonej godzinie przed telewizorem zasiada: mama, tata, wszyscy dziadkowie, a na dodatek całe moje rodzinne miasto? Nie byłoby jeszcze tak źle, ale poszła po nim fama, że pojechałam do stolicy robić „wielką karierę” gwiazdy...

Nie łudziłam się. To wystarczyło w zupełności, żebym denerwowała się bardziej niż przed najgorszymi krytykami telewizyjnymi! Krytycy są przynajmniej obiektywni. Moje rodzinne miasto - wiedziałam to! - zasiadzie przed telewizorami i szczegółowo wyłapie każde moje najmniejsze potknięcie. Będzie im wszystko jedno, co znajdą: głupi tekst, brzydka bluzkę czy nudną scenę. Objadą każdy szczegół z największą przyjemnością, żeby tylko udowodnić sobie, że moja kariera wcale nie jest wielka, i w ogóle nie jest to kariera, więc co tu mówić o tej „pożal się Boże, gwieździe”... A te wszystkie krytyczne uwagi ze skrupulatnością zegarmistrza zbierać będzie moja rodzina, żeby w końcu za pośrednictwem mojej mamy wszystko do mnie dotarło. Ale miasto i jego ewentualne uwagi - to nic. Nikt nie był tak wymagający, jak cała moja rodzinka. Oni znaleźliby wady nawet w Panu Bogu!

Hm. Prawda była taka, że nie byłam Bogiem. Serial nie był najnowszym Objawieniem. Dlatego nie chciałam nawet zastanawiać się, jak go mogą ocenić. Na samą taką myśl robiło mi się słabo.

A to tylko jedno małe miasteczko. Do tego dochodzi reszta różnych moich znajomych, nie mówiąc już o ogromnej rzeszy obcych ludzi, którzy nasz serial obejrzą.

Nic więc dziwnego, że oblewały mnie zimne poty na przemian z nagłymi uderzeniami gorąca. Nawet przed maturą aż tak się nie denerwowałam, obrona pracy magisterskiej to pikuś, każde stresujące wydarzenie było niczym w porównaniu z premierą pierwszego odcinka.

Zdjęcia robiliśmy w takim tempie, że skończyliśmy grubo przed osiemnastą trzydzieści.

Wszyscy byli lekko zdenerwowani. To trochę mnie pocieszało, bo znaczyło, że też mają wymagające rodziny.

O osiemnastej na plan wjechał szampan, tort, Producent i wielgachny telewizor.

- Kolaudanci byli bardzo zadowoleni - Producent zaczął przemówienie. - Teraz zobaczymy, co na to widzowie - zakończył.

Nie ma to jak odpowiedniej długości przemówienie!

Wreszcie nadeszła osiemnasta trzydzieści. Gula w gardle z nerwów rosła mi coraz bardziej. Skończyły się reklamy. Zachciało mi się siusiu. Gdy pojawiły się początkowe napisy, pomyślałam w panice, że już się tego nie da zatrzymać! I wtedy na ekranie zobaczyłam swoją twarz.

„Iza Strzelecka jako Weronika”, głosił podpis, ale wtedy ta treść do mnie nie dotarła. Przyswoiłam ją dopiero koło dziewiątego odcinka. Póki co gapiłam się na siebie jak zahipnotyzowana. Jakbym pierwszy raz w życiu siebie widziała. Fakt, byłam w szoku. To jakaś obca baba - pomyślał w pierwszym odruchu. Wymienili aktorkę! - popatrzyłam na Producenta oskarżycielsko, ale nawet tego nie zauważył. Obcy babol w telewizorze właśnie mizdrzył się do jakiegoś faceta. Rany! Aż skuliłam się cała w fotelu. Czy ja naprawdę robię w takich momentach tak bardzo kretyńskie miny? Aż dziw, że kiedyś w życiu miałam faceta. Ale wcale nie dziwne że już go nie mam. Tymczasem babol wstał z fotela (Nie! Ona jest grubsza ode mnie przynajmniej o dziesięć kilo!) i kaczym

chodem poczłapał po coś do kuchni. Krzywe kolana! Nawet nie wiedziałam, że mam aż takie krzywe kolana! - pomyślałam w rozpaczy i wtedy usłyszałam, co tam mówię.

Co za bzdura! Zdenerwowałam się od razu, bo gadałam do faceta takie głupoty, że aż dziw, że tam siedział! Dlaczego, gdy musiałam to zagrać, w ogóle nie zwróciłam na to uwagi? - pomyślałam z pretensją do siebie. Zresztą sam tekst to nic. Mówiłam to w taki sposób, że na kilometr widać było, że kłamię, myślę o czymś innym albo mam gigantyczną treść. Miałam treść. Przypomniałam sobie, że robiliśmy to drugiego dnia zdjęciowego i wtedy miałam jeszcze straszną treść. Ale to w niczym nie usprawiedliwia tego drania Reżysera. Popatrzyłam dla odmiany na Reżysera z pretensją. Jak on mógł coś takiego w ogóle puścić?! Dlaczego nie zrobiliśmy chociaż jeszcze jednego dubla?! Wrogo myślałam już o całej ekipie. Spieszyło się im do domu, cwaniakom, a teraz nasze nieszczęsne społeczeństwo jest zmuszone coś takiego oglądać.

Biedny Producent - po pierwszych scenach złość mi przeszła, ale za to pojawiło się współczucie. Tak we mnie wierzył, a tu taka klapa! Wijąc się ze wstydu, oglądałam jednak serial dalej. A Reżyser? - pomyślałam z żalem o Reżyserze. Tyle godzin nade mną pracował. I Kostiumografka. Charakteryzatorka. Operator, Szwenkier i oświetlacze. Wszystko na nic...! Tylko dlatego, że właśnie mnie zatrudnili...

Wreszcie, po prawie trzydziestu minutach męki, ten koszmarny serial wreszcie się skończył.

- Iza! - jako pierwszy rzucił się do mnie Reżyser.

Jest wściekły! - pomyślałam i chciałam zrobić unik, żeby jak najszybciej zejść mu z oczu. Nie zdążyłam. Dopadł mnie, zanim uciekłam, więc ze strachu zamknęłam oczy.

- Cudownie! Kochana, genialnie, pięknie! - mówił, toteż uchyliłam podejrzliwie powiekę. Nabija się? Czy naprawdę nie widział tych kolan?

- Wiedziałem! Od razu wiedziałem! - sekundę po Reżyserze dołączył do zachwytów Producent, a po nim już cała reszta.

- Moja śliczna! Gratuluję! - wołali i obściskiwali mnie kolejno.

Co jest? Czy na pewno wszyscy oglądaliśmy ten sam serial?

Po premierze wyłącz na tydzień telefon i zmień miejsce zamieszkania

- Mamy rekordowe wyniki oglądalności! - następnego dnia wczesnym rankiem na plan wpadł wniebowzięty Producent. - Sukces! Prawdziwy sukces! Izunia, jesteś wielka, media teraz nie dadzą ci spokoju! Udało się! Udało! - radośnie wrzeszczał, a z nim cała ekipa.

Ja byłam cicho.

Nie miałam pojęcia, o czym oni mówią? Bo z pewnością nie o tym koszmarze, który mnie samej udało się wczoraj obejrzyć!

Oszaleli! - stwierdziłam, kiedy rozdzwonił się mój telefon. Nie było co do tego wątpliwości.

Zdecydowanie. Coś z nimi wszystkimi było naprawdę nie tak.

- Córciu, naprawdę świetne! Byłaś niesamowita! - zaczęła, radośnie wykrzykując, moja mama przy wtórze pełnych zachwyty okrzyków reszty rodziny.

- I narodziła się gwiazda! - dodali swoje Haneczka z Maćkiem, którzy nieoczekiwanie z butelką wina znaleźli się w moim domu.

Oszaleli? Rozumiem, w końcu to najbliżsi. Ale bez przesady. Czy oni naprawdę myślą, że dam się nabrać?! Niby że nikt nie zauważył tego mojego kaczego chodu?!

Szesnaście połączeń nieodebranych! - odkryłam następnego dnia po zagranii pierwszej sceny.

Rany! Przeraziłam się. Czego niby nagle tyle osób może ode mnie chcieć? Oprotestować moje kolana?

„W skrzynce pocztowej nie ma już miejsca na nowe wiadomości”, poinformował mnie telefon, więc posłusznie wzięłam karteczkę do notowania ważniejszych informacji. - Wywiad, rozmowa, mama, wywiad, znów mama... - wszystko zapisywałam, wściekła, że w ogóle muszę to kasować. Potem

nikt ze znajomych mi nie uwierzy, że tyle osób naraz chciało ze mną przeprowadzać wywiady!

- W ogóle nie można się do pani dodzwonić - powiedziała jakaś pani z pretensją w głosie, gdy odebrałam telefon. Właśnie rozłączyłam się z moją pocztą. Byłam w szoku.

- Przepraszam - odpowiedziałam więc odruchowo, chociaż to przecież nie była moja wina. Nie ja tyle do siebie dzwoniłam.

- No! - Pani wydawała się usatysfakcjonowana, dlatego zrezygnowałam z wszelkich tłumaczeń. - Chciałam panią poinformować, że kolektywnie wybraliśmy pani osobę do charytatywnego czytania dzieciom w naszej osiedlowej bibliotece - zakończyła takim tonem, jakby właśnie podarowała mi najlepszy w świecie prezent.

- Dziękuję - odpowiedziałam. Znów odruchowo. To kwestia wychowania. Jak się coś dostaje, trzeba dziękować.

- Świetnie - podsumowała szalenie zadowolona. - W takim razie proszę do nas przyjechać w piątek o siedemnastej.

- Eee... chyba wtedy pracuję - odparłam niepewnie, ale tak mi się wydawało. W każdym razie pracowałam w każdy piątek od kilku ładnych miesięcy i nie sądziłam, żeby w ten najbliższy miało się coś pod tym względem zmienić.

- To przecież biedne dzieci! - wykrzyknęła pani takim tonem, jakbym własnoręcznie spowodowała głód w Afryce.

- Zobaczą, co da się zrobić - obiecałam pospiesznie, bo właśnie w tym momencie Beatka wołała mnie już na plan.

Dwadzieścia dwie nieodebrane! - ze zgrozą zobaczyłam po drugiej scenie. To jakieś szaleństwo, pomyślałam i poprosiłam garderobianą, aby zaczęła odbierać mój telefon. Poczta pękała w szwach, a ja miałam się całkowicie przebrać i totalnie zmienić charakterystykę do kolejnej sceny.

- W sumie czterdzieści sześć wiadomości - powiedziała mi garderobiana na koniec dnia zdjęciowego. - Niektórzy dzwoniли po kilka razy, a pani mama dwanaście.

Dwanaście? Rozumiem, że mnie kocha, ale żeby aż dwanaście? ! Czego ona może chcieć?

- Tu są numery - powiedziała, podając zapisaną kartkę. - Wszyscy prosili o to, żeby bez względu na porę koniecznie postarała się pani do nich oddzwonić.

No nie. Naprawdę oszaleli. To teraz jeszcze mam wydać majątek na telefon.

- Dziękuję, do widzenia... - późną nocą zakończyłam ostatnią rozmowę.

To jakiś absurd! - pomyślałam z prawdziwą zgrozą i z przerażeniem spojrzałam na listę spraw do załatwienia.

Czytanie dzieciom w bibliotece, ocenianie konkursów recytatorskich w dwóch przedszkolach i jednej szkole podstawowej, kwestowanie na darmowe obiady kółka rencistów, psy ze schroniska, fundację dokarmiania kotów i ratowanie chorych gołębi, przecięcie wstęgi podczas otwarcia świetlicy przyzakładowej, sześć wywiadów dla lokalnej prasy, trzy dla gazet telewizyjnych i jeszcze po dwa dla prasy kobiecej i pism młodzieżowych, cztery oddzielne sesje do wywiadów, wystąpienie w porannym programie telewizyjnym, uświetnienie swoją obecnością otwarcia nowej restauracji, wernisażu, promocji nowej wódki i wieczorku autorskiego, cztery zaproszenia do kina na jakieś pokazy przedpremierowe i jedno zaproszenie do teatru...

Tak, wiem. To Wielki Świat. Tylko dlaczego cały naraz? Wywiadów mogę udzielać przez telefon, co jakiś czas mam dzień wolny, ale i tak w życiu nie uda mi się tego wszystkiego załatwić.

- W ogóle nie można się do ciebie dodzwonić - powiedziała z pretensją w głosie tym razem moja mama.

- Przepraszam - odpowiedziałam odruchowo, bo cały czas byłam w szoku. Tym razem ilością obowiązków. A miałam taką nadzieję, że gdy będzie wolne, wreszcie uda mi się odpocząć.

- Już obiecałam, że kiedy przyjedziesz do domu, to w twoim gimnazjum poprowadzisz jakieś zajęcia w kółku teatralnym - radośnie poinformowała mnie mamusia. - A! I twoja szefowa z radia pytała, czy nie udzieliłabyś jej wywiadu do lokalnej gazety, w której teraz pracuje... - I w ten sposób przez dobry kwadrans ciągnęła listę tym razem krośnieńskich rozrywek. - Nie możesz przecież odmówić, powiedzą, że się wywyższasz! - zakończyła wreszcie kategorycznie.

- Dobrze, nie odmówię... - odpowiedziałam słabym głosem. Nie miałam siły powiedzieć jej, że prawdopodobnie tym razem w ogóle do domu nie przyjadę.

Dobrze.

Nie mam wyjścia. Przyjadę.

A potem poproszę o kilka dni wolnego na odreagowanie przepracowania.

Nie lubię poniedziałków, czyli zapomnij o wolnej niedzieli

- Jak to, w sobotę i niedzielę pracujemy?! - prosto z planu zadzwoniłam do biura produkcji mocno oburzona. Sobotę jeszcze od biedy mogłam zrozumieć. W końcu wszyscy czasem w soboty pracują, z soboty nie ma co robić tragedii. Ale niedziela? Za jakie grzechy mam pracować w niedzielę?!

- Musimy - odpowiedziała mi pogodzona z losem Tereska. Tereska była kierownikiem produkcji, co w rzeczywistości oznaczało miejsce po Bogu, czyli zaraz za Producentem. No tak, było jasne, dlaczego ona była z tym już pogodzona. Ale ja?

- Dlaczego musimy? - buntowałam się dalej. Jedyne bowiem, co według mnie musieliśmy w niedzielę, to mieć wolne. Nikt nie pracuje w niedzielę. W każdym razie do tej pory tak mi się wydawało.

- Bo nikt nie pracuje w niedzielę... - potwierdziła moje poglądy Tereska - ... w tym obiekcie, w którym planujemy zdjęcia, dlatego wpuszczają nas tam tylko w niedzielę. Ale za to będziemy pracować w miarę krótko, a poniedziałek będzie cały wolny. Aha, przysłali dla ciebie jakieś zaproszenia do kina... - dodała jeszcze na pocieszenie i chyba dla odwrócenia uwagi, po czym odłożyła słuchawkę.

Jakimś głupim kinem chciała odwrócić moją uwagę? I pocieszyć mnie tym, że mamy wolne w poniedziałek?

To chyba jakiś idiotyczny żart!

Poniedziałek?!!!

Po kiego diabła mi wolny poniedziałek?!

Po co mi wolne wtedy, gdy wszyscy pracują i nikt ze znajomych i tak się ze mną nie spotka?

- Nici z niedzieli - poinformowałam Haneczkę grobowym głosem, bo przysięgłam jej już wcześniej, że tym razem nie

będę spała i na pewno się z nią zobaczę. Wściekła się. Nic dziwnego. Nie widziałyśmy się już od ponad dwóch miesięcy.

I w ten właśnie sposób legło w gruzach moje życie towarzyskie.

Już nie mówiąc o życiu duchowym. Zdecydowanie przy filmach mogą pracować tylko bezbożnicy.

I nic dziwnego, że o środowisku filmowym krążą potem jak najgorsze historie. ,

Pan Henryk cierpliwie czekał na odpowiednią chwilę. Wreszcie!

Zerwał się jak oparzony, gdy przez firankę zauważył podjeżdżające volvo. Niech to! Nie popuści! Nierząd uprawiać nawet w dzień święty!

Chwycił gazetę z artykułem i z pośpiechem przekraczającym możliwości reumatyka gwałtownie wybiegł z mieszkania.

- Dość! - jakiś czas później powiedział stanowczym głosem na pospiesznie zwołanej klatkowej radzie mieszkańców. Co prawda trudno to było nazwać „radą”, bo oprócz pana Henryka obecne były jedynie dwie zastraszone emerytki z góry, które wyszły z mieszkań tylko dlatego, że pan Henryk zagroził im wiecznymi mękami piekielnymi. Jednak pana Henryka nikła frekwencja nie wybiła z animuszu. Taka liczba osób w zupełności wystarczyła, aby dorwać Dozorcę, podstępem zapędzić go w róg klatki i odciawszy wszelkie możliwe drogi ucieczki, domagać się, by zaczął działać.

Dozorca na jakiegokolwiek działanie nie miał najmniejszej ochoty. Za to miał problem. Nie widział żadnej możliwości, by z tej sytuacji jakoś chyłkiem się wymknąć. Centralnie przed nim, wymachując gazetą, perorował pan Henryk, boki skutecznie blokowały dwie korpulentne staruszki (w tym jedna z laską). Zdążył je już na tyle poznać, aby wiedzieć, że

przeciwstawienie się chcącym czegoś emerytkom graniczy z cudem i jest niesamowicie ryzykowne.

„Tylko nie panikuj!”, myślał. Tymczasem trzy pary oczu wpatrywały się w niego z pełnym determinacji oczekiwaniem. Pod naporem tych spojrzeń siła oporu Dozorcy malała, natomiast pragnienie ucieczki wzrastało z ogromnym napięciem. Był tylko jeden sposób. Aby uwolnić się od tych świdrujących spojrzeń, pokiwał niepewnie głową i zupełnie wbrew sobie powiedział:

- Dobrze, zajmę się tym...

Chwilę później, wyekspediowany z miotłą i trefną gazetą na stanowisko przed drzwiami wejściowymi, pluł sobie w brodę.

„Co ja właściwie tu robię?”, wściekał się wkurzony na siebie, że uległ woli trojga ledwo drepczących staruszków. „Jak niby jej to powiem?”, zastanawiał się, z niepokojem myśląc o spotkaniu z aktorką. Podskórnie czuł, że jeśli dojdzie do konfrontacji, to nie będzie w stanie wydusić z siebie słowa. Najchętniej w ogóle by tego uniknął. Jednak nie mógł samowolnie odejść ze stanowiska przed drzwiami. Trzy pary oczu, schowane w pośpiesznie zorganizowanej bazie u pana Henryka, świdrowały go dalej, ukryte za firanką. Dlatego Dozorca zamiatał coraz bardziej zamasyście i był coraz bardziej wkurzony.

Po godzinie niewielka przestrzeń przed drzwiami wejściowymi lśniła czystością. Dozorca jednak nadal nie rozwiązał problemu, co robić, dlatego z rozmachem zamiatał dalej. Nie było co prawda już czego zmiatać, przed wściekłymi uderzeniami miotły uciekły już nawet najbardziej odporne i uparte bakterie, tak że teraz usuwane były stopniowo kolejne warstwy płyt chodnikowych. Ryzyko, że za jakiś czas zmiecie płyty chodnikowe do gołej ziemi, nie przeszkadzało jednak Dozorcy w najmniejszym stopniu.

W końcu nadeszła ta straszna chwila. Podjechało czarne volvo. Dozorca, który akurat był odwrócony do ulicy plecami, usłyszał to wyraźnie. Jednak ani myślał się odwrócić, tylko jeszcze zwiększył tempo zamywania. Zamywał tak, jakby za chwilę miała się tu zjawić światowa inspekcja sanitarna i od wyniku kontroli miało zależeć życie całej planety. Otworzyły się drzwi. Marzeniem Dozorcy stało się zamykanie tu całą wieczność. Niestety. Nie było mu to dane. Doleciało go niecierpliwe stukanie w szybę, zza firanki pojawiła się na mgnienie oka ponaglająca twarz pana Henryka. I to spojrzenie. To przesywające spojrzenie! Dozorca jak sterowany pilotem zrobił w tył zwrot i zupełnie wbrew sobie wyrecytował:

- W imieniu mieszkańców mówię nie! - Jedyne, co mógł zrobić, to powiedzieć to jak najciszej i jak najmniej wyraźnie. Dyrektywy pana Henryka nie obejmowały przecież tonu głosu.

Nigdy nie ignoruj wyrazów sympatii...

Zawsze nienagannie uprzejmy Dozorca powiedział coś, gdy właśnie wysiadałam z samochodu. Co prawda nie usłyszałam co. Ale co może mówić ktoś tak niezwykle uprzejmy, gdy spotyka drugą osobę?

- Dobry, dobry! - odpowiedziałam więc z szerokim uśmiechem, bo lubiłam tego miłego człowieka.

*

Dozorcę trochę zatkało. Nie spodziewał się takiej reakcji, przygotowany był raczej na jakąś dyskusję! Gdyby ktoś jego samego postawił w takiej sytuacji, na pewno by dyskutował, a nie od razu zgadzał się na wszystko. Z drugiej strony jednak nie będzie przecież jej przeciw sobie buntował. Poza tym zobaczył małą szansę. Obowiązek wypełnienia misji ciążył mu niezmiernie, wzrok emerytów wypalał mu dziurę na plecach... Dlatego uchwycił się możliwości skończenia sprawy szybko i bez zbędnego gadania, niczym nurek bez swojego aparatu tlenowego na głębokościach... To znaczy rozpaczliwie.

- Czyli zgadza się pani? - spytał z nadzieją. Wyglądało na to, że wszystko szło jak po maśle.

... ani swoich fanów

Tym razem usłyszałam, co powiedział Dozorca, ale niestety nie było to jednoznaczne z tym, że rozumiałam, o co mu chodzi. Na „dzień dobry” miałam się niby godzić? Spojrzałam ze zdumieniem na Dozorcę, szukając jakichś wyjaśnień. On nerwowo przełknął ślinę i zaszeleścił znacząco - tak mi się przynajmniej wydawało - gazetą.

Wtedy rozumiałam.

No tak, to przecież oczywiste. Fani, popularność, autografy. Rany, jeden artykuł i doszło już do tego, że nawet nie mogę wejść do domu bez złożenia swojego podpisu. Jak bosko! Jestem sławna!

- Jasne, że się zgadzam! - powiedziałam więc ciepło i wydarłam z zaciśniętych pięści Dozorcy zrolowane pismo. Otworzyłam na odpowiedniej stronie i podpisałam. Gdy skończyłam, Dozorca machinalnie odebrał ode mnie gazetę i nie mówiąc ani słowa, zaczął się w nią z potwornym napięciem wpatrywać.

Zostawiłam go samego. Tak, dla zwykłego, szarego człowieka autograf od osoby popularnej, z dedykacją „ucałowania”, musi być nie lada wydarzeniem. Przy drzwiach wejściowych odwróciłam się i jeszcze raz spojrzałam na Dozorcę. Stał nadal w tym samym miejscu. Uśmiechnęłam się do siebie. Swoją drogą nawet nie przypuszczałam, że taki drobny gest może zrobić aż takie wrażenie.

*

Dozorca jeszcze długo stał jak skamieniały. Przerażonym wzrokiem patrzył na autograf złożony tuż pod mrozącym krew w żyłach emerytów zdjęciem. Bał się odwrócić, aby nie natknąć się na ich rozwścieczone spojrzenia.

Najgorsze jednak było co innego.

W głębi duszy musiał przyznać, że był potwornie zadowolony!

Udało mu się!

Jaka to będzie gratka dla żony i dzieciaków!

Pierwsza wypłata - poradnik sknerusa

Dostałam pierwszą wypłatę!

Po ponad trzech miesiącach nieprzerwanej harówki, życia na kredyt w banku, u mamy, u Haneczki, u operatora telefonii komórkowej i informatyków, którzy prowadzili mi stronę internetową (każda sława musi mieć swoją stronę, nic na to nie poradzę), wreszcie dostałam wypłatę!

Zapłaciłam rachunki. Oddałam pieniądze mamie, Haneczce, telefonii komórkowej i informatykom. Zainwestowałam we fryzjera, kosmetyczkę, ekspertów od paznokci i kolejny miesięczny abonament na siłownię. Zrealizowałam zalecenia Charakteryzatorki i Fryzjera dotyczące zakupienia odpowiednich kosmetyków do twarzy, włosów i reszty ciała, nabyłam witaminy, które miały mi pomóc przetrwać kolejne tygodnie pracy i niewyspania, oraz zapas jedzenia dla kota.

Wtedy wreszcie postanowiłam sprawdzić, na jakie szaleństwo mi jeszcze zostało. Brylantowy pierścionek? Wypad na szybkie zakupy do Londynu? A może po prostu jakaś ekskluzywna kreacja od superznanego projektanta?

Zajrzałam na konto i...

Poczułam się trochę rozczarowana. Jak to?!

Po wielu godzinach ciężkiej, beznadziejnej pracy nade mną, kiedy wypruwali z siebie flaki specjaliści od twarzy, włosów, ciuchów, światła i ustawienia kamery pod odpowiednim kątem, po kolejnych godzinach zmagania i dzięki niewyobrażalnemu talentowi mistrza od Photoshopa, mogłam przecież uchodzić za piękną.

Grałam w serialu, udzieliłam kilku wywiadów, rozdałam już kilka autografów w spożywczaku, rozpoznawali mnie nie tylko Dozorca i sąsiedzi, toteż z całkowitą odpowiedzialnością mogłam twierdzić, że jestem sławna.

Co zatem z trzecim członem tego nierozzerwalnego trio? Dlaczego nie byłam bogata?!

Konto ze stoickim spokojem pokazywało, że dalej jestem bankrutem. Ale jak to? DLACZEGO?

Poczułam się strasznie oszukana. Co najmniej tak, jakby ktoś obrabował mnie z rodowych skarbów. Co prawda w mojej rodzinie od pokoleń nie było żadnych skarbów, a co dopiero rodowych, nie było więc szansy, aby ktokolwiek mnie z nich obrabował. Ale jakby była, to czułabym się właśnie tak jak w tej chwili. STRASZNIE.

Jak po czymś takim mogłabym dalej pracować? Nie mogłam. Nie tylko pracować, nie mogłam nawet spokojnie pokazać się ludziom na oczy!

Nie była to kwestia mojej pazerności. To była sprawa oczekiwań społecznych, które w okrutny sposób zostały zawiedzione. Odbieranie nadziei nie było najlepszą strategią prowadzenia PR - u. Jako aktorka, jako osoba popularna, byłam skończona.

W każdej gazecie, na każdej stronie piękni i sławni opowiadali o swoich bogactwach. Podróżach, willach, dziełach sztuki i prywatnych odrzutowcach. Taki w końcu mieli obowiązek. Byli piękni, byli sławni, musieli być rozpuszczeni i rozrzutni. Nie można wyłamywać się ze swoich powinności. To byłoby niemalże tak samo nie na miejscu, jak gdyby osiedlowy menel nagle okazał się abstynentem wykładającym filozofię świętego Tomasza. Jakby łyse karczycho zaczęło nadstawiać drugi policzek. A polityk był uczciwy i wiarygodny.

Nie, nie tego się oczekuje od meneli, łysoli, polityków i sław ekranu. Nie miałam wyjścia. Musiałam odejść.

- Zwariowałaś? - spytała mnie Haneczka, gdy przyszedłam do niej obwieścić swoją decyzję.

- Nie - odpowiedziałam jej z absolutnie poważnym przekonaniem. - Nie zarabiam aż tyle, by nadal uzurpować sobie prawo bycia sławną. To nieodwołalne. Odchodzę.

- Ale... - usiłowała coś powiedzieć.

- Nie przekonuj mnie! - przerwałam jej szybko. - Pomyśl! O czym miałabym mówić w wywiadach do tych wszystkich gazet? Drodzy fani, nie stać mnie na egzotyczną podróż na Mauritius, ale za to w terminie udało mi się opłacić wszystkie rachunki?! Padłabym ze śmiechu, gdybym przeczytała takie wyznanie Bruce'a Willisa!

- Nie jesteś Willisem - oświeciła mnie Haneczka z powagą. - Dopiero zaczynasz - powiedziała drugą nowość. - Myślisz, że on od początku był krezusem i potentatem?

Zastanowiłam się nad tym. Prawdę mówiąc, wydawało mi się, że tak.

- Nie! - zaprzeczyła Haneczka stanowczo. - Na początku musisz trochę pościemniać. Z moralnego punktu widzenia to naganne, ale ludzie tego oczekują, a ty musisz dać sobie czas. Jedziesz na Mazury, ale z uporem twierdzisz potem, że były to południowe Włochy. O Słowacji opowiadasz tak, jakby to była przynajmniej Argentyna. Z Chorwacji robisz Brazylię i tak dalej... Ale to wszystko pod warunkiem, że wymyślasz sobie jak najbardziej odległe i trudno dostępne miejscowości.

Takie, żeby się potem nie okazało, że tak naprawdę było tam pół Polski i wszyscy zachodzą w głowę, dlaczego opowiadałaś coś o swoim pobycie w niezwykle romantycznych ruinach, jeżeli dookoła są same nowoczesne kurorty i za jedyną ruinę może robić co najwyżej czyjaś teściowa. Wtedy natychmiast wyjdzie na jaw, że wakacje spędziłaś na działce dwadzieścia kilometrów od miasta, i od razu przepadłaś. Dlatego musisz wymyślać, a w tym czasie powoli, latami, odkładając każdy grosz na konto, zdobywasz swoją fortunę.

- Nie zdobywam, bo i tak wszystko idzie na tysiące nowych koniecznych wydatków! - wyjaśniłam, ale już trochę pocieszona, zaczęłam się łamać co do tak radykalnej decyzji... Jak zrezygnuję, nie będę mogła Mazur przerobić na Włochy, bo niby po co. A już właśnie zajęłam się wymyślaniem, gdzie w takim razie byłam na ostatnich wakacjach... Hm... Bieszczady nad Soliną... To brzmi... to brzmi... zupełnie jak góry północnej Mongolii, czyż nie?

- Źle na to patrzysz! - ofuknęła mnie znowu Haneczka. - Zastanów się tylko, jaką fortunę udaje ci się teraz zaoszczędzić.

- Zaoszczędzić? - oderwała mnie od dylematu, czy północnej Mongolii nie zmienić jednak na Wietnam. Albo Ekwador. Tak, Ekwador też brzmiał intrygująco. Egzotycznie. - Na czym niby udaje mi się zaoszczędzić?

- Na kosmetykach do malowania - odpowiedziała Haneczka bez zastanowienia. - Wiesz, ile kosztuje paleta cieni? Nic cię to nie obchodzi, codziennie w charakteryzacji wjeżdża ci przed nos cały zestaw kolorów i już sama w domu nie musisz o tym myśleć! Dorzuc do tego tusz, puder, róże, kredki, szminki, blyszczyki i pozostałe duperele, wszystko z najwyższych półek! Notujesz? - spytała, gdy w tym czasie sprawdzałam ceny kosmetyków w internecie.

- Notuję... - odpowiedziałam potulnie i szybko zapisywałam na kartce kolejne produkty.

- Proszek do prania - powiedziała po chwili Haneczka.

- Co proszek? - nie zrozumiałam, bo byłam jeszcze przy szminkach.

- Oszczędzasz na proszku - wyjaśniła Haneczka z powagą. - Wstajesz rano, zakładasz byle co, wracasz do domu i kładziesz się spać. Nie przebierasz się w ciągu dnia, to, co nosisz, mało brudzisz, więc co najmniej cztery razy spada ci zużycie proszku, wody i energii elektrycznej.

Popatrzyłam na nią z uznaniem. Faktycznie!

- Oszczędzasz na jedzeniu. Permanentnie zasypiasz, więc i tak nie jesz śniadań, obiady masz na planie, powinnaś trzymać wagę, dlatego na kolację wystarczy ci tylko jabłko, a jak ci się znudzi, zawsze możesz iść na jakiś darmowy bankiet. Na dobrą sprawę - popatrzyła na mnie z uwagą - możesz odłączyć od prądu lodówkę, a najlepiej zrobisz, jak od razu ją sprzedasz.

- Aha... - przytaknęłam, zapisując jednocześnie hipotetyczną kwotę, jaką udałoby mi się zyskać na lodówce.

- Nie gotujesz, więc nie zmywasz, mało jesteś w domu, a jak jesteś, to bardzo zmęczona i dlatego nie zwracasz uwagi na kurz, zresztą nawet jak zwracasz, to i tak nie masz już siły sprzątać.

- Prawda! - odkryłam z zaskoczeniem.

- Sama widzisz. To w takim razie odlicz całą resztę środków czystości. Poza tym przywożą cię i odwożą - ciągnęła Haneczka - czyli odpadają ci koszty transportu. Policz bilet miesięczny i może od czasu do czasu jakąś taksówkę. Ale to nie wszystko! Wiesz, ile pieniędzy przepuszcza się, wracając z pracy do domu? Zastanów się, ile razy, przechodząc przypadkiem koło jakiegoś sklepu, pomyślałaś sobie: „O! Jaka fantastyczna bluzeczka, i to na dodatek za grosze”? Teraz nie musisz koło niczego przechodzić, dzięki temu nie myślisz i oszczędzasz na ciuchach! Najlepsze jest to, że w ogóle cię to nie boli, bo i tak, na dobrą sprawę, aby dojechać na plan, wystarczą ci na zmianę dwa komplety zwykłych dresów. Jakbyś się uparła, mogłabyś sprzedać wszystkie swoje pozostałe ciuchy. Jak się zdecydujesz, ja zaklepuję tę twoją sukienkę w groszki, sztruksową marynarkę i granatowy sweterek... - Haneczka umilkła pod wpływem mojego spojrzenia.

- Sztruksową marynarkę? Mogę ją nosić nawet do dresów! - odparłam z przekonaniem, ale Haneczka udała, że ta informacja zupełnie do niej nie dotarła.

- A, przypomnij sobie przystanki autobusowe! Są jeszcze gorsze! Tam zawsze jest jakaś budka z prasą i zwykle myślisz sobie: „O, skoro i tak tu czekam, to kupię jakieś pismo na drogę”. Owszem, wydajesz na fryzjerów. Ale idziesz tam na trzy godziny i przez ten czas masz przegląd prasy z ostatniego miesiąca! Nie musisz na to wydawać, wychodzi ci, jakby fryzjer był za darmo! - powiedziała triumfalnie i znów musiałam przyznać jej rację. No, no! Nie sądziłam, że mam fryzjera za darmo!

- Odpadają ci wydatki na knajpy, kino i teatr - ciągnęła Haneczka z uporem.

- Dlaczego? Nie chcę rezygnować z knajp i kina! - zaprotestowałam zdecydowanie.

- Na knajpy nie masz czasu, bo i tak w weekendy pracujesz, a w pozostałe dni nie wyciągniesz nigdzie znajomych, poza tym po tych wszystkich bankietach, na które musisz iść, żeby się dożywić, i tak masz już dosyć jakichkolwiek imprez - odparła Haneczka natychmiast.

- No dobrze, ale kino? - upierałam się.

- Kino też odpada, mało masz zaproszeń na te wszystkie premiery?

Ups, zapomniałam. Przyszło przecież do mnie jakieś zaproszenie do kina! Nie wiem, czy na premierę, bo nie miałam czasu nawet odebrać go z produkcji, ale w końcu: kino to kino.

- Wszystko? - spytałam, choć i tak lista była już potwornie długa.

- Skąd! - zaprzeczyła Haneczka. - Oszczędzasz na telefonach do znajomych, bo cały czas pracujesz i nie masz na nie czasu, na naprawach sprzętów domowych, bo jak cię nie

ma w domu i niczego tam nie używasz, to nie ci się nie psuje, a jak nawet psuje, to o tym nie wiesz, bo przecież nie używasz. Oszczędzasz na wszelkich używkach i nałogach, bo musisz dbać o siebie i nie możesz sobie na to pozwolić.

- Nie oszczędzam, bo nie używam! - przerwałam jej z pretensją.

- To żałuj! - odpowiedziała na to Haneczka z naganą. - Wiesz, ile idzie na to kasy? Po jakimś czasie oszczędzania na tym można zostać drugim Rockefellerem! Aha, jedyne, na czym nie zaoszczędzisz, to bielizna, bo dobrze by było, gdybyś jednak miała własną. I długopisy, którymi musisz składać autografy. Dobra, teraz podlicz to wszystko w skali roku... - komenderowała dalej Haneczka. - Dodaj do tego sumę, którą zarobiłaś, i teraz dopiero odlicz rachunki...

Przez dłuższą chwilę zajęta byłam manipulacjami na kalkulatorze.

- I co? Ile ci wyszło? - spytała zniecierpliwiona Haneczka.

Popatrzyłam na nią. Potem znów spojrzałam na tę niebotyczną kwotę. Rany! Brylantowy pierścioneek?! Wypad na szybkie zakupy do Londynu?! Jakaś ekskluzywna kreacja od superznanego projektanta?!

Nie ma problemu. Jestem bogata!

- A widzisz? - powiedziała Haneczka z zadowoleniem. - Teraz w takim razie odejmij od tego dziesięć procent dla twojego nowego doradcy finansowego!

Nie reaguj na chamstwo

- Producent pytał, czy jak skończysz zdjęcia, możesz wpaść na chwilę do biura, bo ma do ciebie sprawę - powiedział Pawełek, gdy po dniu pracy wsiadłam do niego do samochodu.

- Jasne, oczywiście - odpowiedziałam, bo Producentowi przecież się nie odmawia, nawet wtedy gdy jest ci to potwornie nie na rękę. - Nie wiesz po co? - spytałam dla porządku, ale i tak wiedziałam, że nie wie. Producent przecież zwykle się nie tłumaczy.

- Nie wiem - odpowiedział Pawełek. Trzeba przyznać, zawsze stara się spełniać oczekiwania!

Nie zmieniło to jednak faktu, że zaczęła mnie zżerać ciekawość.

- Nie można szybciej? - spytałam, mimo że i tak już byliśmy na granicy zgodności z kodeksem drogowym. No dobra, już trochę poza granicą, ale nie będę przecież kablować na Pawełka.

Jaką Producent może mieć do mnie sprawę? - zachodziłam w głowę, ale nic sensownego mi do niej nie przychodziło. Nie spóźniałam się, umiałam teksty, Reżyser był ze mnie zadowolony i z nikim się nie kłóciłam, więc nie mogło chodzić o reprymendę.

Może pochwała? - pomyślałam z nieśmiałą nadzieją. A skoro pochwała, to jeszcze podwyżka?

- Proszę, to dla pani - powiedział Producent, gdy tylko weszłam do biura.

Hurra! Podwyżka! Naprawdę podwyżka! - ucieszyłam się i spojrzałam na niego z prawdziwą wdzięcznością.

Producent z szerokim uśmiechem wyciągał do mnie gąbkę.

Bładoróżową.

Tego się nie spodziewałam. Zatkano mnie i dlatego nie odpowiedziałam. Ale nie z powodu koloru. Jakikolwiek by był, i tak miałabym pustkę w głowie.

Gapiałam się na gąbkę i czułam, że razem ze mną gapi się na nią całe biuro. Cholera, co robić? Jutro cała ekipa będzie za moimi plecami opowiadać, że Producent podarował mi GĄBKĘ. Błagam, tylko nie to. Ja tego nie przeżyję!

- Nie, dziękuję... - poruszyłam wargami, ale nie byłam w stanie wydobyć z siebie głosu. Jak nie zabierze tej gąbki, to zaraz spalę się tu ze wstydu.

- Ależ proszę wziąć, przyda się pani - Producent widać nie zrozumiał mojego telepatycznego błagania i wbił kolejny sztylet. „Przyda się"! Szkoda, że nie wykrzyczał tego przez megafon.

Wreszcie udało mi się oderwać oczy od gąbki i spojrzałam na niego.

Cały czas stał z szerokim uśmiechem, wyciągniętą gąbką i wyraźnym oczekiwaniem, że zaraz ją od niego zabiorę.

Panie Boże! Czy nie mogłabym natychmiast zapaść się głęboko pod ziemię?

Niestety, Bóg chyba też mnie nie usłyszał. Nie zapadłam się.

Wobec tego wyciągnęłam rękę, biuro wstrzymało oddech, przejęłam gąbkę, biuro wypuściło powietrze.

„Dziękuję" nie przeszłoby mi przez gardło, a że nie wpadłam na pomysł, co innego mogłabym w takiej sytuacji powiedzieć, milczałam. Miałam nadzieję, że przynajmniej wygląda to na milczenie pełne godności.

Producent spojrzał na mnie dziwnie, wzruszył ramionami, powiedział „miłej zabawy" i wyszedł. '

Nie wytrzymam. Co za prostak. Daje mi w prezencie gąbkę. Nie sugeruje nawet, wręcz mówi prosto w oczy, że mi

się przyda, i jeszcze na koniec rzuca niby mimochodem „miłej zabawy”!

Powiem wprost. Jeszcze nigdy w życiu nie czułam się tak paskudnie.

Ale też nigdy wcześniej nikt nie dał mi do zrozumienia, że powinnam się częściej kąpać.

Kierowca Pawełek w kompletnym milczeniu odwiózł mnie do domu. Rany! Przez tę gąbkę nawet on nie chce już ze mną rozmawiać! Zresztą - nie dziwię mu się, teraz też nie miałam sobie zbyt wiele do powiedzenia. I jak...

I jak w takiej sytuacji mam się jeszcze komukolwiek kiedykolwiek pokazać na oczy?

Nigdy - postanowiłam. Nie wyjdę z domu. A jeszcze lepiej (dla pewności) z wanny. Tak. Nie pozostawało mi nic innego, jak usiąść i płakać od dziś do końca świata.

Prawie zaczęłam, ale akurat w tym momencie przyszło mi do głowy drugie wyjście. Albo będę ryczeć, albo natychmiast zadzwonię do Producenta z awanturą, żądaniem natychmiastowych przeprosin i publicznym odebraniem tej przekłetej gąbki. Jak mógł, nieczuły bandyta, postawić mnie, KOBIECĘ, w takiej sytuacji?! Przypomniałam sobie ten jego perfidny uśmiech i znów zebrało mi się na ryczenie. I te spojrzenia całego biura. Nie. Nie zostawię tak tego.

Dzwonię.

- Haneczka?! - powiedziałałam zatem bojowo, jak tylko podniosła słuchawkę.

- Od urodzenia - odpowiedziała.

Żartownisia jedna! - pomyślałam z oburzeniem - jaja sobie będzie ze mnie robić! Ze mnie...?

Znów opadło mnie zwątpienie. Nawet Haneczka śmieje się ze mnie za moimi plecami...

- Halo? Jesteś tam? - spytała zdziwiona przedłużającym się milczeniem.

Ale co ja jej mogłam powiedzieć? Zna mnie przecież tyle lat, dlaczego nigdy mi nie powiedziała, że coś jest ze mną nie tak? Że jestem... Hm. Spójrzmy prawdzie w oczy: nie jestem czysta...

I koniec. Powiedzenie nawet w myśli tych potwornych słów zerwało wszelkie tamy.

- Nie jestem czysta! - zaszlochałam i rozbeczałam się jak jakieś dziecko.

- Co się stało? - Haneczka postanowiła przejąć inicjatywę. I dobrze, bo to zmobilizowało mnie do wyartykułowania jakiejś odpowiedzi.

- Chlip! - treściwie ujęłam całą moją beznadzieję.

- Ale co? - Haneczka nie zrozumiała. Nic dziwnego. Nikt nie był w stanie tego ogarnąć.

- Chlip, chlip, chlip! - wytłumaczyłam jej więc pełnymi zdaniem, starając się za bardzo nie histeryzować.

- Izunia, powiedz spokojnie, co się stało... - Kochana Haneczka! Rozczuliło mnie to jeszcze bardziej, tak więc wybuchłam płaczem ze zdwojoną siłą. Jest taka cudowna, wyrozumiała nawet dla moich wad, przyjaźni się ze mną tyle lat pomimo... Tak, właśnie pomimo tego i nigdy nie traci cierpliwości... - Natychmiast przestań! - w tym momencie Haneczka ryknęła niespodziewanie, wypadając z roli mistrzyni świata wśród najcierpliwszych sióstr miłosierdzia. Wystraszyła mnie do tego stopnia, że szloch w połowie uwiązał mi w gardle. - Mów, o co chodzi? - zażądała kategorycznie. Znałam ten ton. Jeśli ktoś mu się usiłował sprzeciwić, żałował tego do końca życia. Westchnęłam ciężko. Trudno było mi się przełamać i przyznać komukolwiek do tego, co mnie spotkało, ale zebrałam się w sobie i wydusiłam:

- O gąbkę... - udało mi się wyznać, chociaż aż paliło mnie ze wstydu.

- O co?! - zbaraniała Haneczka.

Nie było wyjścia. Zamknęłam oczy i wszystko wyznałam:

- Producent dał mi gąbkę. Do mycia.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Nie zdziwiło mnie to. Gdybym była na jej miejscu, też nie wiedziałabym, co powiedzieć. Jak się wytłumaczyć, że przez tyle lat nie miało się odwagi uświadomić bliskiej osobie, że coś z nią jest nie tak? Jak przeprosić ją za to, że w końcu tak brutalnie zrobił to obcy człowiek?

- Dostałaś gąbkę... - usłyszałam wreszcie pełen zgrozy głos Haneczki. Prawdę mówiąc, trochę mnie to zirytowało. Dlaczego pełen zgrozy? Myślała, że przez resztę życia uda się to zachować przede mną w tajemnicy?! Nie zdążyłam jednak powiedzieć jej, że jest nie fair i absolutnie nie mogę tego zrozumieć, bo zanim otworzyłam usta, zgroza w głosie Haneczki ustąpiła miejsca nabożnej czci i usłyszałam: - Ależ ci potwornie zazdroszczę!

Zglupiałam. Gąbki mi zazdrości? Czy wstydu przed Producentem i resztą biura?

- Mogę ci oddać - odpowiedziałam zimno, bo doszłam do wniosku, że nawet teraz bezczelnie się ze mnie nabija.

- Naprawdę? - spytała z pełnym zachwytem niedowierzaniem, a ja poczułam do niej jeszcze większą niechęć. Nie, naprawdę! Nie takiej reakcji spodziewałam się po najlepszej przyjaciółce! Co jej szkodziło powiedzieć na przykład „jak mi przykro” albo „tak strasznie ci współczuję”? - A ty nie będziesz chciała iść? - powiedziała i wtedy zaczęłam się o nią niepokoić. Gdzie mam iść? Z nią do wanny?!

- Niby po co? - spytałam więc niepewnie, starając się jednocześnie, żeby zabrzmiało to jak najbardziej łagodnie.

- No przecież to impreza roku! Gazety od tygodni rozpisują się o tym! Nie czytałaś?

Co miałam powiedzieć? Nie czytałam. Widać te gazety, które pisały coś o mnie i które skrupulatnie zbierałam do specjalnej teczki, nie widziały powodu, aby choć słowem wspomnieć o tej imprezie! A zresztą, co ma z tym wspólnego Gąbka Producenta?! Znaczący, przepraszam - moja Gąbka?

- Największe VIP - y dostają w Gąbkach zaproszenia na bankiet z okazji premiery filmu Gąbka. Na imprezę. - Jak gdyby czytając w moich myślach, oświeciła mnie natychmiast Haneczka. - Podobno mają przyjechać nawet główni aktorzy ze Stanów! Cała Warszawa zabija się, żeby się tam dostać, a ty nie chcesz iść?!

Nie słuchałam dalej. Aktorzy ze Stanów? Grający tam główną rolę, od lat wiernie przeze mnie wielbiony Brad Pitt?

Odłożyłam na bok słuchawkę. Z niedowierzaniem podniosłam z ziemi porzuconą tam w rozpaczy Gąbkę. Obmacałam ją podejrzliwie. Z boku miała nacięcie...

W chwili, gdy wyciągnęłam z niego zwinięte w rulonik zaproszenie na bankiet, po raz drugi w ciągu godziny marzyłam o tym, aby zapaść się pod ziemię.

Rany! A ja mu nawet nie podziękowałam!

*

Pan Henryk, mimo porażek, postanowił się nie poddawać. Co prawda utrata cennego poplecznika, jakim niewątpliwie był Dozorca - w sposób autorytatywnie bezwzględny reprezentujący autorytet klatki - była silnym ciosem. Jednak pan Henryk był przecież mocnym zawodnikiem. Udawał, że nie zrobiło to na nim wrażenia. W rzeczywistości było jednak zupełnie odwrotnie. Każde „dzień dobry” skierowane do Dozorcy bolało go niezmiernie i za każdym razem powodowało to, że pan Henryk myślał o odwecie z jeszcze większą zaciekleścią. I obmyślał nową strategię...

Nie zwracaj sobie głowy bzdurami

- Dostała gąbkę - powiało szeptem, gdy tylko zjawiłam się na planie.

- Gąbkę - zarys echa zawibrował w charakteryzacji.

- Ta, co ma gąbkę - wlekło się za mną, gdziekolwiek się pojawiałam.

Na początku pęczniałam z dumy i uśmiechałam się tajemniczo. Potem jednak, gdy z kolejną osobą nie mogłam normalnie porozmawiać, bo wgapiała się jedynie we mnie z niemym pytaniem: „czy to prawda?“, po czym pospiesznie odchodziła poszeptać z kimś z boku, poczułam, że mam dosyć.

- Dostałam gąbkę - powiedziałam więc oficjalnie i natychmiast oczyściło to atmosferę. Ekipa odetchnęła z ulgą. Mogła przestać szeptać, a zacząć normalnie, pełnym głosem przekrzykiwać się uwagami.

Uff, jak dobrze! - ucieszyłam się. Wszystko wróciło do normy. Bębenki znów rozsadzało mi od wrzasków, ale przecież do tego można się przyzwyczaić.

- Co włożysz? - A nie mówiłam? Po kwadransie udało mi się nawet usłyszeć stojącą obok Script. Chociaż tego akurat nie musiałam słyszeć. Nie musiałabym się nad tym zastanawiać.

Cholera. Co włożę? Nawet o tym nie myślałam. Nie miałam kiedy. Po odnalezieniu zaproszenia najpierw musiałam dojść do siebie, potem zadzwonić do Haneczki, wytłumaczyć jej, dlaczego tak nagle się rozłączyłam; i zapewnić, że tak, na pewno pójdzie ze mną. Przez resztę czasu natomiast pękałam z dumy, że mam gąbkę. Dlatego nad tym, co włożę, skupiłam się dopiero teraz. Nie trwało to długo.

- Nie mam nic, co by się nadawało - zwierzyłam się Script. Spojrzała na mnie z przerażeniem, po czym

przepełniona kobiecą solidarnością zaciągnęła mnie biegiem do garderoby.

- Masz coś? - już na miejscu spytała rzeczowo Kostiumografkę, podczas gdy ja klęłam w duchu swoją bezdenną głupotę. Jak można było przez całe życie kupować tylko mnóstwo praktycznych, funkcjonalnych i wygodnych jeansów, bluz i T-shirtów, a ani jednej sukni balowej!? Zgroza!

- Popatrzmy. - Kostiumografka na szczęście w lot pojęła powagę sytuacji i systematycznie zaczęła przetrząsać garderobę. ..

- Kolejna scena! - zniecierpliwiona Beatka wreszcie przestała nadaremnie wywoływać mnie przez krótkofalówkę i po przeszukaniu całego planu mocno zirytowana stanęła w drzwiach garderoby.

Niedobrze! Jeszcze nic nie udało nam się wybrać!

- Jest niewesoło - pokrótce wtajemniczyłam ją w sedno mojego problemu, tak że po drugiej scenie do garderoby oprócz Script i całej ekipy od kostiumów, pędziła ze mną również Beatka. W biegu dołączyła jeszcze Charakteryzatorka. Sapiąc ze zmęczenia, usiłowała mnie pocieszyć, że na imprezę zrobi mi świetny makijaż, a jest to dużo ważniejsze dla kobiety niż nawet najlepsze ubranie, w każdym razie to sprawdziło się w przypadku kuzynki jej koleżanki.

- Co jest?! - w drzwiach garderoby, po długich poszukiwaniach Beatki, która z kolei miała znaleźć mnie, stanął Asystent Reżysera. - Oj, niedobrze - podsumował, gdy ktoś wytłumaczył mu sytuację. - Ale jak same baby mogą sobie z tym poradzić?! Przecież wy bez rady faceta nie jesteście w stanie się ubrać nawet, aby wyjść i wyrzucić śmieci! - powiedział i obiecał pomóc „męskim okiem” znaleźć coś odpowiedniego, gdy tylko skończymy najbliższą scenę.

Wypadająca zaraz po niej przerwa obiadowa minęła nam na poważnych dyskusjach w coraz ciasniejszej garderobie. „Męskie oko” Asystenta okazało się kompletnie różne od „męskiego oka” Operatora, który przyszedł do garderoby, szukając Szwenkiera, a ten z kolei wpadł na chwilę z Dźwiękowcem, by sprawdzić, co się dzieje. Szwenkier co prawda zgadzał się z Asystentem, ale domagał się takich dodatków, że Asystentka charakteryzacji stwierdziła, że nie ma on najmniejszego pojęcia o modzie. Zawołano więc Scenografa, który na modzie wprawdzie oficjalnie się nie znał, ale za to miał wycucie nowych trendów.

Po kolejnej scenie dołączył jeszcze Reżyser, oświetlacze i pion rekwizytorów. W garderobie robiło się coraz bardziej gorąco nie tylko dlatego, że nie dało się tam otworzyć okna...

*

- Ej, gdzie są wszyscy? - Wózkarka Miecia obudziła nagle złowieszczą cisza. Z trudem wygrzebał się więc z zakamarków scenografii, gdzie ukradkiem odsypiał wczorajsze spotkanie ze szwagrem. Cisza była niepokojąca. Wózkarz dużo bardziej przyzwyczajony był do gromkich okrzyków typu

„Wózkarz! Dawajcie Wózkarza! No, gdzie go znowu licha zaniósł!”. Wtedy wiedział, że może spać spokojnie. Ale cisza? Coś było bardzo nie tak. Nieprzytomnym wzrokiem rozejrzał się po planie.

- Cholera! - zaklął i w mig oprzytomniał, bo rzeczywistość okazała się dużo gorsza, niż mógł się spodziewać w najgorszych snach. Na planie nie było żywego ducha. - Skończyliśmy już? - zapytał niepewnie sam siebie, bo nie było nikogo innego. Z niedowierzaniem spojrzął na plan pracy. Potem na zegarek. Nie, niemożliwe, o tej porze nie mieli szans, aby zrobić ostatnią scenę. Na wszelki wypadek

jeszcze raz rozejrzył się uważnie wokół siebie i poczuł narastający w sercu niepokój.

Żadnego człowieka. Sprzęt porzucony w miejscu, w którym akurat przed chwilą był potrzebny. Zapalone lampy. Rozłożone scenariusze.

Nie, to z całą pewnością nie wyglądało na zakończenie zdjęć. To wyglądało jak pospieszna, natychmiastowa ewakuacja.

„Coś się stało!” - Wózkarz porażony przeraźliwą wizją, w której kosmici mieszały się z terrorystami grożącymi wysadzeniem w powietrze szwagra, poczuł, że trzęsą mu się kolana. Ze strachu nie miał siły uciekać, więc usiadł.

„Jeśli wrócą - przysiągł sobie, czując nasilający się skurcz serca - nigdy więcej żadnego alkoholu!”

*

- Dobra, nie ma czasu! Mamy jeszcze jedną scenę. Żeby zdążyła, musimy skończyć przed dziewiętnastą! - tłumaczyła w tym czasie zdenerwowana Beatka Reżyserowi.

- Uwaga! - wrzasnął w odpowiedzi jeszcze bardziej zdenerwowany Reżyser. - Głosujemy!

To było jedyne wyjście. Dźwiękowiec tak się ściał z Rekwizytorem, że zaczynało to już grozić rękoczynami. Ale to nie wszystko. Wyglądało na to, że Script nigdy w życiu nie odezwie się już do Operatora, a konflikt w grupie oświetlaczy groził tym, że panowie nie będą już zgodnie ze sobą pracować i serial zostanie bez światła.

- Ci, którzy są za suknią z odkrytymi plecami, ręka w górę. - Operator podniósł rękę, a Script prychnęła wzgardliwie. Asystent policzył ręce i pod kontrolą Szwenkiera zapisał wynik.

- Sukienka w panterkę! - Podniosłam rękę, bo to był mój faworyt. Cholera, kiepskie notowania, niech to szlag.

- Mała czarna! - Script podniosła rękę, Operator odwdzieczył się parsknięciem.

- Głosowanie zakończone, mało czasu do godziny zero, więc szybko, idziemy robić scenę - zarządziła Beatka, toteż biegiem popędziliśmy wszyscy na plan. Na szczęście nie trzeba było szukać Wózkarza, który czasami ginął tak, że przez dobrą godzinę nie można go było odnaleźć. Tym razem był, stał na baczność przy swoim wózku.

- Bogu niech będą dzięki... - zaczął, po czym jakaś nagła myśl wpadła mu do głowy - ... cholera jego mać, to się wpakowałem - powiedział na nasz widok niezrozumiale i załamany oparł się o wózek.

Trochę po dziewiętnastej skończyliśmy zdjęcia. Włożyłam sukienkę (szkoda tylko, że wygrała mała czarna, tak chciałam włożyć tę w panterkę!). Charakteryzatorka pospiesznie zrobiła mi makijaż i było już naprawdę późno, kiedy odkryłam, że zostawiłam zaproszenie w domu. Co za pech!

- Jeszcze po gąbkę do domu! - zawołałam, gdy biegiem dopadłam samochodu.

- Buty! - w ostatniej chwili dopadła nas jeszcze Kostiumografka i pospiesznie wepchnęła mi je przez okno. No tak. Popędziłam w moich własnych, bez obcasa, i zupełnie zapomniałam o szpilkach.

Niecałe pół godziny później czarne volvo z piskiem zahamowało pod domem.

- Zaraz znajdę - powiedziałam z nadzieją i popędziłam na górę.

- Buty! - zawołał Pawełek i na szczęście poleciał za mną. Co prawda specjalnie je zostawiłam w samochodzie, żeby nie latać po schodach na obcasach, ale bez jego pomocy w życiu bym tej gąbki nie znalazła!

*

Nowa strategia pana Henryka miała osiemdziesiąt pięć lat, mieszkała piętro pod celem i była głucha jak pień. To ostatnie stanowiło co prawda drobny problem (pan Henryk przez dłuższy czas zastanawiał się, jak taka osoba może się skarżyć na dochodzące z góry hałasy). W końcu pan Henryk znalazł jednak rozwiązanie - namówił wnuka pani Janiny, który ostatnio coś często się u niej pojawiał, aby sprezentował babci aparat słuchowy. Dzięki temu nowa strategia miała już same zalety. Pani Janina, osoba pobożna i z zasadami, od ponad trzydziestu lat była wdową i szczyliła się tym, że od śmierci męża nie przestąpił progu jej domu żaden mężczyzna - naturalnie oprócz syna i wnuka. Czasami było to kłopotliwe. Pani Janina nie ustąpiła nawet wtedy, gdy spółdzielnia mieszkaniowa zorganizowała wymianę rur w budynku i konieczna stała się wizyta hydraulika.

- Po moim trupie! - obwieściła pani Janina, gdy okazało się, że nie da się znaleźć hydraulika - kobiety, i w celu zrealizowania swojego zamiaru położyła się do łóżka.

Po paru dniach, pod naciskiem administracji, syn pani Janiny ustąpił. Zaprzągnął do roboty swego syna, czyli wnuka staruszki. Ten, klnąc, na czym świat stoi, podwinął rękawy i postępując zgodnie z okrzykami stojącego w progu mieszkania specjalisty, rury u pani Janiny wymienił własnoręcznie.

Tak, pani Janina była dokładnie tą osobą, której pan Henryk potrzebował.

- Proszę spojrzeć - opierając się o poręcz na klatce schodowej, pokazywał pani Janinie cały czas tę samą, nieszczęsną gazetę. Pani Janina oczy miała dobre, więc od razu rozpoznała młodą sąsiadkę z góry, która z radosnym uśmiechem tkwiła w objęciach mężczyzny.

- Mąż? - pani Janina dała jej ostatnią szansę. Pan Henryk triumfalnie pokręcił głową.

Obfita pierś pani Janiny zafalowała oburzeniem.

- Zgroza - powiedziała.

Pan Henryk zatarł ręce z radości.

- Będzie się smażyć w ogniu piekielnym - zawyrokowała pani Janina. I ponieważ ukaranie grzesznicy złożyła w ten sposób w ręce Pana Boga, z czystym sumieniem rozpoczęła odwrót do mieszkania. Pan Henryk poczuł, że traci grunt pod nogami. Nie to przewidywał jego scenariusz, on sprawiedliwości żądał tu, na ziemi!

- Chwileczkę! - zawołał, ale pani Janina machnęła tylko ręką.

- Nie ma co zaśmiecąć sobie nimi głowy! - powiedziała autorytatywnie i pan Henryk wiedział już, że nic więcej nie uda mu się osiągnąć.

Ale tego dnia szczęście sprzyjało panu Henrykowi.

W chwili, gdy jego nadziejom właśnie urządzano pogrzeb, usłyszał pisk hamującego samochodu. „Volvo!”, pomyślał nienawistnie i nie mylił się. Zanim pani Janina położyła rękę na klamce, po schodach pędem wbiegła Nierządnicą. Za nią - pan Henryk nie mógł uwierzyć własnym oczom! - jeszcze szybciej biegł prawdziwy... MĘŻCZYŻNA.

Gdy zatrzasnęły się za nimi drzwi mieszkania, pan Henryk odważył się spojrzeć na skamieniałą panią Janinę.

- Tuż nad pani głową... - westchnął niby ze współczuciem i perfidnie udał, że odchodzi do swojego mieszkania.

- Chwileczkę! - w pół kroku zatrzymał go władczy głos sąsiadki.

Udało się. Pan Henryk miał ją w garści.

Jak przejść po czerwonym dywanie, nie robiąc z siebie idiotki

Niecały kwadrans później drzwi jednego z mieszkań otworzyły się i aktorka razem z kierowcą pośpiesznie zeszli do samochodu.

Niestety, nikt już tego nie widział. Pani Janina, na wszelki wypadek ze zdjętym aparatem słuchowym, siedziała już u siebie i z prawdziwą zgrozą wpatrywała się w sufit. Zastanawiała się, czy nie zadzwonić po wnuka. Młody, zaradny chłopak, już od dawna mówił, że jak będzie się coś działo, ma natychmiast do niego dzwonić, a już on będzie wiedział, co robić.

Pan Henryk, pochłonięty pisaniem skargi do administracji, absolutnie na nic nie zwracał już żadnej uwagi.

*

Przed wejściem do Teatru Wielkiego zjawiłam się superpunktualnie. Przepraszam, dobre dwadzieścia pięć metrów od wejścia, bo mniej więcej na taką długość rozłożony był długi, obstawiony ochroniarzami, czerwony dywan.

CZERWONY DYWAN! Zobaczyłam go i musiałam przystanąć, bo zrobiło mi się gorąco z wrażenia. Mój wymarzony Czerwony Dywan! Wyścielający drogę do Prawdziwej Sławy, Zaszczytów i Pieniędzy!

Tak, można grać w serialu, rozdawać autografy w pobliskim warzywniaku, można udzielać wywiadów nawet do gazety „Mój Przyjaciel Kot”, twój osobisty Producent może nawet twierdzić, że teraz to jesteś już prawdziwą Gwiazdą. Nic z tego. Nie jest się prawdziwie sławnym, ani tym bardziej nie jest się Gwiazdą, jeżeli choć raz nie przeszło się po Czerwonym Dywanie wśród wiwatujących tłumów i błysków fleszy.

Popatrzyłam na dywan i w oku zakręciła mi się łza wzruszenia. Oto symbolicznie rozściela się przede mną droga

do szczęścia i spełnienia marzeń. Stałam przed nią onieśmielona, ale gotowa, a w rękę trzymałam klucz - blad różową gąbkę, symbol wtajemniczenia, przyjęcia do grona szczęśliwców paradujących po Czerwonych Dywanach.

Przejdę i mogę umrzeć - pomyślałam i dla odmiany przeszły mnie dreszcze.

- No, jesteś! - z transu wyrwała mnie Haneczka, która przed dywanem była już od dobrego kwadransa, tak że widać zdążyła dojsć do siebie. - Idziemy?

Westchnęłam głęboko. Tylko krok, a zmieni się całe moje życie. Skoncentrowałam się, aby w najdrobniejszych szczegółach zapamiętać tę wiekopomną chwilę, po czym wydobyłam z gąbki rulonik i podałam go ochroniarzowi.

- Proszę - powiedział.

I oto Wrota Sezamu stanęły otworem...!

Zrobiłyśmy duży krok i...

Dokładnie w tym momencie rozbrzmiała muzyka.

Zamarłam. Toż to anielskie pienia! Przysięgam!

Wstąpiłam na Czerwony Dywan i natychmiast usłyszałam anielskie pienia!

Jednak nie to było najdziwniejsze - w końcu to chyba normalne, że w kluczowo podniosłych momentach życia powinno się słyszeć odpowiednią muzykę. Dlatego anielskie pienia przy wstępowaniu na Czerwony Dywan wydały mi się czymś jak najbardziej na miejscu.

Zdziwiło mnie co innego.

Dlaczego przypominały raczej zdarty chryp wymęczonego życiem pijaka?!

Hm. Zdecydowanie wyłaził mój brak obycia w sławnych sferach. Z pewnością nie powinno mnie nic zdziwić, bo w końcu jestem sławna. Sławy przecież słyną przede wszystkim z ekscentryczności. Dlatego ich pienia anielskie muszą się różnić od tych przeznaczonych dla zwykłego człowieka.

Postanowiłam jednak, że teraz nie będę się nad tym zastanawiać. To był uroczysty moment. Nie wypadało psuć go dywagacjami, o ilu jeszcze sprawach dotyczących się bycia sławnym nie mam zielonego pojęcia. Poza tym głupio by było, gdyby inni coś zauważyli. Gdyby spostrzegli, że jestem zamyślona i z wniebowziętym wyrazem twarzy rozglądam się na boki... Jeszcze gotowi pomyśleć, że sława mnie onieśmiela! Nie daj Boże, doszliby do wniosku, że się do niej nie nadaję!

O, nie. Nie mogę na to pozwolić. Dlatego muszę zachować nonszalancki wyraz twarzy... Wręcz znudzony, tak jakbym pień anielskich słuchała codziennie rano i miała ich już mocno powyżej uszu...

- Co ci jest? - popatrzyła na mnie z niepokojem Haneczka.

- A co? - odpowiedziałam, zastanawiając się, czy jak ziewnę z nudów, nie będzie to jednak lekka przesada.

- Nic, masz jakąś dziwną minę. Brzuch cię rozboleł? Masz niespodziewaną awarię?

Ups. Chyba z tą znudzoną miną trochę jednak przesadziłam.

- Wiesz... - z żalem zrezygnowałam z min, ale za to postanowiłam zwierzyć się Haneczce. - W mojej głowie rozbrzmiewa muzyka...

- W mojej też - szybko mi przerwała i spojrzała na mnie dziwnie. Poczułam się rozczarowana. W końcu to niesprawiedliwe. To mój dywan, a ona nie jest sławna. Nie powinna słyszeć anielskich pieni.

- A czego słuchasz? - no dobrze, dałam jej drugą szansę. Być może magia dywanu i na nią działa, w końcu nie jest powiedziane, że zwykły człowiek jest na dywany uodporniony. Poza tym była po szkole aktorskiej, może wyczulenia na dywany nabywa się tam na zajęciach.

Haneczka popatrzyła na mnie jeszcze dziwniej.

- Tego, co leci! - odpowiedziała. Głupia! Niech mi nie próbuje wmawiać, że ludzie, którzy nie są sławni, też w pieniach anielskich słyszą rocka. Na pewno nie.

- A czego konkretnie? - napierałam. Niech powie. Harf? Fletów? Ptasich treli?

- Hm... - zastanowiła się przez chwilę Haneczka. - W tej chwili to chyba Axla Rose'a.

Skupiłam się przez chwilę. Do licha! Co jest?! U mnie leci to samo!

- Dziwne... - wyrwało mi się niechcący, bo naprawdę nie chciałam jej urazić.

- Co w tym dziwnego? Robił muzykę do tego filmu, dlatego go tu włączyli.

No, pięknie! Zrujnowała!

Mój piękny mit o Czerwonym Dywanie wzięła i zrujnowała.

Wchodząc na dywan, nie słyszy się anielskich pień.

- Przepraszam, idą panie? - niecierpliwym głosem wtrącił się w naszą rozmowę ochroniarz. W sumie nic dziwnego, ledwo wlażyliśmy na dywan, a już twardo utknęliśmy na pierwszym metrze. Ale co mu w końcu do tego? Mam gąbkę, więc na dywanie mogę nawet i nocować. Nie będzie mnie, baran jeden, zganiał z mojego dywanu. Nie ma obowiązku, żeby zaraz po wejściu na dywan dzikim pędem od razu biec dalej.

- Zaraz! - burknęłam więc gniewnie. - Jeszcze chwilę tu postoiemy!

- To proszę na bok, trzeba zrobić miejsce! Przyjechała właśnie gwiazda ze Stanów! - wyartykułował pospiesznie bardzo podekscytowany ochroniarz i w pozycji „baczność” odwrócił się do nas plecami. Dokładnie w tym momencie przed czerwonym dywanem zatrzymała się długa, czarna limuzyna.

- Kto to? Pitt? - dopytywałam się niecierpliwie Haneczki, bo była wyższa i miała lepsze oczy.

- Nie widzę! Przecież jeszcze siedzi w środku! - odpowiedziała Haneczka nie wiadomo czym zirytowana.

- Na bok! Na bok! - wysyczał przez zęby ochroniarz.

- Fuck, we are late! - dodał od siebie malutki, łysy Człowieczek, który właśnie wraz ze świtą wygramolił się z samochodu i wszyscy pospiesznym truchtem ruszyli do wejścia.

Nieliczni gapie zaczęli wiwatować.

To znaczy miałam nadzieję, że Człowieczek nie zna polskiego i okrzyki typu: „Kurna, ale kto to jest?!”, „Co za granda, kogo oni tu przysłali?!”, odbierze jako radosne wiwatowania tłumów. Być może nie dostrzeże też, że tłum składa się z dziewięciu przypadkowych osób zwabionych widokiem długiej limuzyny i gromkimi okrzykami ochroniarza, że jedzie gwiazda ze Stanów. Była na to szansa. Od piątego metra oprócz świty ściśle otoczyli go również fotoreporterzy.

- Fuck! - przy samych drzwiach usłyszałyśmy łomot i piekielnie wściekły jęk bólu malutkiego Człowieczka. No tak. Flesze to kolejne niebezpieczeństwo sławy. Jak się nie zna terenu i nie posiada się doskonałego wyczucia kierunku, to czasem można trafić nie w drzwi, a we framugę.

- To co? Też tam idziemy? - Haneczka zapytała nieśmiało, gdy w wejściu za masującym czoło Człowieczkiem zniknął ostatni fotoreporter.

Rany! Pewnie, że idziemy! Człowieczek ze Stanów tak odwrócił moją uwagę, że kompletnie zapomniałam o mojej wielkiej chwili na Czerwonym Dywanie!

Ruszyłam więc przed siebie.

Luźnym, nonszalanckim krokiem, co jakiś czas machając i szczerze rozdzielając szerokie uśmiechy, szłam z wdziękiem

prawdziwej Gwiazdy po Czerwonym Dywanie. Bosko! Jakbym robiła to całe życie.

- Co robisz? - odważyła się zapytać Haneczka mniej więcej w połowie drogi, gdy na chwilę przystanąłam i zrobiłam wdzięczny obrót.

- Pozdrawiam fanów i uśmiecham się do aparatów - z wyższością wytłumaczyłam. - Takie tam, obowiązki sławy.

- Iza... - Haneczka ponownie odezwała się po kolejnych dziesięciu metrach. - Ale tu nikogo nie ma!

Fakt. Gapie, rozczarowani tym, że Człowieczek nie jest Pittem, rozeszli się już do domów. Fotoreporterzy wewnątrz budynku prawdopodobnie sprezentowali Człowieczkowi kolejnego guza. Na dywanie, nie licząc ochroniarza, byliśmy już tylko my. Wiedziałam o tym i uważałam, że to cholernie niesprawiedliwe. Nie tak to przecież miało wyglądać. Czerwony dywan ma przecież swoje obowiązki. Wiwaty i błyski fleszy to taka ich ścisła czołówka. Czułam się potwornie oszukana, dywan bezczelnie mnie zawiódł. Ale to nie oznaczało jeszcze, żebym miała zapomnieć, jaka jest w tym wszystkim rola gwiazdy!

Dlatego szłam i machałam. I nie miałam najmniejszego zamiaru jeszcze na dodatek z tego zrezygnować!

Nie było jednak najgorzej. Właściwie to czułam, że poszło mi całkiem dobrze. Chociaż... Niektóre elementy były ewidentnie niedopracowane... Muzyka, na całe szczęście, jeszcze leciała. Doszłam do drzwi i powoli się odwróciłam. Było pusto.

- Haneczka, nikt nie patrzy - powiedziałam zmienionym głosem.

- Wiem, nie przejmuj się, następnym razem na pewno będzie lepiej... - odpowiedziała współczująco.

Rany, przecież nie o to chodzi!

- Haneczka... - nie mogłam się powstrzymać. - Chodź, przejdziemy się po tym dywanie jeszcze raz!

Wreszcie, po kilku kolejnych rundach machania i uśmiechania się, Haneczce udało się wciągnąć mnie do środka.

- Chodź! Tam w środku jest ciąg dalszy dywanu! - obiecała. Otworzyła drzwi. Nie wiem, skąd wiedziała, ale miała rację. Ciągnął się dalej!

*

- Pan wie, kim ja jestem?! - w tym momencie rozległ się podniesiony głos jakiegoś człowieka stojącego na początku czerwonego dywanu.

Ochroniarz pilnujący dostępu do dywanu chyba nie udzielił poprawnej odpowiedzi.

- Słynny KaKa! Mówi to coś panu? Co? Co pan powiedział?! Że gdzie ma pan KaKę? Świetnie! Zaraz w takim razie pan to powtórzy, gdy tylko zadzwonię do moich wysoko postawionych przyjaciół!

*

- Cicho, zaczęło się już! - upomniał nas kolejny ochroniarz. - Nie mogą panie teraz iść na swoje miejsca, proszę stanąć w przejściu!

Hm. Sławna Gwiazda w przejściu?! Powinnam przecież siedzieć obok Człowieczka i co jakiś czas wymieniać z nim fachowe uwagi! Prawdopodobieństwo, że będę w stanie wymienić jakąkolwiek fachową uwagę poza: „Oj! Ale Brad Pitt tu świetnie wygląda”, było żadne, ale przecież mogłabym fachowo przytakiwać!

- To granda! Organizacja tutaj jest naprawdę fatalna! - jakby czytając w moich myślach, odezwał się nagle głos tuż koło mnie. Oderwałam więc wzrok od dalekiego czubka głowy malutkiego Człowieczka i przeniosłam go pytająco na Haneczkę.

Jednak to nie ona się odezwała. Nie mogła. Z błogim wyrazem twarzy wgapiła się w jeden punkt, gdzieś tam hen, na tyłach mojej głowy.

Odwróciłam się zaintrygowana, co, do licha, mogło wprowadzić w takie osłupienie zrównoważoną zazwyczaj Haneczkę?

Spojrzałam. I też natychmiast oniemiałam.

Tuż za mną stał najpiękniejszy mężczyzna świata. Człowieczek przestał się liczyć. Rozgrywający się gdzieś tam w tle film jakby nie istniał. Dobre maniere stały się pojęciem bez znaczenia. Od tego cudu stworzenia wprost nie można było oderwać oczu.

Po chwili mężczyzna zorientował się, że ktoś na niego dyskretnie spogląda.

- Krystian - przedstawił się. - Miło mi poznać...

- Iza... - powiedziała omdlewającym głosem, gryząc się na szczęście w język, zanim na usta zdążyło mi się wepchać coś na kształt: „i nigdy cię nie opuszczę, i patrzeć tak na ciebie będę aż do śmierci...”. Zresztą pewnie bym coś podobnego i tak powiedziała, gdyby nie nieoczekiwany kop w pieszczel, który dostałam od Haneczki.

- A, tak, a to Haneczka - przedstawiłam ją szybciotko.

- Cicho! - syknął ktoś na nas niecierpliwie, dlatego nic już nie powiedziałam. Całą siłą woli próbowałam przestać wgapić się w nabożnym podziwie w pięknego Krystiana i przynajmniej udawać, że z zapartym tchem śledzę akcję filmu.

- Poczekaj, nie wypada przecież tak się tam pchać - powstrzymałam Haneczkę, gdy skończył się pokaz filmu i z sali projekcyjnej poszliśmy tam, gdzie odbywał się bankiet. Krystian gdzieś zniknął, ale całkiem możliwe, że został porwany przez dziko pędzący tłum ludzi, którzy zerwali się z miejsc natychmiast, gdy tylko zapaliło się światło.

- No, chodź! Mają tam przecież pyszne jedzonko! - Haneczka uparcie ciągnęła mnie w stronę stołów.

- Zaraz! - opierałam się jak mogłam. - Zobacz, jaki tam jest tłum. Nie będziemy się przez nich przepychać. Poczekajmy, aż sobie stamtąd pójda.

- Zobaczysz, jak odejda, to tylko dlatego, że nic już nie zostanie - skapitulowała z żalem Haneczka. - Umrę z głodu, jeszcze nic dzisiaj nie jadłam.

Faktycznie, nie miała kiedy. Patrząc na kunsztowną fryzurę, makijaż, manikiur i kreację, wiedziałam, że nie miała szans, aby na jedzenie znaleźć chociaż sekundę.

- Nie przesadzaj - skarciłam ją ostro. - To są kulturalni ludzie! Tylko coś przekaszą, nie przyszli tu na wyzerkę, jak, nie wytykając palcem, niektórzy - popatrzyłam na nią z naganą, ale nie zwróciła na to uwagi.

- Śliczny jest! - powiedziała z westchnieniem, wpatrując się w przestrzeń. Podążyłam za jej spojrzeniem.

- Aha - potwierdziłam, wzdychając.

- O, zachwycacie się słynnym KaKa? - odezwał się głos tuż za nami. Obejrzałam się. Joanna! Jak miło! Grała moją przyjaciółkę w serialu i szczerze ją polubiłam. Gdybym miała chociaż odrobinę czasu na życie towarzyskie, z przyjemnością prywatnie też bym się z nią zaprzyjaźniła.

- Kaka? Jaką kaka? - spytałam zdziwiona, bo zaczęło mi się to nie najlepiej kojarzyć.

- Jak to jaką? - Joanna obrzuciła nas niepewnym spojrzeniem. - Patrzyłyście na Krystiana, prawda?

- No, tak - przyznałam z wahaniem. Kaka? Naraził jej się czymś, że tak go nie lubi?

- Tak mi się wydawało - odetchnęła z ulgą Joanna. - Lubi, jak się do niego tak mówi. Krystian Krzemiński, w skrócie KaKa. Parę lat temu był okrzyknięty najbardziej pożądaną partią w kraju. W pierwszej dziesiątce najprzystojniejszych,

najlepiej ubranych, największych gentlemanów i najbardziej rozchwytywanych modeli. Ale trzeba mu to przyznać: jest naprawdę śliczny - westchnęła z podziwem.

- No, to pewnie teraz związany jest z jakąś najpiękniejszą, najlepiej ubraną, najbardziej rozchwytywaną modelką, aktorką, piosenkarką albo córką multimiliardera, która właśnie robi karierę w Stanach - spuwentowała z żalem

Haneczka.

- Chyba nie - odpowiedziała z nadzieją Joanna. - Publicznie nie pojawia się nigdy z żadną kobietą. Na imprezy zawsze przychodzi sam.

- Właśnie - upierała się przy swoim Haneczka. - To dlatego, że jest związany z jakąś naj i nie spotyka się z innymi.

- A z nią? Dlaczego w takim razie nie pokazuje się z nią? Żadna normalna baba nie puściłaby na imprezę takiego faceta samego! - Joanna była również uparta.

- Bo ona nie jest normalna. Jest naj... - wbiłam się w rozmowę, bo każdą z nich poznałam już na tyle, aby wiedzieć, że żadna nie ustąpi. - Tylko że naj - brzydszym koszmarem, jaki Bóg stworzył. Ale Krystian nie tylko ma urodę, ma też dobre serce i z litości postanowił się nią zaopiekować.

- Mną też by mógł... - westchnęły równocześnie Joanna z Haneczką.

- Ale nie zrobi tego - do rozmowy włączył się słuchający jej od paru sekund Reżyser - bo jest gejem.

- Gejem?! - z prawdziwym oburzeniem napadłyśmy na niego zgodnym chórem. - Niemożliwe!

- Skąd wiesz? - zażądała konkretów Joanna.

- Nie wiem! Tak sobie po prostu powiedziałem! - Reżyser wystraszył się trzech wściekle wpatrujących się w niego harpii. - Dobra, idę wepchnąć się tam po jakieś jedzenie - zrejterował.

Po jego odejściu przez chwilę w milczeniu patrzyłyśmy na Krystiana, który w tym czasie rozmawiał pod ścianą przez telefon.

- Nie... Nie jest... - pierwsza odezwała się z nadzieją Haneczka.

- Nie może być! - poparłam ją z przekonaniem. Pewnie, że nie mógł. Do rozpaczy doprowadziłyby wszystkie heteroseksualne kobiety.

- No właśnie - podsumowała Joanna. - Gdyby był, to na imprezy publiczne przychodziłby ze swoim facetem. Nikt normalny nie puściłby na imprezę takiego faceta samego.

*

- Cześć, słoneczko - mówił w tym momencie Krystian do słuchawki. - Wielka szkoda, że cię tu nie ma... Są wszyscy liczący się, nie będę wymieniał... Nie wiem, ciężko zdecydować, spontanicznie jakoś samo wyjdzie. A, wiesz, kogo zauważyłem? Ta twoja znajoma, o której rozmawialiśmy ostatnio... Taaak? A to śmiesznie się złożyło! Dobra, kończę, bo muszę przecież trochę pobrylować... No, to pa, jesteśmy umówieni.

- Mówiłam. Nic już nie ma - powiedziała z rozgoryczeniem Haneczka.

Stałyśmy nad stołem. Uzupełnię: pustym stołem. Kwadrans po zakończeniu projekcji filmu jedzenie wymiecione było do czysta, nie został nawet kawałek... czegoś. Ciężko było się zorientować, co było. Dlatego trudno było powiedzieć, że „nie został nawet kawałek tego”.

- Kulturalni ludzie! - z bólem ciągnęła Haneczka. - Przecież wiadomo, że jak się idzie na bankiet, to specjalnie nie je się w domu kolacji. Każdy wie, że na imprezie zawsze jest lepsze jedzenie niż we własnej lodówce.

- Mogę się z wami podzielić - powiedział ktoś z boku. Już miałam odpowiedzieć, że przyjaciółka przesadza i nie

będziemy przecież wyżerać komuś z talerza, gdy na szczęście Haneczka kopnęła mnie w piszczel.

- Nieceauaa...aależ oczywiście! Jaka to miła propozycja! - w ostatniej chwili zdążyłam zmienić wypowiedź, maślanym wzrokiem wpatrując się w... Tak. Pięknego Krystiana. Przysięgam! Za ten obolały piszczel będę Haneczkę nosić na rękach!

Jak tylko zostaniemy same, oczywiście.

- Proszę, Iza... - Krystian podał mi talerzyk, a ja poczułam, że mam miękkie kolana. Zapamiętał moje imię! Najlepsza partia w mieście pamiętała moje imię! - Podzielcie się z Haneczką.

No tak. Imię Haneczki też pamiętał. Widać po prostu miał dobrą pamięć do imion. Cóż. Nie można w życiu mieć wszystkiego.

- Napijcie się czegoś? - zapytał, ponieważ my zaniemówiliśmy. Dodam: powiedział do nas, ale patrzył tylko na mnie. Dlatego ona odpowiedziała, bo mnie głos odebrało na troszkę dłużej.

- Chętnie, szampana - odesłała Krystiana po alkohol.

- Zwariowałaś? - powiedziałam ze złością, bo odzyskałam głos, gdy tylko zostałyśmy same. - Trzeba było nie chcieć! Mogłybyśmy patrzeć na niego z bliska trochę dłużej!

- Sama zwariowałaś! - odpowiedziała również zdenerwowana Haneczka. - Chyba wpadłaś mu w oko. Trzeba było to przetestować. Jak wróci, będziemy mogły patrzeć z bliska przez cały wieczór.

- Jak wróci, jak wróci... - mamrotałam pod nosem z przekąsem. - Ciężko liczyć na to, że wróci, skoro dostał tu jedynie radosną propozycję objęcia etatu kelnera...

- Kelnera? - jak spod ziemi, z szampanem w rękach, wyrósł przed nami Krystian. - Zawołać jakiegoś kelnera?

- Co...? - zareagowałam błyskotliwie, zaskoczona tym, że tak nieoczekiwanie stanął tuż przede mną. Jejku! Żeby tylko się nie obraził!

- Potrzebujesz jakiegoś kelnera? - usłużnie spytał Krystian. - Może ja ci pomogę?

- Nieee... - zaczęłam, ale anioł stróż w postaci Haneczki znów obdarował siniakiem mój piszczel. - Eee... to znaczy, oczywiście! - wybrnęłam. Na chwilę. Pod uważnym wzrokiem Haneczki i Krystiana zastanawiałam się, czegoż, do licha, mogłabym teraz potrzebować od kelnera?

- Herbaty - wymyśliła Haneczka szybko. - Moja przyjaciółka natychmiast musi napić się herbaty.

- Herbaty? - baranim głosem spytał Krystian. Nic dziwnego. Nigdzie w okolicy nie było widać żadnej herbaty. Prawdopodobnie nikt poza Haneczką nie wpadał na pomysł, aby na bankiecie życzyć sobie herbaty! - Może sok by wystarczył? - zaryzykował. Soku za to były tu hektolitry.

- Wykluczone - stanowczo odrzuciła sok Haneczka. - Iza swoje leki może popijać tylko herbatą.

- Jakie znów leki?! - spytałam zdezorientowana, gdy Krystian oddalił się, tym razem w poszukiwaniu herbaty.

- Silne - odpowiedziała niewzruszona Haneczka.

- Jakie silne?! - zgłupiałam. - Przecież ja nie biorę żadnych leków!

- Wiem - Haneczka nie traciła spokoju. - Ale on tego nie wie. Mężczyznom dobrze robi, jak się muszą najpierw trochę postarać. Zobaczysz, jak skończę, będzie tak uroczy, że nie dasz rady odwdzińczyć mi się do końca życia.

- Tylko proszę, nie przesadź - powiedziałam błagalnie do Haneczki. - Miło by było, jakbyś skończyła chociaż chwilę przed końcem tego całego bankietu.

Nie przesadziła - choć Krystian musiał jeszcze biegać do kuchni po jakieś jedzenie dla nas, po kawę, bo Haneczka

doszła do wniosku, że wyglądam na zmęczoną, dwa razy po szampana, a na koniec po autograf do Człowieczka.

Po ostatnim kursie, kiedy wrócił do nas już mocno zdyszany, wreszcie dała mu spokój.

Hm. I miała rację.

Przez resztę wieczoru był naprawdę uroczy.

Nie ma co. Nie odwdzięczę się jej za to do końca życia!

- Było cudownie! - westchnęłam uszczęśliwiona, gdy już po wszystkim, w łóżku, zamykały mi się oczy. - Było naprawdę cudownie!

Idyllę spania przerwał niestety natrętny dzwonek.

- Halo? - poderwałam słuchawkę nieprzytomna, odbierając telefon od Człowieczka, który właśnie mi mówił, że dostałam główną rolę u Spielberga... Ale niestety, niestety, obudziłam się. Spojrzałam na słuchawkę z żalem. A mogło być tak pięknie! Nie było, tym bardziej że słuchawka wyraźnie mnie zaskoczyła. Była cicha, dzwonek zaś, nie przejmując się niczym, alarmował dalej. Człowieczek ze Spielbergiem dzwonią do drzwi? Zdziwili mnie tym trochę, bo nie byłam w stanie zrozumieć, skąd niby mogli znać ten adres? Nie kontynuowałam rozważań. Doszłam do wniosku, że po prostu ich o to spytam. Poderwana tą myślą, natychmiast pędem pokuśtykałam otworzyć. Zabiję Haneczkę! Jak niby wytłumaczę Spielbergowi tak posiniaczony piszczel?! Zmasakrowała mi wczoraj nogę. Na szczęście tuż pod drzwiami się opamiętałam. Głupio by było otwierać im nago. Szkoda, że nie miałam pod ręką czegoś bardziej gustownego, ale ostatecznie może być i szlafrok.

- Dzień dobry! - usłyszałam, niestety nie od Spielberga ani nawet nie od Człowieczka, tylko od Administratorki. No tak, mówili coś niedawno o jakiejś wymianie elewacji. Szkoda tylko, że nie wspomnieli, że będą chcieli o tym rozmawiać dziś, i to o wpół do dziewiątej. Chociaż może i słusznie tego

nie zrobili. Gdybym miała pewność, że to nie Spielberg, pewnie bym się nie ruszyła, aby otworzyć... Skarciłam się w duchu za lenistwo i jednocześnie za nieuprzejmość. Zamyśliłam się nad Spielbergiem tak bardzo, że nawet nie odpowiedziałam Administratorce na powitanie!

- Dzień dobry! - powiedziałam więc natychmiast. W przestrzeń. Pustą. Dziwne, dałabym sobie rękę uciąć, że przed chwilą Administratorka tu stała. Omamy mam, czy co? Zamykając drzwi, pokręciłam głową z niedowierzaniem. Ależ jestem nieprzytomna. Odwróciłam się i... Potwornie nieprzytomna! - skorygowałam się natychmiast w myślach. Administratorka stała bowiem w pokoju i taksowała mieszkanie dziwnym spojrzeniem. Hm. Wydawało mi się, że nie zapraszałam jej do środka. Ale pewnie musiałam to zrobić, bo sama z siebie by chyba tak nie weszła? Tymczasem jednak była w środku i zrobiło mi się trochę głupio. Kurczę, to prawda, wróciłam wczoraj późno i prosto od drzwi poszłam od razu do łóżka, ale to wcale nie usprawiedliwia tego, że ubranie malowniczo rozrzuciłam po drodze. Pospiesznie zgarniając ciuchy, zastanawiałam się jednocześnie, w czym ja jej zrobię herbatę? Wszystkie moje kubki były dekoracyjnie rozstawione po całym pokoju. Nienawidzę zmywać, to fakt. Ale przysięgam: od tej pory wszystkie brudne naczynia od razu będę wynosić do kuchni.

- Tak, tak. Kontaktowałam się z panią Zosią, jak najbardziej jest za elewacją, upoważniła mnie do tego, abym w jej imieniu gdzie potrzeba złożyła stosowne podpisy - nawijając o elewacji, ukradkowo usiłowałam zrobić jakikolwiek porządek. Nie było to łatwe. Administratorka nie odrywała ode mnie wzroku.

- Doskonale, ale to chyba nie będzie potrzebne - odpowiedziała bardzo oficjalnym tonem. Nie to nie, trudno. Ale w takim razie po co innego miałyby tu przychodzić? - A

jak tam wczorajsza balanga? - spytała oschle, więc szybko usunęłam stare scenariusze z fotela, by mogła na czymś wygodnie usiąść.

- Świetnie! - odpowiedziałam rozmarzona.

Największe gwiazdy i ja popijaliśmy tego samego szampana, a na koniec jeszcze Krystian odwiózł mnie taksówką do domu! Haneczka z prawdziwą zazdrością, ale taktownie, zamówiła sobie własną. Niepotrzebnie. Krystian podczas drogi i tak nie odezwał się ani słowem. Wyglądając na mocno znudzonego, gapił się cały czas przez okno albo dla odmiany nerwowo oglądał za siebie. Pod moim domem ożywił się nieoczekiwanie, odprowadził mnie pod klatkę i tam nagle, nie wiedzieć czemu, rozgadał się. Śpiąca byłam niemiłosiernie, ale głupio mi było przerwać jego monolog. Tym bardziej że był wyraźnie zdenerwowany, rozglądał się co chwila dookoła i dopytywał, czy często jeżdżą za mną paparazzi.

- Paparazzi? - zdziwiłam się najpierw, ale potem natychmiast zrozumiałam. Oglądał się i milczał, bo bał się, że jadą za nami paparazzi. Nic dziwnego, jest taki piękny, sama z chęcią bym za nim jeździła.

Pomyślałam to sobie, ale natychmiast zrezygnowałam z wprowadzania tego w czyn. Na niego lecą wszystkie najpiękniejsze laski, ma ich już na pewno powyżej uszu. Muszę być inna. Nie jestem tak piękna, więc muszę być niedostępna. Wtedy zwróci na mnie uwagę i zostanie, może na zawsze. Przykazałam to sobie kategorycznie i ucieszyłam się, że moja odpowiedź z pewnością go uspokoi.

- Nigdy! - odpowiedziałam zgodnie z prawdą. Miałam rację, zdecydowanie go to uspokoiło. Hm. Nawet, można powiedzieć, aż za bardzo. Nie wiem czemu, wyraźnie ochłódł i jakby nawet minimalnie się ode mnie odsunął. Nie wierzy mi! - pomyślałam w panice. Co robić, on mi chyba nie wierzy!

Ciszę nocną i tę, która zapadła między nami, przerwał warkot wolniutko toczącego się samochodu.

Krystian przemyślał sprawę i chyba doszedł do wniosku, że mogę mówić prawdę. Ufa mi! Pierwszy krok za nami, on mi ufa. Rozejrzał się po raz kolejny i... znów stał się tak czarujący jak na bankiecie, a nawet... Tak! Przytulił mnie i pocałował. Zakręciło mi się w głowie. Świat wirował, przysięgam, chociaż staliśmy w miejscu. Ależ ten facet nieziemsko całuje!

Nie upadłam tylko dlatego, że mocno trzymał mnie w ramionach.

Ach! Jakie miał cudne, silne męskie ramiona!

- Jesteś niezwykła! - powiedział jeszcze, wyjął z mojej ręki klucze i cały czas mocno mnie trzymając, podszedł do drzwi klatki. Dziwne. Wydawało mi się, że staliśmy akurat pod nimi, a nie dobre dwa metry dalej... O, rany! Chyba się zakochałam! Musiałam się zakochać. Niczym innym nie można wytłumaczyć tego, że mam omamy i wydaje mi się, że cudownym sposobem przemieszczam się w przestrzeni, podczas gdy cały czas stoję w jednym miejscu koło latarni. Uniosłam oczy i spojrzałam na twarz Krystiana. Poświata od lampy miękko ją oświetlała. Jaki on jest zachwycający! Masz być niedostępna - huczało co prawda jeszcze jakieś echo na antypodach mojej głowy, ale coraz większe upojenie spowodowane ramionami Krystiana, jego pocałunkami (Tak! Całował mnie teraz raz za razem!) i szampanem spowodowało, że słyszałam to słabiej i słabiej. Dlaczego niby mam być niedostępna?! - pomyślałam jeszcze buntowniczo, gdy Krystian otworzył wreszcie drzwi. To byłaby przecież najprawdziwsza głupota! - odpowiedziałam sobie i po raz pierwszy, sama z siebie, oddałam Krystianowi namiętny pocałunek.

Nie wiem, jak to możliwe. Jeśli nie zwariowałam, to naprawdę zakochałam się od pierwszego wejrzenia! (Na żywo, bo w gazetach widziałam go już wcześniej. Jaka byłam głupia, myśląc wtedy „nadęty bufon”).

- Cudownie! - powiedział na koniec. - Mam tylko nadzieję, że światło było dobre... - wymamrotał coś niezrozumiale.

Światło? Popatrzyłam na niego podejrzliwie. Światło! Wreszcie zrozumiałam i ogarnęła mnie prawdziwa fala szczęścia. Bredzi! - pomyślałam z rozczuleniem. Wzięło go i bredzi! Zachowuje się tak jak ja, jesteśmy dla siebie po prostu stworzeni!

- Mieszkaś sama? - spytał pomiędzy gorącymi pocałunkami w progu klatki.

- Uhum - przytaknęłam.

- A tego... Na pewno dziś nikt u ciebie nie nocuje? - po chwili upewnił się ponownie. Rany! Jaki on jest subtelny!

Wreszcie, po kolejnych pocałunkach, udało nam się wejść do środka.

Niewiarygodne! Idziemy do mnie. Powiedział, że jestem niezwykła, a teraz na dodatek IDZIEMY DO MNIE. Przez upojenie przedarła się pierwsza racjonalna myśl i poczułam się lekko zaniepokojona. Nie za szybko trochę? Miłość miłością, ale tak od razu do mnie? A kino, kolacja jakaś, on musi mnie przecież zdobyć, lepiej poznać... O, nie! Znienacka odezwała się we mnie kobieca skromność. Co ja robię najlepszego? Dopiero przed chwilą poznałam tego faceta.

Chyba jakoś telepatycznie odebrał moje myśli. Stuknęły zamykające się drzwi i Krystian jak na komendę, nieoczekiwanie gwałtownie ode mnie odskoczył.

Zdziwiłam się i prawie straciłam równowagę. Hm, dlaczego już mnie nie obejmuje? Z drugiej strony to nawet

dobrze. Wreszcie mogłam złapać oddech. Wcześniej, pod naporem jego ramion, żebra niemal miażdżyły mi płuca.

- To pa! - powiedział w tym momencie. Cholera, on naprawdę czyta w myślach! Nie, nie, to miażdżenie było nawet przyjemne, pomyślałam głośno i wyraźnie, bo nie chciałam, żeby poczuł się urażony. Niestety. On jest niewiarygodny! Kłamstwo wyczuł nawet w moich myślach. - Uwierz mi, tak będzie dla nas lepiej - dodał, a ja musiałam przyznać mu rację. Dla nas! Cóż za taktowny, romantyczny, delikatny, subtelny i absolutnie wyjątkowy facet! Prasa nie kłamała. Też byłam pod ogromnym wrażeniem!

- Do zobaczenia - powiedziałam jeszcze kokieteryjnie na pożegnanie i rozmarzona wizją kolejnych, cudownych randek, poszłam wreszcie do domu.

Ideał! Spotkałam prawdziwy, męski ideał!

*

Po pewnym czasie jakiś nieokreślony cień kocim ruchem wysunął się z drzwi wejściowych i zrećznie wślizgnął do zaparkowanego niedaleko samochodu.

- I co? Macie? - spytał głosem pełnym niepokoju.

- Mamy, mamy ją, spokojnie... - odpowiedział mu siedzący za kierownicą fotograf, chowając jednocześnie swój sprzęt do ogromnej torby.

- A mnie? Widać mnie wyraźnie? Coś czuję, że na początku miałem tam jednak beznadziejne światło! Cholera, że też nie można tego powtórzyć... - głos Krystiana stał się jeszcze bardziej niespokojny.

- Było dobrze, bez obaw. Tylko następnym razem nie kręć tak tą biedną dziewczyną, starając się podejść jak najbliżej pod latarnię.

- Luzik, nawet się nie zorientowała, o co chodzi! Nie wiem, jaka z niej może być aktorka, skoro nie zwraca uwagi na światło! - odparł Krystian ze wzgardą.

- Będziesz chciał skomentować ten materiał?

- Coś ty! - Krystian zaprzeczył gwałtownie. - O naszej współpracy nikt się nie może dowiedzieć, inaczej byłbym skończony! Poza tym mam już nagrany materiał u waszej konkurencji. Takie tam, że jestem oburzony i nie mieści mi się to w głowie.

- Jak chcesz - odpowiedział fotograf i uruchomił samochód. - Podwiozę cię jeszcze pod dom i muszę spadać, żeby jak najszybciej oddać ten materiał, bo ma iść na pierwszą stronę.

- Dzięki wielkie! - Krystian spojrzał na fotografa z oddaniem. - Już od jakiegoś czasu nie pisały o mnie żadne gazety.

*

- No tak, domyślam się, że na balandze było świetnie - z marzeń o Krystianie przywrócił mnie do rzeczywistości zimny jak lód głos Administratorki. Co jest? Ona też mi zazdrości, że byłam na gąbkowej imprezie? - Są na panią poważne skargi - ciągnęła tymczasem nieubłaganie.

- Skargi? - zdumiałam się niebotycznie - Jakie znowu skargi?

- Od sąsiadów - wyjaśniła Administratorka takim głosem, że zmroził dookoła powietrze. - Są oburzeni pani trybem życia. Długo się nie wtrącali, ale wreszcie zaczęli mieć dosyć tych notorycznych balang, od których trzęsie się cały budynek.

Balang? Jakich znowu balang?! Po czterech miesiącach pracy dopiero wczoraj byłam pierwszy raz na jakimś bankiecie! Poza tym bez przesady, Teatr Wielki jest dobre dziesięć kilometrów od mojego domu, nie ma szans, żeby cokolwiek z tego powodu wczoraj się tutaj trzęsło!

- To chyba jakieś nieporozumienie - weszłam w słowo Administratorce.

- Nieporozumienie?! - spojrzała na mnie wzrokiem, od którego krew natychmiast krzepnie w żyłach. - A wczoraj?! Ma pani prawdziwe szczęście, że to tacy taktowni ludzie, inni natychmiast przy tych odgłosach wezwaliby policję! - zakończyła z prawdziwym wyrzutem.

Do licha! O czym ona mówi? Jakie odgłosy? Szkoda, że mnie tu wczoraj nie było, wiedziałabym przynajmniej, co się działo! Właśnie! Spłynęła na mnie natychmiastowa ulga. Wczoraj mnie tu nawet nie było!

- Ale to przecież nie u mnie! - spróbowałam wyjaśnić Administratorce. - Nawet mnie tutaj nie było!

- Czyżby? - spojrzała na mnie uważnie. No, wreszcie zaczęło do niej docierać, że sąsiedzi pomylili zapewne adresy.

- Oczywiście! - potwierdziłam z przekonaniem. Poza tym co za pomysły, że miałabym robić u siebie głośne balangi.

- To dziwne, bo dowody świadczą o czymś zupełnie innym. - Nie! Ja zaraz chyba oszaleję! Jakie, do licha, dowody?! - Proszę - jak na zawołanie Administratorka wyciągnęła z torebki gazetę.

„Gorący romans Izy Strzeleckiej, początkującej aktorki, z Krystianem Krzemińskim, słynnym KaKa!" - przeczytałam na pierwszej stronie wielkie, krzykliwe litery. Zrobiło mi się natychmiast słabo. Ale nie z powodu tytułu. Pod spodem widniało nasze wielkie zdjęcie pokazujące, jak namiętnie całujemy się w drzwiach mojej klatki schodowej! Dlaczego?

Za jakie grzechy, za co coś tak obrzydliwego mnie w życiu spotkało?

- Naprawdę, nie rozumiem, dlaczego pani kłamie. - Z wielkiej oddali doleciał do mnie jeszcze głos Administratorki. - Ale czuję się w obowiązku poinformować panią, że w tej sytuacji jestem zmuszona skontaktować się z panią Zofią, aby znalazła kogoś innego do opieki nad swoim mieszkaniem.

„A to drań! I ma takiego farta!”, pomyślał Producent z uznaniem i sięgnął po słuchawkę telefonu.

- Słuchaj, musimy to zrobić - powiedział po chwili Reżyserowi.

- Nie! Tylko nie to! Przecież to drewno, malowana lala, nie aktor! - zaoponował gwałtownie Reżyser.

- Wiem - odpowiedział skruszonym głosem Producent. - Tylko powiedziałem mu dwa dni temu, że potrzebujemy teraz kogoś z pierwszych stron gazet, i obiecałem, że jak się tam znajdzie do końca tygodnia, to dostanie tę rolę.

- Spokojnie, nikt o nim nie będzie pisał! Jest czwartek, nie da rady, zostało mu mało czasu.

- Doprawdy? - spytał Producent z ironią. - To kup dzisiaj gazetę. Tylko przed wyjściem z domu wypij co najmniej setkę, bo gwarantuję ci, padniesz, jak tylko to zobaczysz.

*

Parę godzin wcześniej pan Henryk otworzył drzwi dobijającej się do niego z całych sił wzburzonej do granic pani Janinie.

- Proszę popatrzeć! Proszę tylko na to popatrzeć! - naprawdę musiała być zdenerwowana, skoro kompletnie ignorując swoje zasady, wtargnęła do mieszkania pana Henryka i zamykając za sobą starannie drzwi, wciskała mu jednocześnie do ręki jakąś pogniecioną już trochę gazetę.

- Co się... - zaczął pan Henryk, ale dalsze słowa uwięzły mu w gardle.

Jakie szczęście! Spotkało go wreszcie takie niewiarygodne szczęście!

Plotki, czyli naucz się żyć w świetle fleszy

Byłam załamana. Administratorka zostawiła mnie wreszcie samą, więc siedziałam sztywno, wpatrując się w tę cholerną gazetę.

W jednej chwili mój cały maleńki i z takim trudem zbudowany światek zawalił się całkowicie, przygniatając mnie na dodatek wielką kupą gruzu.

Jak ktoś mógł tak podstępnie nas sfotografować, a potem z jakimiś obrzydliwymi insynuacjami zamieścić to w gazecie?

Nie przejmowałam się jednak tym, że zapewne niedługo stracę mieszkanie.

Prawdę mówiąc, o tym nie pomyślałam jeszcze ani razu.

Załamana byłam czymś zupełnie innym.

Jak mogłam tak okrutnie zawieść zaufanie Krystiana?

Przecież pytał, czy jeżdżą za mną paparazzi. Nawet osioł by zgadł, że się ich obawia. Dlaczego ogarnęła mnie wtedy taka fala idiotyzmu, że bez zastanowienia, tak lekkomyślnie, odpowiedziałam „nigdy”!? Mogłam się przynajmniej rozejrzeć. Może bym coś zauważyła.

A teraz co? Zepsułam tak cudownie zapowiadającą się znajomość. Nie zdziwię się, jak on nigdy już się do mnie nie odezwie!

- No! To teraz wiemy na pewno, że nie jest gejem! - Haneczka wtargnęła do mnie mocno zarumieniona i nie wiedzieć czym bardzo podekscytowana.

- Kto nie jest gejem? - zainteresowałam się uprzejmie, chociaż ani trochę mnie to nie obchodziło. Jak mogłam cokolwiek się przejmować, skoro cała Polska komentuje dziś mój rzekomy romans z Krystianem? Nie dość, że w ogóle do niego nie doszło, to jeszcze tak rozczarowałam Krystiana!

- Ha, niewiniątko, co? - Haneczka mrugnęła do mnie porozumiewawczo. - Ależ ty dziewczyno masz szczęście!

- Jakie szczęście? - spytałam, myśląc jednocześnie, że faktycznie: „szczęście”. Nawet nie miałam do Krystiana numeru telefonu i po tym wszystkim nie miałam szans, aby go chociaż przeprosić.

- Jak to? - Haneczkę na chwilę przystopowało. - Noc z takim facetem i chcesz mi powiedzieć, że to nie jest szczęście? - Przez chwilę się zastanowiła. - Czyli co? Coś z nim nie tak? Jest przereklamowany? - dopytywała się badawczo.

- Tego nie wiem - zlitowałam się nad nią wreszcie i zdecydowałam się wyznać. - Nie byłam z nim ostatniej nocy.

- Jak to? - Haneczka spytała z niedowierzaniem i wyciągnęła swój egzemplarz gazety. - Przecież...

- Wiem - odparłam zdołowana. Potem opowiedziałam jej w najdrobniejszych szczegółach, jak to wszystko naprawdę wyglądało.

- To po co w takim razie, jak wróciłaś do domu, włączyłaś głośno muzykę i radośnie się zaśmiewałaś! - powiedziała z pełną pretensją dezaprobatą.

- Nie zaśmiewałam się! I nic nie włączałam! - zaprzeczyłam. - Od drzwi wejściowych poszłam prosto do łóżka, a po trzech sekundach spałam już jak kamień!

- Napisali, że do późnych godzin przez otwarte okno było słychać śmiechy i bardzo głośną muzykę, tak że aż dziw, że nikt z sąsiadów nie wezwał policji - powiedziała Haneczka z zastanowieniem.

- Wiem! Napisali również, że do mojego domu weszliśmy o wpół do pierwszej. I to się nawet zgadza. Tylko że wychodzącego Krystiana sfotografowali tuż po czwartej. Czyli co? Przez ponad trzy godziny siedział na klatce schodowej? Niby gdzie? Pod ścianą? - zareagowałam z prawdziwym oburzeniem. - To wszystko jest jedną wielką bzdurą!

- Chyba że... - zaczęła z tajemniczą miną Haneczka, ale natychmiast umilkła z powrotem.

- Że co? - zniecierpliwiałam się. Nienawidzę niedomówień.

- No, chyba że Krystian pożegnał ciebie, ale nie wyszedł z klatki od razu, tylko poszedł szybko do kogoś innego... - Haneczka zawiesiła głos, a ja popatrzyłam na nią niepewnie.

Cholera. A może?

- Tylko zastanówmy się, do kogo mógł pójść - poradziła Haneczka zupełnie niepotrzebnie. Od dobrej chwili już się nad tym zastanawiałam, tylko kompletnie nic mi z tego nie wychodziło! Zaczęłam więc na głos wyliczać kolejnych sąsiadów.

- Pode mną mieszka głucha pani Janina. Ekscentryczna, ale chyba nie do tego stopnia, aby ukradkiem mieć romans z jednym z bardziej pożądanym krajowym modeli?

- Skąd wiesz? Cicha woda brzegi rwie... - Haneczka podejrzliwie podeszła do osoby pani Janiny. - Poza tym pasuje, głuche osoby zawsze wszystkiego słuchają głośno i stąd ta głośna muzyka.

- Coś ty! Ona ma ze sto lat! - sprowadziłam ją szybko na ziemię. - Naprawdę sądzisz, że Krystian pasjami flirtuje ze stuletnimi staruszkami? Poza tym od śmierci męża nie wpuściła do mieszkania żadnego mężczyzny! Pod tym względem pani Janina jest absolutnie wykluczona. Pod panią Janiną mieszka małżeństwo równie wiekowych emerytów, oboje chodzą o kulach i nie sprawiają wrażenia zatwardziałych balangowiczów. Nie śmialiby się głośno, bo na co dzień mówią ledwo słyszalnym szeptem.

- Bo mają zdarte gardła po nocnych imprezach... - zaczęła Haneczka, ale zgromiłam ją wzrokiem, więc się uciszyła. Wyliczałam dalej.

- Na parterze mieszka pani, której w życiu na oczy nie widziałam i która teraz jest w sanatorium...

- O! - przerwała Haneczka. - Może był u niej?

- Przecież jej nie ma! - sprzeciwiłam się stanowczo.

- No to co? Jest jej wnukiem i zostawiła mu klucze, żeby pod jej nieobecność podlewał kwiaty.

- Nic z tego, niestety. Pani Zosia opowiadała, że ta sąsiadka ma akurat dwie wnuczki. Studiują, na nic nie mają czasu, a na dodatek są kompletnie nieodpowiedzialne. W życiu nie zostawiłyby im kluczy. Dlatego kwiatami zajmuje się jej przyjaciółka z pierwszego piętra, mieszka obok staruszków z kulami.

- No to może faktycznie nie był akurat u niej... Kogo dalej mamy?

- Nad przyjaciółką od kwiatów mieszkają z wnuczkiem żwawi staruszkowie...

- To może jest kumplem tego wnuczka? - Upór Haneczki był niewiarygodny.

- Może i jest. - Perfidnie dałam Haneczce przez chwilę nadzieję. - Kto go tam wie, w sumie Krystian wygląda na kogoś, kto ma przyjaciół wśród pięciolatków i regularnie wpada do nich na nocne imprezy!

- Daj spokój. - Haneczka zmarkotniała. - Ktoś jeszcze?

- Tak, naprzeciwko mnie mieszka cicha, spokojna pani, która chyba niedowidzi, bo za każdym razem pyta mnie, czy to ja teraz tu mieszkam.

- Wszyscy?

- Nie. Na parterze mieszka jeszcze pan Henryk. Dystyngowany, stateczny i samotny. Na pewno nie robiłby imprezy. Nie miałby na nią czasu, bo całymi dniami i nocami siedzi w oknie i kontroluje wydarzenia na ulicy.

- Hm... - powiedziała Haneczka z namysłem. - Faktycznie, nikt nie pasuje... Ale jest nadzieja w panu Henryku. Trzeba z nim pogadać, może cierpi na bezsenność i słyszał, co się tu działo w nocy.

*

Tamtej pamiętnej nocy pan Henryk jak zwykle stał na straży, choć nigdy nie cierpiał na bezsenność. Wręcz przeciwnie. Całe życie usypiał natychmiast, gdy tylko na chwilę dłużej zdarzyło mu się zamknąć powieki. Biorąc pod uwagę tryb życia Nierządnicy, było to powodem jego coraz bardziej rosnącej frustracji. Jak niby miał prowadzić skrupulatny dziennik przy tak nieregularnym trybie jej życia? Niemniej jednak pan Henryk należał do osób ambitnych, a trudności jedynie wzmagaly jego upór. Dlatego gdy wrócił do domu po spotkaniu na klatce z panią Janiną, natychmiast zajął się pisaniem skargi do administracji. Czuł się bezpieczny. Aktorka zniknęła w mieszkaniu z jakimś facetem i pan Henryk zakładał, że szybko z niego nie wyjdą. Gdy skończył, przygotował sobie jeszcze mocną kawę, ustawił w widocznym miejscu zegarek, dziennik wydarzeń i sprawny długopis położył obok, po czym z silnym postanowieniem, że nie uśnie, póki nie doczeka się wyjścia amanta Nierządnicy, usiadł wygodnie w fotelu przed oknem. „Wszedł wnuk Janiny” - po ponad dwóch godzinach zapisał nowe wydarzenie. „Biedna!”, pomyślał jeszcze ze współczuciem. „Pani Janina musi być naprawdę mocno zdenerwowana, skoro zadzwoniła po wnuka” - dopisał. Tymczasem życie ulicy toczyło się zwykłym trybem. Mijały godziny i nic się nie działo. Pan Henryk postanowił, że nie będzie się tym przejmował. Póki co miał inny problem. Czuł, jak powoli zaczynają opadać mu powieki....

Nagle obudził go dźwięk zatrzymującego się samochodu. Pan Henryk ocknął się, spojrzął na zegarek i potwornie zirytował się, że zasnął. Gdy wyrztał przez okno, zezłościł się na siebie jeszcze bardziej. No nie! Przegapił wyjście nie dość, że faceta, to jeszcze i Nierządnicy! Całe szczęście, że teraz się obudził, akurat w momencie gdy wysiadała z taksówki.

Zaraz, zaraz... Pan Henryk z wrażenia aż lekko uniósł się w fotelu. Nie mógł uwierzyć własnym oczom! Z jakimś innym facetem! Tak. Pan Henryk właśnie to lubił najbardziej w swoim nieszkodliwym hobby. Ten dreszczyk emocji. Tę adrenalinę. Na dodatek skądś znał tego mężczyznę, gdzieś już musiał widzieć tę twarz.

Póki co jednak wcale się nad tym nie zastanawiał.

Z obrzydzeniem, ale i nadzieją, że nowy amant zaraz sobie pójdzie i wreszcie będzie można normalnie położyć się do łóżka, przeczekał migdalenie pod drzwiami klatki, aż wreszcie przyłapaną parka zniknęła w czeluściach domu. Pan Henryk poczuł się lekko zaniepokojony. „Po co on tam włązi!” - zdenerwował się, bo senność walczyła w nim z poczuciem obowiązku. „No dobra, może zaraz wyjdzie...” - próbował się pocieszać, ale po kwadransie stracił nadzieję. Ma przechłapanie! Teraz będzie musiał sterczeć przy tym oknie do rana! Załamany, podreptał do kuchni zrobić sobie kolejną mocną kawę i zamiast fotela przyniósł niewygodny taboret. Zadowolony z pomysłu usiadł na nim i nie martwiąc się już tym, że zaśnie, czekał spokojnie.

O 1.17 siła ciężenia zadziałała i wyrwała pana Henryka ze snu. Podniósł się z podłogi, rozmasował potłuczone ramię, zanotował w dzienniku: „Bardzo głośna muzyka”, ustawił przewrócony taboret i znów na nim usiadł.

Około czwartej cały poobijany pozbierał się po kolejnym upadku i poczuł, że się poddaje. Miał dosyć. Wszystko go bolało. „Cholera! - zaklął w duszy. - Nierządnicą wygrała!” i z prawdziwą ulgą pomyślał, że wreszcie będzie mógł położyć się do łóżka.

Sekundę później zaklął znowu.

Pod dom podjechała jakiś samochód, zaparkował pod klatką, ale nikt z niego nie wysiadał. Pan Henryk był na tyle doświadczonym obserwatorem, by doskonale wyczuć, że coś

się będzie działo. Z prawdziwą rozpaczą ponownie usiadł na taborecie. Na wszelki wypadek jednak na podłodze rozłożył jakieś poduszki. Na szczęście nie były potrzebne. Nie czekał długo. Notatka z 3.47 brzmiała: „Wyszedł drugi amant Nierządniczy. Zbliżył się do parkującego samochodu, rozmawiał cicho z kierowcą przez uchyloną szybę. (Mimo usiłowań tematu rozmowy nie udało mi się ustalić. Byłoby lepiej, gdybym w tym momencie mógł wyjść na zewnątrz. Trzeba zastanowić się nad zakupem psa). Po chwili amant wrócił do klatki, aby wyjść z niej ponownie po upływie góra pięciu sekund. Nie wiem, co robił, ale wychodził w ten sposób do samochodu trzy razy, zanim wreszcie ostatecznie odjechał”.

Po zapisaniu tego faktu pan Henryk z gigantyczną ulgą dotarł wreszcie do łóżka. Co prawda nie wyspał się, bo pani Janina zerwała go z łóżka z samego rana, ale w sumie dobrze się stało. Dzięki temu mógł dołączyć do spisanej uprzednio skargi gazetę i popędzić do administracji. Złożył skargę. Administratorka pierwszy raz od lat potraktowała go poważnie. Cóż za satysfakcja! Do tej pory traktowała go z góry, z lekkim politowaniem, mówiąc, aby nie przesadzał. Gdy zobaczyła gazetę, mina jej zrzędała i Administratorka autentycznie przejęta obiecała, że będzie działać. Pan Henryk zatarł z zadowoleniem ręce. Co za dzień, co za dzień! Od lat nie trafił mu się tak dobry dzień.

Wracając do domu, zdziwił się, że znów widzi wnuka pani Janiny.

- Wcześniej pan przyjechał - zagadnął zaniepokojony. Szlag! Wczoraj przegapił też jego wyjście. - Proszę pozdrowić szanowną sąsiadkę...

- Niestety, właśnie wychodzę, do widzenia! - wnuk pani Janiny odpowiedział krótko i nie dając się wciągnąć w dalszą pogawędkę, odszedł pospiesznym krokiem. Pan Henryk

zmarszczył brwi niezadowolony. Przez tę cholerną Nierządnicę nie wie nawet, o której wnuk tu przyszedł!

*

- O co chodzi? - Pan Henryk spytał wyniośle, gdy otworzył nam drzwi. - Niestety, spałem - odpowiedział krótko na nasze pytanie dotyczące ostatniej nocy. I znów zostałyśmy na klatce same. Nie licząc oczywiście wielkiego oka, które na sto procent lustrowało nas właśnie przez wizjer.

- Chodź do domu - zarządziła Haneczka, zapewne również czując presję wielkiego oka.

*

Pan Henryk zamknął drzwi, szczelnie przywarł do wizjera, ale w głowie czuł prawdziwy zamęt. Dlaczego Nierządnica, główna bohaterka nocnych wydarzeń, przyszła spytać, czy słyszał, co się tu działo, bo chciałyby się czegoś dowiedzieć? Prawdę mówiąc, jak ją zobaczył w drzwiach, w pierwszej chwili pomyślał, że Administratorka wypucowała jej, że to on donosi. Był przygotowany raczej na awanturę. Nic dziwnego. Regularnie robili mu ją wszyscy kolejni sąsiedzi. Zamiast awantury usłyszał jednak pytanie i to kompletnie zbiło go z tropu. Odczekał przy wizjerze dobrą minutę po tym, gdy dziewczyny zniknęły mu z pola widzenia. Znał te numery sąsiadów. Szli gdzieś w jedną stronę, potem na palcach wracali. Usłyszał jednak trzask zamykanych na górze drzwi, więc zwolniony ze stanowiska, pędem poleciał do swojego dziennika wydarzeń. Cholera! Dzień nie był już taki dobry! Coś przeoczył.

Panu Henrykowi coś w tym wszystkim potwornie nie grało.

*

- Niedobrze. Tak czy tak, trzeba szybko zadzwonić - powiedziała Haneczka, gdy wróciłyśmy bezradne do domu.

- Tak, tylko że nie mam do niego telefonu - wyjaśniłam jej mój kluczowy problem.

- Do niego? - Haneczka chyba mnie nie zrozumiała. - Przede wszystkim musimy zadzwonić do pani Zosi!

Niestety. Pani Zofia tydzień temu wybrała się na trzytygodniowe safari z rodziną, poinformowała nas o tym przez telefon tamtejsza gosposia. Póki co panią Zosię miałyśmy z głowy. Dobrze było chociaż to, że przynajmniej przez najbliższe dwa tygodnie nie będę się musiała wyprowadzać z tego domu!

- I co teraz? - spytałam Haneczkę bezradnie. Wzruszyła ramionami.

- Można spróbować wytoczyć tej gazecie proces.

Powiedziała to ciężkim głosem i zapadła złowieszczą cisza. Haneczka patrzyła na mnie wyczekująco, tymczasem ja nie wiedziałam, co powiedzieć. Jak to proces?! W życiu nie miałam żadnej sprawy w sądzie, jak w tej sytuacji miałam komukolwiek wytaczać proces? Adwokaci, rozprawy, sędziowie, kupa kasy na to wszystko - myślałam i coraz dokładniej czułam, że co jak co, ale jakikolwiek proces będzie ponad moje siły.

- No chyba nie pozwolisz, żeby bezkarnie szkalowali twoje imię! - powiedziała na to moja przyjaciółka, która chyba przed chwilą zabawiała się skanowaniem moich myśli. - Nie możesz się wycofać - próbowała przyprzeć mnie do muru, ale na szczęście właśnie w tym momencie zadzwonił telefon. Nie musiałam nawet patrzeć na wyświetlacz i ucieszyłam się jak nigdy. Takie wyczucie czasu w przerywaniu rozmów w kluczowych momentach miała tylko jedna znana mi osoba. Pierwszy raz w życiu byłam jej za to wdzięczna!

- Mamusia - powiedziałam więc bardzo radośnie do słuchawki. Kto inny mógłby cię uratować z opresji, jeśli właśnie nie mamusia?!

- Ty taka rozświergotana, a tu takie nieszczęście! - powiedziała mama grobowym głosem. Natychmiast zapomniałam o procesie i całej reszcie moich nieszczęść. Co się stało?!

- Dziadek?! - spytałam nerwowo - Co z dziadkiem?

- Dobrze - odpowiedziała moja mama lekko zdziwiona. - Od dwóch dni siedzi na rybach.

- Jak dobrze! - Poczułam jak tysiące kamieni spada z mojego serca. - No, ale w takim razie nie rozumiem, po co mnie tak straszysz?! - powiedziałam do mamy z pretensją. Dziadek w rodzinie był najstarszy, każdy po takim wstępie spodziewałby się najgorszego.

- Proszę?! - ton głosu mamy zmienił się radykalnie. Naprawdę, mogłaby jej go w tej chwili pozazdrościć najbardziej zimna królowa śniegu. - Ja STRASZĘ...?

Nie odpowiedziałam. Co można odpowiedzieć na oczywistość?

- O, nie, moja panno! Taki wstyd, a ty opowiadasz, że straszę?! Ja cię dopiero mogę postraszyć! Taki wstyd przynosi rodzinie i jeszcze opowiada, że straszę! - poskarżyła się moja mama czającemu się chyba w pobliżu słuchawki ojcu. Na pewno. Nastąpiła pełna trzasków szamotanina i po chwili odezwał się tatuś.

- Halo, córeczko? - powiedział niepewnym głosem. Zawsze był onieśmielony przy mamie. „Córeczko! On jeszcze mówi do tej ładaczniczki córeczko!”, usłyszałam z oddali głos mamy. - Eee, tego... - Tatę też wyraźnie to rozproszyło. - Nie wiem, co to za historia z tą gazetą („On nie wie! Patrzcie! Całe miasto o niczym innym nie gada, a ten twierdzi, że nie wie!”), ale mama powiedziała, że po takim skandalu nie wyjdzie już nigdy z domu („Żebyś musiała spalić się ze wstydu przed sąsiadami?!”). Proszę, nie rób głupot w tym wielkim mieście i pilnuj się jakoś („Szanować się powinna! Wiedziałam, że to

całe środowisko jest nic niewarte. Tak czułam, jak tylko zaczęły się o niej rozpisywać te wszystkie gazety! Wiedziałam, że nic dobrego z tego nie wyniknie!"). Nie opowiadaj! - fuknął na mamę ojciec. - Chodziłaś z tymi gazetami i chwaliłaś się po wszystkich sąsiadkach! („I co z tego? I tak czułam! Od początku czułam, że nic dobrego z tego nie wyniknie!"). Sama widzisz, co się tu dzieje - zwrócił się znów do mnie.

- Ale ja naprawdę nic nie zrobiłam!

- Widzisz, Krysia! Ona nic nie zrobiła! - ucieszył się ojciec.

- Jak to nic?! Gazety piszą! - Mama odbiła ojcu słuchawkę.

- To nieprawda! - krzyknęłam, bo musiałam się jakoś przebić przez ich dyskusję.

- Nie krzycz. Jakby nie była prawda, toby nie pisały! - Mama odłożyła na chwilę dyskusję z ojcem i znów wróciła na krótko do mnie.

- Ja się tylko z nim pocałowałam! - Poczułam się zupełnie jak mała dziewczynka przyłapana na zakazanej zabawie w doktora. Do licha, co jest? Mam już dwadzieścia pięć lat! - I co, może nie mogę się w moim wieku całować? - spytałam mamę zaczepnie.

Mamę na chwilę zatkało. „No, daj już spokój, Krysia", usłyszałam jeszcze cichy, proszący głos ojca.

- A kto ci się broni całować? - powiedziała na to sycząco. - Tylko nie musisz od razu na środku ulicy przed aparatami i przy muzyce, żeby trząsał się cały budynek.

- To jest bezczelne kłamstwo! - krzyknęłam w desperacji. - I podam ich za to do sądu! Wytoczę proces!

Cholera. Kątem oka spojrzałam na Haneczkę. Uśmiechnięta od ucha do ucha, w odpowiedzi na moje spojrzenie podniosła kciuk do góry. Niedobrze. Po takim

oświadczeniu już mi nie odpuści, naprawdę każe mi to zrobić. Dlaczego, rany, dlaczego musiała to słyszeć?

„O nie! Józek, słyszałeś? Moja córka będzie się włóczyć po sądach jak kryminalistka! Józek, zrób coś!”, mówiła mama, ale tym razem do ojca. „Cicho, Krysiu, daj mi to...”, usłyszałam jeszcze ojca, który chyba znów starał się zawładnąć słuchawką. Seria trzasków przedłużała się, widać mama, cały czas perorując, nie miała zamiaru wcale jej puścić. „Bip bip bip”, powiedziała do mnie po chwili słuchawka.

„Trzymaj się tato!” - wysłałam jeszcze esemesa, przedłużając moment powrotu do rozmowy z Haneczką.

„Ty też - odpisał mi ojciec. - I nie przejmuj się tą gazetą. Jutro opiszą nowy skandal i o twoim wszyscy zapomną”.

Uśmiechnęłam się do siebie. Kochany tatuś. Zawsze umie podnieść na duchu. Fakt, jutro napiszą o czymś nowym, i pojutrze, i popojutrze. Z tym że nie wszyscy zapomną. Obawiałam się, że niestety Krystian może zapamiętać to wszystko na dłużej.

Trzeba było rady znajomego prawnika - czyli Maćka, którego wezwała pomocna Haneczka.

- Proces?! - temat powrócił jak bumerang. Rany, teraz Maciek razem z Haneczką zmuszą mnie do tego. - Lepiej od razu wybijcie sobie to z głowy! O co? Za co? - od wejścia gwałtownie zaskoczył mnie Maciek. No, no! Tego się po nim nie spodziewałam. Spojrzałam na niego z większą uwagą. Rozsądny chłopak. Coraz bardziej zaczynam go lubić.

- No, jak to?! - obruszyła się Haneczka. - Piszą, że całowała się z Krystianem i głośną muzykę oraz śmiechy było słyszeć do późnych godzin nocnych! Bezczelnie sugerują gorący romans!

- Chwileczkę! - przystopował ją Maciek - Całowała się? Jak na komendę spojrzeli na mnie.

- No, tak - wybąkałam speszona.

- No właśnie! - pokiwał głową Maciek.
- Jakie właśnie? Przecież nie śmiała się z nim przy muzyce! - zaproponowała Haneczka.
- A co? - zainteresował się podejrzliwie Maciek.
- Nic. - Udało mi wtrącić się do rozmowy. - Wróciłam sama do domu i od razu grzecznie poszłam spać!
- Byli jacyś świadkowie?
- Jacy? - nie rozumiałam. Bo kot się chyba nie liczy? - Przecież mówiłam, że wróciłam sama.
- Nikt u ciebie nie nocował? - dążył Maciek. - Kolega, koleżanka, mama?
- Nikt - zaprzeczyłam ze smutkiem.
- No właśnie. W żaden sposób nie udowodnisz, że u ciebie nie tańcowało czterdziestu rozbójników, co dopiero jeden Krystian. Chyba że on będzie miał świadków, że wyszedł od ciebie i przez resztę nocy pałętał się po jakichś wiarygodnych miejscach publicznych. Najlepiej, żeby zabrali go do izby wytrzeźwień albo chociaż na komendę, przed sądem takie zaświadczenie byłoby nie do obalenia... - na samą myśl o tym Maciek się rozmarzył.
- Rany - załkałam - czemu mnie to w ogóle spotkało? Haneczka z Maćkiem spojrzeli na mnie ze współczuciem.
- Cena sławy... Jesteś osobą publiczną... - próbował mnie jakoś pocieszyć Maciek. Nie wyszło mu. Nieopatrznie rozdrażnił mnie jeszcze bardziej.
- Jaką publiczną?! Czy tylko dlatego, że pracuję w serialu od kilku miesięcy, to jak się pocałuję na ulicy, natychmiast następnego dnia mają prawo napisać o tym w gazecie? A gdzie jakaś prywatność?!
- Nie ma prywatności, gdy jest się sławnym. Mało czytałaś o innych w tych wszystkich brukowcach?
- Faktycznie, niemało. Ale myślałam... Prawdę mówiąc, sądziłam, że to ci sławni chcą, żeby o nich pisali. Że idzie się

do gazety, wymyśla coś i bach! - po dwóch dniach jest sensacja na pierwszą stronę. Nie spodziewałam się, że - bach! - sensacja wyskakuje wtedy, gdy nie masz o tym nawet zielonego pojęcia. Sława miała przecież być przyjemna. To miały być kwiaty, czerwone dywany z wiewatami i fleszami, puchy do południa i przystojni bruneci. Póki co, nici z tego, a jak wreszcie pojawił się brunet, natychmiast przyleciał jakiś paparazzi i go do mnie zniechęcił. Nie, nie tak miało to wyglądać.

- Nie jest dobrze - podsumowała sprawę Haneczka. - Trzeba dorwać Krystiana i spytać go, czy był może w izbie wytrzeźwień. I pogadać z panią Zosią, zanim ekspresowo wyrzuci cię z tego mieszkania.

Fakt. Nie było dobrze.

Ale potem zrobiło się jeszcze gorzej.

Pani Zosia zapadła się jak kamień w wodę. Pocieszające było jedynie to, że prawdopodobnie tak samo jak my nie może skontaktować się z nią Administratorka.

Krystian też się nie odzywał. Mało tego, w żaden sposób nie mogłam zdobyć jego numeru.

Nie, nie chodziło mi o zdobycie listy świadków jego dalszych poczynań tej nocy ani o wyznania, czy był w izbie wytrzeźwień. Nie miałam zamiaru podawać do sądu tej szmatławej gazety. Nie chciałam mieć z nią nic wspólnego. Z Krystianem musiałam porozmawiać z zupełnie, ale to zupełnie innych powodów.

Nie łudziłam się już oczywiście co do dalszych losów naszej... hm... znajomości. Mogłam zapomnieć o ślubnym kobiercu, konkubinacie czy z braku laku chociażby o gorącym romansie. Niestety. W głębi duszy nie mogłam tego odżalować.

Ach! Jak on całował! Ale nie o to mi przecież chodziło. Przede wszystkim chciałam Krystiana przeprosić i przekonać

go, że absolutnie, w najmniejszym stopniu, nie miałam z tym wszystkim nic wspólnego. Myśl, że podejrzewa mnie o napuszczenie na nas paparazzich i wykorzystanie go do uknucia takiej obrzydliwej intrygi, napawała mnie potwornym wstrętem.

Niestety. Krystian zapadł się jak kamień w wodę, pani z jego agencji tylko tajemniczo chrząkała i za nic nie chciała podać numeru jego telefonu.

W takiej atmosferze nawet praca stała się nie do zniesienia. Jechałam na zdjęcia bez żadnej przyjemności. Zawsze trwały długo, teraz wydawało mi się to jeszcze bardziej męczące. Najgorzej jednak było, gdy uświadomiłam sobie, że od jakiegoś czasu ich konsekwencją stała się nieunikniona, raz w tygodniu emitowana premiera kolejnego odcinka. Z tygodnia na tydzień stawałam się coraz bardziej sławna. Przez to byłam tak atrakcyjna dla paparazzich. Mogli się czaić dosłownie za każdym rogiem.

Zawsze bądź piękna

- Bry... - wymamrotałam spóźniona, w potwornym nastroju, ale z lekkim wyrzutem sumienia, wczolgując się na wolny fotel o godzinie 6.15. Wyrzut sumienia ściśle związany był z informacją na planie pracy: „aktorzy - charakteryzacja: 6.00". Lekkim - bo jest to prawdziwe draństwo! Nigdy nie przestałam uważać, że gwiazdy powinny się wylegiwać co najmniej do południa. W puchach.

W każdym razie na pewno nie powinno się dopuszczać do tego, aby bladym świtem, na dodatek z takim paskudnym nastrojem, sadzał je ktoś przed gigantycznym lustrem i kierował im na twarz setki ujawniających wszystko reflektorków.

Niechący spojrzałam przed siebie.

W odpowiedzi spod rozczochranego kołtuna łypnęło na mnie jakieś kaprawe spojrzenie przekrwionego i zapuchniętego oka.

Jezu!

Natychmiast zamknęłam oczy z mocnym postanowieniem, że przez jakiś czas nie będę ich w ogóle otwierać. I jak ja mam potem grać upojne sceny miłosne?! Cud Boski, że nie dostałam zawału serca, chociaż i tak do końca nie wiadomo, jaki wpływ na psyche człowieka może mieć takie szokujące przeżycie. Całkiem prawdopodobne, że wspomnienie tego widoku będzie mnie budzić w nocy do końca życia.

Przynajmniej powinna być jakaś dopłata za pracę w koszmarnych warunkach.

No dobrze. To po prostu kolejny dowód na to, że zawód aktorski jest potwornie ciężki i wymagający, zwłaszcza gdy jest się sławnym.

Jak po tych wszystkich zdjęciach, na których wygląda się jak istny anioł, można zobaczyć coś takiego?

- No, dobra, masz tu kawę - powiedziała do mnie Charakteryzatorka. Boska istota. Gdyby nie ona, na naszym planie co chwilę straszyłyby kolejne nieprzytomne aktorki bezładnie obijające się o scenografię.

- Dziękuję. - Tak, zdecydowanie tylko kawa mogła mnie jakoś postawić na nogi. Jak już będę stała, pomyślę, czy w jakiś sposób da się jeszcze wpłynąć na humor.

- No to zaczynamy - powiedziała ta błogosławiona kobieta, tak że dzięki temu zamknięte oczy mogłam mieć na legala. Rasowe Aktorki nałogowo odsypiały przy mejkapie. Nie to, że nagle dziś poczułam się Rasową Aktorką. Dzięki zamkniętym oczom po prostu lepiej mogłam ukryć doła.

- Dzień dobry, dobrze trafiłem? - wymruczał niewyraźnie jakiś człowiek, stając w progu charakteryzacji.

- Pan na Wiktora? - cichutko zapytała Asystentka.

Na Wiktora! Nowego amanta Weroniki! Wspominając o nim, Producent mrugał do mnie porozumiewawczo! Cholera, zapomniałam, dziś miał przyjść ten facet na Wiktora. Umierałam z ciekawości, kogo do tej roli Producent mógł wymyślić? O mało nie zerwałam się, żeby go zobaczyć. Na szczęście w porę przypomniałam sobie, że niestety cały czas jeszcze wyglądam jak zombi. Teoretycznie w niczym to nie przeszkadzało. Istniało jednak ryzyko, że gdy ja się wychyle, to on na widok takiej zmory natychmiast ucieknie z głośnym krzykiem. Jeśli ma dobry refleks, to nie miałam najmniejszej szansy, żeby w ten nanoułamek sekundy dać radę mu się przyjrzeć.

- Tak, to ja - odpowiedział Wiktor cichym głosem i podszedł do drugiego fotela. Tak. To on! Boski amant!

Ja tymczasem usilnie próbowałam ze swojego miejsca jakoś dyskretnie zniknąć. Nie udało mi się zdematerializować. Wobec tego zsunęłam się delikatnie jak najniżej na oparciu.

- Co robisz? - spytała niczego nieświadoma Charakteryzatorka, gdy już prawie leżałam. - Usiądź sobie wy...

- Ciii! - przerwałam jej w sama porę. - Błagam! Zaraz go pomaluje i on sobie stąd przecież pójdzie! - wyjaśniłam jej szeptem.

- A! - Charakteryzatorka odpowiedziała porozumiewawczo. - Stanę pomiędzy fotelami, to cię jeszcze jakoś osłonię.

Cudowna! Zrobiła to w ostatnim momencie. Dokładnie w tej sekundzie usłyszałam, jak facet mości się wygodnie w fotelu.

- Przepraszam bardzo, pani... Jak ma pani na imię? - zagadnął do Asystentki. Brzmiał ciekawie. Głęboki, niski głos... Producent widać naprawdę się postarał, Weronika będzie miała amanta pierwszej klasy!

- Agnieszka... - odpowiedziała Asystentka nieśmiało. Proszę, proszę! Już tyle czasu tu pracujemy, a nie miałam pojęcia, że Asystentka ma na imię Agnieszka!

- Piękne imię! - czarował dalej aktor na Wiktora. - W takim razie, czy mogłaby mi pani, Agnieszko, dać jakiś krem mocno nawilżający?

- Jasne, oczywiście, proszę, już daję! - Asystentka Agnieszka w jednej sekundzie wypowiedziała więcej słów niż poprzez cały dotychczasowy okres zdjęciowy.

Pięknie! - uśmiechnęłam się ze zrozumieniem. Wystarczy, że jakiś facet powie nam po imieniu, a nawet niemowa robi się nagle gadułą.

Charakteryzatorka też była zdziwiona. Najlepszym dowodem było to, że zaczęła mnie malować i póki co, robiła to w kompletnym milczeniu.

- A jeszcze jakieś krople do oczu, na te przekrwienia... - dłuższą ciszę przerwał znów głos tego na Wiktora. Asystentka

Agnieszka po poprzednim słowotoku podała mu je w milczeniu pełnym aprobaty. Widać też lubi, jak mężczyźni o sobie dbają.

Bardzo dobrze. Wpuści sobie krople, przypudruje się, przeczesze grzebieniem włosy i wreszcie sobie pójdzie. W tej niewygodnej pozycji zaczęła mi już lekko drętwieć szyja.

- A jak myślisz, Agnieszko? Trzeba podregulować brwi? - Hm... dbanie dbaniem, ale... No dobrze, pierwszy raz w życiu spotykam faceta, który ma zamiar regulować brwi!

- Nie ma chyba takiej potrzeby - dzięki Bogu Asystentka trzymała rękę na pulsie.

- A te tu? Te kłaczki? - Co? Co on wymyśla? Jakie znowu kłaczki? Szyja bolała mnie coraz bardziej. Czy ten facet nie ma taktu, że wymyśla nagle jakieś kłaczki?!

Nie usłyszałam, co na kłaczki powiedziała Asystentka. U mnie trzeba było regulować, toteż przez chwilę zaciskałam zęby i starałam się nawet nie oddychać.

- Agnieszko - Wiktor nie wiedzieć czemu się spoufalił - tam w torbie na krześle zostawiłem jeszcze maseczkę na opuchnięcia.

- Proszę - bąknęła Agnieszka.

Maseczka?! Po kiego mu ta maseczka? To goguś jakiś czy co? Szyi już na szczęście nie czułam, za to zaczęły mi pulsować plecy.

- Jejku! - jęknęła Charakteryzatorka cicho. - Jak zaraz nie skończą, to chyba pęknie mi kręgosłup!

No tak. Nie ma szans malować kogoś leżącego w fotelu, nie wyginając się jak kobra fakira.

- Wstanę - zaproponowałam z żalem. Trudno. Przy zawieraniu tej znajomości będę musiała postawić na swoje wnętrze.

- Siedź, oni muszą już zaraz kończyć - powstrzymała mnie Charakteryzatorka z nadzieją. Dodam: stękającą nadzieją.

- Nie, no nie! - pracowitą ciszę przerwał nagle okrzyk Wiktora. - Wolę jednak ten podkład z efektem opalizującej opalenizny!

Co on, zwariował? Jak już nawet musi jakikolwiek nakładać, to zwykły mu nie wystarczy? Jeśli będzie tak wybrzydzał, będzie tu siedział do świętego nigdy!

- I jeszcze puder rozświetlający... - Wiktor nieustępliwie postanowił irytować mnie dalej. Co za facet jakiś, co? Jak nic, prywatnie w domu z żoną bije się o łazienkę.

- A co z fryzurą? - Znalazł sobie! Kolejny życiowy problem! - Bo ja chyba wolę, żeby grzywka była zaczesana na boki.

Szyja pulsowała mi bólem. Charakteryzatorka pojękiwała już przy każdym ruchu. A ten gamoń, który miał się stąd ulotnić już dobre pół godziny temu, ma jeszcze czelność zastanawiać się nad grzywką na boki?! Szykowałam się właśnie do jakiejś wyjątkowo celnej i złośliwej riposty, gdy od drzwi dobiegł głos Beatki. Radosny, rzeński i pełen werwy.

- Dzień dobry państwu, już siódma. Aktorzy proszeni są na plan. Gotowi? - spytała, przekonana, że jak zawsze jest to pytanie retoryczne.

- Gotowi - odpowiedziała Charakteryzatorka i wyprostowała się wreszcie z westchnieniem prawdziwej ulgi.

Ja też westchnęłam. Nadszedł ten moment, gdy mogłam zaryzykować spojrzenie w lustro.

- Idziemy? - ponagliła uprzejmie Beata.

- Jeszcze chwileczkę! Agnieszko, jeszcze trochę cienia na policzki. Lubię mieć takie uwydatnione kości.

Litości! Ten facet to naprawdę jakiś skończony kretyn!
Już bardziej przejętego sobą amanta Producent nie mógł mi
chyba znaleźć!

Rozeźlona tym faktem podniosłam się fotela i
zaryzykowałam spojrzenie w lustro.

Otworzyłam oczy.

- Mistrzostwo świata! - jęknęłam z podziwem. Z lustra zamiast zmory z kołtunem patrzyła na mnie świeża, promienna i na pewno nie nieprzytomna wersja mnie samej. Natychmiast poczułam się w obowiązku sprostac temu wygladowi. To znaczy poczuć się świeżo, promiennie i przytomnie. Pozytywne myślenie, pozytywne myślenie, pozytywne myślenie - powtarzałam sobie i radośnie zerwałam się z fotela.

- Agnieszko... bo teraz do tej grzywki to trzeba skrócić baczki... - przypomniał o sobie goguś z fotela obok, a udręczona i już znowu milcząca jak głaz Asystentka posłusznie podała mu maszynkę.

- Panie Krystianie, czekamy na pana - Beatka nie ustępowała.

Popatrzyłam... Krystian!!!

Amantem Weroniki miał być Krystian! Z wrażenia ugięły się pode mną kolana i usiadłam z powrotem na fotelu.

- Coś nie tak? - zaniepokoiła się Charakteryzatorka.

Nie tak? Ona się mnie pyta, czy nie tak?! Przed chwilą, zapewne przez jakieś zamroczenie umysłu, myślałam o Krystianie per „goguś”, „kretyn” i „gamoń”, zamiast wykorzystać ten czas, żeby go wreszcie przeprosić.

Rany! W tym momencie uderzyła mnie jeszcze gorsza myśl. Teraz może być już naprawdę za późno. Gdy tu wchodził, mógł zauważyć, że się przed nim chowam.

- Iza, chodź - powiedziała w tym momencie Beatka. O, nie! Nie mogę teraz iść sobie bez słowa!

- Dzień dobry, co się dzieje? - w tym momencie wpadł jeszcze Asystent Reżysera. - Idziemy?

- Krystian, przepraszam, ja naprawdę nic o tym nie... - zaczęłam, ale machnął tylko ręką, całkowicie pochłonięty sprawą baczeków.

- Weź Izę na próbę, ja zostanę z Krystianem, - powiedziała Beatka i w momencie, gdy Asystent wbrew woli porwał mnie hen daleko od mojego ukochanego, szpilka zazdrości zakłuła mnie w serce. Dlaczego Beatka chce zostać z Krystianem?

- No, gdzie on jest! - pieklił się Reżyser.

- Sprawa przycięcia baczków załatwiona, teraz trwa dyskusja, czy ich trochę jednak nie przyciemnić - zameldował nerwowo wysłany na rekonesans Asystent.

- Niech go szlag! Ile jeszcze ma zamiar marnować tam czasu!

No nie! Brak wyrozumiałości u Reżysera był coraz bardziej irytujący!

- Co za goguś jakiś nam się trafił, naprawdę - westchnął głęboko Operator i spojrzał ciężko na zegarek.

Tylko nie goguś, wypraszam sobie, nie goguś! Ten facet po prostu umie dbać o siebie. Ale to jasne - przez Operatora przemawia jawna zazdrość.

Wreszcie!

Po prawie trzydziestu minutach nerwowego gryzienia kostek u palców (paznokci nie mogłam - Charakteryzatorka by mnie udusiła) na planie pojawił się Krystian.

Westchnęłam z ulgą.

Nie wiem czemu, razem ze mną zrobiła to cała ekipa. Kobiety, w porządku. Ale nie spodziewałam się, że na mężczyznach jego widok też zrobi tak piorunujące wrażenie!

Jedno trzeba Krystianowi przyznać. Wyglądał naprawdę powalająco.

- Dzień dobry - powiedział do wszystkich, uśmiechnął się tak, że można było umrzeć, po czym odwrócił się i wyszedł.

- Chwileczkę! Dokąd? - poderwał się spanikowany Reżyser.

- Pani Agnieszko! - z pretensją wołał oddalający się do charakteryzacji Krystian. - Z tego pośpiechu zapomniała pani o balsamie na usta!

- No, na co czekamy? - powiedział ze zdziwieniem Krystian, gdy ponownie udało się go umiejscowić na planie. Charakteryzacja na wszelki wypadek została zamknięta na klucz. Asystentka Agnieszka z całym dostępnym asortymentem kosmetyków miała przykaz nie ruszać się zza pleców Reżysera.

Krystian stał tuż obok mnie. Tak, to był właściwy moment, abyśmy wszystko wreszcie sobie wyjaśnili.

- Krystian, naprawdę... - zaczęłam, ale skrzywił się z niesmakiem i powiedział:

- Nie teraz. - No tak. Zrozumiałam. To mi nawet zaimponowało. Ależ był pochłonięty pracą! To prawdziwy profesjonalista! - Zaczynamy? - dodał jeszcze głośno z lekkim zniecierpliwieniem i znacząco popatrzył na zegarek.

Reżyser spojrział na niego dziwnie, ale nic nie odpowiedział, tylko zaczął omawiać scenę.

- Właśnie, właśnie, bo ja tu nie rozumiem - przerwał mu od razu Krystian.

Operator westchnął. Dla odmiany teraz on popatrzył na zegarek.

- Półtorej godziny opóźnienia! - powiedział głuchym głosem, toteż spojrzałam na niego z rosnącym zniechęceniem. Tego się naprawdę nie spodziewałam. Tyle lat w zawodzie i taki brak wyrozumiałości dla pracy prawdziwego aktora. Trzeba najpierw zrozumieć, aby potem móc zagrać.

- No właśnie - kończył wyjaśniać Reżyser. - Wchodzisz do nich do firmy, tłumaczysz recepcjonistce, po co przyszedłeś, i nie zwracasz uwagi na Weronikę, bo w ogóle jej nie znasz, a tu jest mnóstwo innych osób! Właśnie, dawajcie tłum, gdzie są statyści, dawać statystów! - przypomniał sobie

Reżyser. - Tylko Weronika spogląda na ciebie. To robimy!
Akcja!

- Dzień dobry - Krystian wszedł, powiedział swoją pierwszą kwestię i utkwił we mnie swoje magnetyczne spojrzenie. Jeżusiu! Wymięklam. Tak patrzeć może tylko ktoś, kto zapomniał, wybaczył i jest otwarty na to, aby mi dać drugą szansę.

- Nie, nie! Stop! Patrzysz na recepcjonistkę, z którą rozmawiasz! Nie na Weronikę! - wtrącił się Reżyser.

O co mu chodzi? Czy ja się wtrącam w jego życie prywatne? !

- Aha, aha, no tak - zgodził się potulnie Krystian.

- To jeszcze raz. Akcja!

- Dzień dobry.

Rany! Od jego wzroku przechodzą mnie dreszcze!

- Co jest, Krystian? Dlaczego cały czas patrzysz na nią? Czy ten Reżyser jest nienormalny, czy co? Od razu widać, że to musi być miłość!

- Eee, tego. Zapomniałem - wybąkał Krystian i speszony odwrócił wzrok.

Jaki on jest wzruszająco nieśmiały. Ale z drugiej strony trudno, żeby od razu wszystkim wkoło opowiadał o rodzącym się uczuciu.

- Akcja! - zawołał więc kolejny raz trochę zmęczony już Reżyser.

- Przepraszam, bo ja tu naprawdę nie rozumiem! - przerwał Krystian, kiedy kolejny raz wszedł i pierwsze, co zrobił, to spojrzał na mnie.

- Dobrze, wytłumaczę... - westchnął ciężko Reżyser i razem ze zirytowanym Krystianem odeszli na bok.

- Dwie godziny opóźnienia - głuchym głosem, jak duch, powiedział Operator. Coraz bardziej zastanawiałam się, czy przypadkiem nie powinien pomyśleć o zmianie zawodu.

Kierowca koparki ma większą wrażliwość, a nie da się jego pracy nazwać zawodem artystycznym.

- Dobra, to zaczynamy jeszcze raz, akcja!

- Dzień dobry... Nie! Bo to nie może być tak, że Wiktor nie patrzy na Weronikę! - zaproponował Krystian.

Cóż, nie dziwne. To było silniejsze od niego!

- Ale tak musi być. Tak jest w scenariuszu - zmęczonym głosem odpowiedział Reżyser i znów panowie udali się na naradę.

- Akcja!

Po kolejnym... Ha! Według Operatora: niewypale! Według bardziej wrażliwych: ujęciu, gdy emocje wzięły górę nad Krystianem, Reżyser poszedł się naradzić tym razem z Operatorem. Mieliśmy chwilę wolną dla siebie...

- Krystian! - podeszłam do niego, aby wypowiedzieć na głos te szalejące między nami emocje.

- Tak, tak - odpowiedział z roztargnieniem w powietrze. - Gdzie tu jest herbata?

Hm. Może racja. To nie czas, aby rozmawiać o naszych intymnych sprawach.

- Dobrze, pogadamy po scenie - zgodziłam się, ciepło się uśmiechając do Krystiana.

- O czym? - zapytał naprawdę zdziwiony. Niedobrze! To znaczyło, że nie wybaczył! Nie zdążyłam jednak nic powiedzieć, bo właśnie w tym momencie z narady wrócili Reżyser z Operatorem. Akurat teraz, no niech ich diabli! Niewyrozumiali, zazdrośni, bez wrażliwości, ale żeby jeszcze bez grama wyczucia?!

- Dobra, robimy tak - zaczął Reżyser. - Iza wychodzi z planu, gramy na razie bez ciebie, potem dokręcimy, że niby widzisz go przez uchylone drzwi i może teraz nam to jakoś pójdzie - powiedział i triumfalnie rozejrzał się po ekipie.

I ty, Brutusie!

Łypnęłam na Operatora złowrogo. Wiedziałam, że nie podoba mu się to magiczne porozumienia między mną i Krystianem, ale żeby aż tak intrygować z zazdrości? Przecież on ma ponad sześćdziesiąt lat!

- Co za drewno, trzy i pół godziny opóźnienia! - powiedział do siebie Operator, gdy z powrotem zawołali mnie na plan. Tym razem nie zwróciłam jednak na niego żadnej uwagi. Krystian już wychodził do domu!

- Poczekaj - zawołałam go w ostatniej chwili. - Teraz już nie pogadamy, daj mi swój telefon!

Zatrzymał się i rozejrzał, wyraźnie spłoszony.

- Tego... Spieszę się... - powiedział szybko niepewnym głosem, gdy ja szukałam czegoś do pisania. Cholera! Swój telefon zostawiłam w garderobie, a przy sobie nie miałam ani skrawka papieru!

- Poczekaj! - rzuciłam więc przez ramię, bo kątem oka dostrzegłam przechodzącą niedaleko Beatkę. - Coś do pisania, szybko! - zawołałam do niej dzikim głosem. Na szczęście ten okrzyk natychmiast zatrzymał ją w miejscu i nerwowo zaczęła przeszukiwać kieszenie.

- Nie ma potrzeby - Krystian jednak postanowił wykorzystać moment. - Spieszę się, lecę, ja do ciebie zadzwonię!

- Koniecznie... - powiedziałam cicho do jego niknących w oddali pleców.

Nie bój się udawać

- Ale zadzwoni! Powiedział, że zadzwoni! - tym optymistycznym akcentem zakończyłam zdawanie szczegółowej relacji Haneczce i ponieważ zaschło mi już w ustach, napiłam się wina. Mogłam sobie na to pozwolić. Następnego dnia miałam wolne. I kolejnego też. I kolejnego, i jeszcze kolejnego. Tak. Zaczęła się dwutygodniowa przerwa w zdjęciach! Nie mogłam się tego doczekać. Wolne! Wreszcie wolne!

Relatywnie wolne - skorygowałam od razu w myślach, bo przypominałam sobie o harmonogramie nowych obowiązków precyzyjnie wypisanym w kalendarzu na biurku. Wywiady, kwesty, spotkania z dziećmi, bankiety... Przytłoczyło mnie to wspomnienie.

Ale przynajmniej nie będę musiała zrywać się bladym świtem z łóżka! - znalazłam jasną stronę tego w nowy sposób rozumianego „wolnego” i to mnie trochę pocieszyło. Dzięki temu udało mi się oderwać od ponurych myśli i dolałam Haneczce wina. Przyjechała do mnie, gdy tylko po zdjęciach wróciłam do domu. Stwierdziła, że to jedyny moment, kiedy jeszcze nie będę spała ani nie będę znów zajęta, i nie ma najmniejszego zamiaru go przegapić.

- Hm... - Mój ruch wyrwał ją z zamyślenia. Myślałam, że postanowiła treściwie zareagować na to, co przed chwilą opowiedziałam. Ale „hm” to było wszystko, bo znów popadła w głębokie zamyślenie.

Wyjątkowo jej małomówność w ogóle mi nie przeszkadzała. Nawet jakby odwrotnie: była mi na rękę. Dzięki niej, swobodnie unoszona cabernetem, mogłam w spokoju oddawać się marzeniom o Krystianie. Zadzwoni! On do mnie zadzwoni!

- Słuchaj... - odezwała się wreszcie Haneczka pełnym namysłu głosem. - A nie myślałaś... hm... nie wydaje ci się... tego... że on cię po prostu unika...?

- Unika? - powtórzyłam za nią automatycznie, nawet nie wiedząc do końca, co mówię. Jak mogłam wiedzieć? Brutalnie wyrwała mnie z marzeń, w których z Krystianem właśnie wychodziliśmy na spacer z piątką naszych prześlicznych dzieci!

Właśnie, dzieci. Czy on ma jakieś dzieci?

- No tak, unika - potwierdziła Haneczka pewniejszym głosem. - Zbywał cię. Nie miał czasu porozmawiać - wyjaśniała monotonicznie.

- Niemożliwe - zaprzeczyłam kategorycznie. - Tak by przecież na mnie nie patrzył! No i powiedział, że zadzwoni.

- Ale nie dał ci swojego numeru telefonu - ten argument Haneczka odbiła błyskawicznie. Zdecydowanie wolałam, jak była pełna namysłu.

- Spieszył się - stanęłam w jego obronie.

- Spieszył? - Haneczka popatrzyła na mnie krytycznie. - Jaki facet spieszy się tak bardzo, że nie ma czasu poczarować trochę interesującej go kobiety?

Hm. Do licha, faktycznie.

- Nieśmiały? - zaryzykowałam.

- Nieśmiały! - prychnęła Haneczka wzgardliwie. - Było widać na bankiecie, jaki on jest nieśmiały. I cała Polska mogła obejrzeć w gazecie, jak bardzo nieśmiały był pod twoim domem!

- To co innego - odparłam szybko. Ale prawda była taka, że sama bardzo chciałam w to wierzyć.

- Iza - spytała mnie na koniec Haneczka. - A on w ogóle wziął od ciebie numer twojego telefonu?

Nie.

Nie wziął.

Poza tym nie miał ochoty porozmawiać. Nie dał mi swojego numeru. I nagle na koniec tak potwornie się spieszył.

Nie, to niemożliwe, aby mnie unikał! Przecież by się tak nie patrzył, no i nie powiedziałby, że zadzwoni!

Nadzieja walczyła we mnie niczym lwica, ale ziarno zostało zasiane.

Czyżby faktycznie mnie unikał?

W końcu nie byłoby to takie dziwne. Mógł się zrazić, miał ku temu wszelkie możliwe powody.

Trudno. Nie mam wyjścia.

Nawet jeśli się zraził, nawet jeśli mnie unika, coś między nami zaiskrzyło i po prostu drugi raz będę musiała go zdobyć. Postanowiłam, ale nie zwierzyłam się już z tego Haneczce.

Wolne!

Z tą radosną myślą obudziłam się rano i spojrzałam na zegarek.

Piąta. Ach! Cóż za dzika satysfakcja! Nie muszę nigdzie się zrywać, z szalonym pośpiechem myć i ubierać, bo za pół godziny przyjedzie samochód! Wręcz przeciwnie. Oto z całkowitym spokojem, proszę, odwracam się na drugi bok, zamykam oczy i mogę upajać się snem co najmniej do jedenastej.

Mam wolne! Absolutnie wolne!

No, prawie, skorygowałam szybciotko.

Po południu tylko jeden wywiad, potem czytanie w bibliotece, a wieczorem bankiet z okazji promocji jakiejś płyty.

Nie wiedziałam co prawda jakiej, ale intuicja podpowiadała mi, że nie to jest akurat istotne. Jeśli chodzi o bankiet najważniejsze było nawet nie to, że się odbędzie. O wiele bardziej liczyło się, aby informacja o nim ukazała się w jak największej liczbie gazet. Jeżeli pojawiła się w rubryce towarzyskiej każdego liczącego się pisma i na dodatek były na

nim obecne ze dwie telewizje, wtedy mieliśmy do czynienia z imprezą roku. Jeśli natomiast króciutka wzmianka była jedynie w trzech podrzędnych brukowcach, to oznaczało kompletną klapę. Nie wolno było nawet wspominać, że się na takim bankiecie było!

Dlatego organizatorzy stawali na głowie, aby zapewnić swojej imprezie prasę. Oczywiście sposób był jeden. Ściągnąć jak największą liczbę sław.

Sławy można zwabiać na wiele różnych sposobów. Generalnie namawianie trzeba zacząć od tego, że będą tam wszystkie inne sławy. Jest szansa, że wtedy te pozostałe pozazdroszczą i też się zjawią. Ale to mała szansa, więc organizatorzy często proszą i błagają, odwołując się do wyższych uczuć moralnych, przede wszystkim litości. Jeśli to nie działa, szantażują, że wyskoczą z czternastego piętra i wtedy sława będzie miała na sumieniu ich piątkę nieletnich dzieci. Jednak sławy nie dlatego zostały sławami, że dają się złapać na takie numery. Czasem organizator, trzymając się już tylko jedną ręką krawędzi dachu, zdaje sobie sprawę, że trzeba sięgnąć do ostatecznych argumentów. Pozostaje ściągnąć sławę na imprezę siłą. Niekiedy wystarczą tylko anonimy grożące zdradzeniem najtajniejszych upodobań. Sharon Stone podobno ugięła się, gdy w anonimie zagrożono, że zdradzi się jej wielką słabość do lodów truskawkowych. Jednak są sławy mniej wrażliwe albo o tak spartańskim charakterze, że nie mają żadnych słabości. W tym wypadku organizator musi mieć wśród personelu co najmniej ośmiu groźnie wyglądających osiłków i jeden mocny worek. Worek nie musi być duży, sławy zazwyczaj są anorektyczne.

Sławom zależy na sławie, i owszem. Zdjęcie w gazecie z imprezy roku to walor, jakim żadna sława nie pogardzi. Umówmy się - w rubryce towarzyskiej daje się góra pięć czy sześć zdjęć. Znaleźć się na jednym z nich przed co najmniej

setką innych sław znaczy, że w hierarchii VIP - ów jest się bardzo wysoko. Aby jednak tak się stało, redaktorzy gazet nie mogą być znudzeni wizerunkiem sławy pętającej się na każdej, pierwszej lepszej imprezie. Interesująca sława musi być przede wszystkim nieosiągalna. Dlatego sławy wybierają Grymaszą. Sondują. Pójść tu czy gdzie indziej. Impreza będzie klapą czy wręcz przeciwnie - hitem sezonu...

Intuicja podpowiadała mi, że premiera płyty będzie hitem. Potwierdzały to plotki.

Skoro tak, była szansa, że pojawi się tam również Krystian.

Dlatego, niby przypadkiem, musiałam się tam zjawić.

W tej sytuacji informacja, jaka to będzie płyta, naprawdę była zbędna.

Tymczasem błogi nastrój ustępował powoli miejsca irytacji.

Upojny sen nie nadchodził, zegarek z uporem maniaka cały czas wskazywał piątą, a ja za diabła nie miałam pojęcia, co mam w takim razie ze sobą zrobić. Nie zasnę już, to pewne. Organizm całą mocą wskazywał, że jest zwarty i gotowy do podjęcia trudów i obowiązków nowego dnia.

Pięknie. Tylko że trudy i obowiązki nie były na coś takiego zupełnie przygotowane. W naiwności wierzyłam, że będę spać do jedenastej. Cóż za lekkomyślność, że nie umówiłam się na ten wywiad koło szóstej rano.

Niech go szlag! - pomyślałam o Producentcie. Zmienił mi osobowość! Kto by pomyślał, że jeszcze niedawno biłam się w piersi, że sama z własnej woli nigdy nie oglądałam żadnego bladego świtu!

Podeszłam do okna.

Hm. Nie jest blade. Kto by pomyślał!

*

Pan Henryk znów nie mógł spać tej nocy. Przekonanie, że coś przegapił, nie dawało mu spokoju do tego stopnia, że obudził się niepotrzebnie co najmniej godzinę przed czasem. Nierządnicą z góry nie wychodziła nigdy przed 5.30, udało mu się to ustalić z całkowitą pewnością. Przed tą godziną inni sąsiedzi też nigdy się nie ruszali, nie było więc sensu zajmować stanowiska przy oknie. Niemniej jednak pan Henryk z przyzwyczajenia usadowił się w swoim ulubionym fotelu. „Przynajmniej w spokoju zrobię porządek w notatkach”, pomyślał i w skupieniu zaczął podkreślać ważniejsze wydarzenia i daty. Nagle od tego zajęcia oderwało go trzaśnięcie bramy.

„Co się dzieje? - zdziwił się. - Wychodzi, zanim przyjechał samochód?”

Spojrzał przez okno, ale wbrew oczekiwaniom nie zobaczył Nierządnicy, tylko zupełnie inną osobę.

- Dziwne - pomyślał. - A co tu robi o tej porze? Ma klucze?

Masz chandrę? No i co z tego!

Gapiąc się na świt, zauważyłam nagle jakąś osobę wychodzącą z naszej klatki. Ciekawe, co za biedak musi tak wcześnie wychodzić! - zainteresowałam się i już nawet chciałam otworzyć okno, aby trochę się wychylić i lepiej zobaczyć.

O, nie! - powstrzymałam się w ostatniej chwili. Nie będę przecież zabawiać się w tego wścibskiego sąsiada z dołu!

Tym bardziej że miałam inny problem.

Nie znałam miasta. Mimo że mieszkałam tu tyle miesięcy, nie miałam zielonego pojęcia, jak się po nim przemieszczać.

Najpierw wszędzie jeździła ze mną Haneczka. Nieczęsto - rzadko kiedy odrywałam się od adresowania kopert.

Potem już woził mnie Pawełek. Jeździłam z nim prawie codziennie i być może powinnam się na tyle napatrzeć, aby się czegokolwiek nauczyć. Prawda jednak była taka, że zwykle, gdy wsiadałam do samochodu, to albo jeszcze, albo już spałam i na otoczenie nie zwracałam najmniejszej uwagi.

Zresztą z moją orientacją w terenie to nawet przyklepiona do szyby nie wiedziałabym, jak wrócić do domu po pokonaniu czterech zakrętów.

W moje dni wolne Pawełek niestety też miał wolne. W każdym razie - wolne ode mnie.

Taksówki też odpadały.

Raz beztrąsko zamówiłam taksówkę i prawie dostałam zawału serca, gdy zobaczyłam rachunek po przejechaniu - okazało się - niecałego kilometra! Przy tej liczbie spotkań musiałabym grać nie w jednym, a w czterech serialach!

Cholera.

To znaczyło, że przez cały czas (prawie) wolny nie powinnam ruszać się z domu, o ile chcę jeszcze kiedykolwiek do niego wrócić. Hm. Głupio się tylko złożyło, że już

zdażyłam się z tyloma osobami w tylu różnych miejscach poumawiać!

Byłam zdana tylko na siebie.

I na komunikację miejską.

Wyjeżdżając z Krosna, stanowczo odmówiłam zabrania samochodu. Owszem, miałam prawo jazdy. Lubiłam jeździć i robiłam to świetnie. Z tym, że to „świetnie” tyczyło się z całą pewnością krośnieńskich warunków i okolic. Tam korek to było siedem samochodów spokojnie stojących na światłach, a niebezpieczna sytuacja zdarzała się wtedy, gdy gdzieś za miastem krowa zerwała się łańcucha i włązała na drogę. W Warszawie nie ma krów. Za to są miliardy trąbiących, wciskających się albo jeszcze gorzej - niepuszczających nikogo samochodów z kierowcami, którzy dostają szału, gdy jedzie się wolniej niż osiemdziesiąt na godzinę. Przysięgam, nie ma szans jechać szybciej, gdy się nie wie, dokąd właściwie dana droga prowadzi i w którą tak naprawdę powinno się skrócić! W życiu nie będę tu jeździć samochodem, póki na wyrywki nie będę znać tego miasta! Tak aby z pełną prędkością móc pokonać każdy zakręt!

- Nienormalna jesteś! - powiedziała mi przed moim przyjazdem do Warszawy Haneczka. - Koniecznie musisz wziąć samochód, tutejsze autobusy są nie do wytrzymania!

Może i miała rację, jednak byłam nieugięta. Jeżdżąc z Pawełkiem, gratulowałam sobie tej decyzji za każdym razem, kiedy tylko udało mi się cało wysiąść z jego samochodu!

Niemniej jednak teraz musiałam usiąść z planem miasta, wydrukowanymi z internetu rozpiskami tras wszelkich możliwych autobusów i notatnikiem, aby jakoś się w tym wszystkim połapać.

Całe szczęście, że wstałam tak wcześnie!

Trzy godziny później wiedziałam już dokładnie, gdzie mieszkam, jakie autobusy tu kursują i mniej więcej, gdzie

jadą. Mgliste pojęcie miałam o tym, gdzie i w co muszę się przesiąść, aby gdzieś trafić, ale byłam pełna wiary i optymizmu i postanowiłam natychmiast przetestować efekty moich intelektualnych zmagania. Natychmiast, od razu musiałam gdzieś pojechać!

Nie ma co. Dobrze zrobiłam! Kocham jazdę autobusem! Nikt nigdy mnie nie namówi, abym przesiadła się do samochodu!

Sława jest taka cudowna! Dziś na przystanku uśmiechnęła się do mnie jedna osoba. Chyba mnie rozpoznała? Nie mogę się doczekać, aż dam swój pierwszy, niewymuszony przez sklepową autograf!

Kocham ludzi! Uśmiechają się do mnie, a dziś nawet jakaś pani powiedziała, że jestem strasznie podobna do jednej aktorki. Nie zdążyłam jej odpowiedzieć, że to właśnie ja, bo akurat nadjechał jej autobus. Szkoda! Byłam tak blisko pierwszego autografu!

Dopiero teraz odkrywam prawdziwe uroki komunikacji miejskiej!

W autobusie zaczepiły mnie trzy gimnazjalistki i poprosiły o autograf. Nie rozumiem, jak ci, którzy są popularni, mogą unikać zwyczajnych ludzi? Przecież to takie miłe!

Serce aż ścisnęło mi się ze wzruszenia. Mała dziewczynka poprosiła mnie o autograf, a gdy pisałam dedykację („dla urokliwej Uli”), wyrecytowała mi wierszyk, którego nauczyła się dziś w przedszkolu! Wcześniej nigdy nic podobnego mnie nie spotkało. Uwielbiam dzieci!

Zaczynam się chyba przyzwyczajać. Kolejne gimnazjalistki i kolejne autografy. Nie wiem tylko dlaczego dziewczynki w tym wieku muszą tak głośno chichotać.

Czy wszyscy, którzy chodzą do gimnazjum, muszą oglądać mój serial? Mam wrażenie, że autografami

obdarowałam już połowę młodzieży w tym mieście. Od chichotu pęka mi głowa.

Czy ci gówniarze nie mają żadnych zajęć, że się tak pętają po całym mieście? Leźli za mną od sklepu do sklepu. To takie deprymujące, że w końcu nic nie kupiłam, tylko uciekłam na przystanek. Przez chwilę bałam się, że pojedą za mną do domu, ale dałam im po autografie i na szczęście się odczepili.

Wiem już, gdzie są rozmieszczone najbliższe szkoły w okolicy. Będę je omijać szerokim łukiem i może gówniarze się ode mnie odczepią. Naprawdę zastanawiam się, czy rodzice nie mogą pilnować swoich cholernych dzieci?

Dupa! Wyczuwają mnie na odległość! Czekałam na autobus dwa przystanki od szkoły, ale i tak mnie tam dorwali! Otoczyli mnie taką gromadą, że uciekłam mi przez nich autobus. Na następny czekałam dwadzieścia minut. Dobrze było chociaż to, że zaczął lać taki deszcz, że żaden dzieciak nie zjawił się na ulicy.

Jestem totalnie przeziębiona. Tamten deszcz mnie tak załatwił. Znów uciekłam mi autobus, ale może przynajmniej ten cholerny gówniarz zapamięta sobie raz na zawsze, żeby na ulicy nie zaczepiać obcych ludzi.

Mam dość! Nienawidzę komunikacji miejskiej. Ludzie w autobusie gapią się na mnie przez cały czas. Nie mogę nawet wysmarkać nosa, żeby zaraz pięć osób tego nie skomentowało. Mam ochotę ich pozabijać!

Jeden dzieciak wziął ode mnie aż jedenaście autografów. Obok stała matka i przypominała mu, komu może jeszcze zrobić prezent. Czy ci cholerni rodzice nie mogliby dać swoim dzieciom chociaż trochę wolności?

Chcę mój samochód!

Z tym postanowieniem gwałtownie zapakowałam się do autobusu.

Wszystkiego miałam już powyżej uszu. Gimnazjalistów, autobusów i korków na pierwszym miejscu, ale zaraz za tym plasowała się cała reszta. Wywiady, na których zawsze, niezmiennie odpowiadam na te same pytania. Sesje zdjęciowe, po których bolą wszystkie mięśnie. Dziennikarze, naburmuszone panie w bibliotekach, budziki, kwesty, noce, które są za krótkie, bankiety, które są nudne i na których nie udało mi się jeszcze spotkać Krystiana...

- Jestem chora - wyżaliłam się Haneczce znękany głosem. - Nie mam na nic siły, wyjeżdżam jutro do domu.

- Bardzo dobrze - odpowiedziała. - Przynajmniej tam odpoczniesz.

Parsknęłam śmiechem. Dobry żart, odpocznę! Nie jechałam tam odpocząć. Jechałam tylko dlatego, że mama obiecała tysiącom osób, że powręczam jakieś nagrody, udzielię wywiadów i coś tam jeszcze, tak że zapowiadała mi się wizyta pełna zajęć!

Własna matka! Taki cios w plecy!

- Jak nie przyjedziesz, urwę ci głowę - powiedziała stanowczo, kiedy zadzwoniłam poinformować, że tym razem naprawdę nie dam rady przyjechać do domu.

- A jak przyjadę, umrę z wyczerpania! - odpowiedziałam słabym głosem. - Zresztą będę mogła przyjechać jednego dnia pod wieczór i będę musiała wyjechać następnego po południu.

- Wystarczy - zawyrokowała mama. - Nic się nie martw, ja wszystkim się zajmę. Do zobaczenia, w takim razie wszystko postanowione.

Nie było dyskusji. Dlatego jechałam. Pocieszało mnie jedynie to, że z powrotem będę już przynajmniej samochodem. Adieu, autobusy!

Ostatni raz! - pomyślałam z nienawistną satysfakcją, lustrując pospiesznie pekaes. Na szczęście było w nim jeszcze mało osób. Dzięki temu bez problemu mogłam zająć jakieś

dyskretne miejsce z tyłu bez obawy, że zaraz zrobi się wokół mnie zbiegowisko!

Usiadłam. Zamaskowałam się czapką z daszkiem, kapturem i rozłożoną gazetą. No. Tak mogę jechać. Jeszcze tylko pięć godzin i będzie po problemie.

Byłam ledwo żywa nie tylko powodu grypy, która - jak przypuszczałam - właśnie mnie łąpała. Miałam wrażenie, że poprzedniego dnia zrobiłam coś wyjątkowo głupiego.

Zaraz, zaraz. Jak to się zaczęło?

Aha:

- Nie mam na nic siły, wyjeżdżam jutro do domu - powiedziałam pod wieczór do Haneczki zbolalym głosem.

- Bardzo dobrze. Przynajmniej tam odpoczniesz - odpowiedziała. - Teraz się zbieraj, bo za godzinę po ciebie przyjadę.

- Po co?! - spytałam lekko spanikowana. Planowałam przyjemny wieczór w domu! Jakimś cudem udało mi się wrócić przed ósmą, miałam szczerzy zamiar zalec na kanapie z pilotem od telewizora i tępo wpatrywać się w ekran! O ile oczywiście uda mi się go włączyć. Tyle czasu tego nie robiłam, że nie byłam pewna, czy już nie zapomniałam, w jaki sposób trzeba się do tego zabrać. Na pewno nie chciałam nigdzie musieć się zbierać!

- No, jak to? - zareagowała Haneczka z wyrzutem. - Jest impreza urodzinowa u Maćka! Zapomniałaś?!

Tak. Zapomniałam! A miało być tak przyjemnie!

- Nie no, coś ty... - powiedziałam jednak, siląc się na ekscytację. - Tak tylko żartowałam. Już się zbieram, ale to ja wpadnę po ciebie, będzie bardziej po drodze... - zakończyłam i z bólem spojrzałam na pilota. Nic z tego.

Bankiety?! Obowiązkowo!

- Robię małą imprezę z okazji moich urodzin, wpadniesz?
- spytał mnie Maciek jakiś czas temu.

- Jasne, oczywiście! - odpowiedziałam natychmiast, bo poza wszystkimi moimi zachwykami nad Maćkiem, doskonale pamiętałam, ile czasu poświęcił na moją umowę do serialu. Byłam mu nieskończenie wdzięczna i o cokolwiek by mnie poprosił, zgodziłabym się natychmiast. W gruncie rzeczy miałam kupę szczęścia, że nie poprosił mnie o przeschumowanie broni do któregoś z państw Afryki. Ale nie ukrywam: ostatnią rzeczą, na którą teraz miałam ochotę, to jeszcze jakieś imprezy!

- Coś ty, będzie fajnie! - przekonywała mnie Haneczka. - Będzie kameralnie, same zaprzyjaźnione osoby, pośmiejemy się, pogadamy...

Fakt. Na tym przeważnie polegają imprezy. Wszyscy siedzą i gadają ze wszystkimi lub tańczą i gadają wtedy tylko z jedną osobą, upijają się piwem i nie tylko, zapychają chipsami, których normalnie w życiu by nie dotknęli, i są tym wszystkim potwornie zachwyceni. Po czym następnego dnia budzą się z gigantycznym kacem i zgagą, ale natychmiast zaczynają opowiadać wszystkim dookoła (ze szczególnym uwzględnieniem tych, których tam akurat nie było), jak świetnie się bawili.

Uświadomiłam to sobie, westchnęłam ciężko, zapakowałam kupiony na szczęście wcześniej urodzinowy prezent i po drodze zgarniając Haneczkę, 'dotarłam na imprezę do Maćka.

Byłyśmy lekko spóźnione. W każdym razie - dużo bardziej niż wszyscy inni, bo gdy weszłyśmy do środka, pozostali goście już tam byli. Złożyłam Maćkowi życzenia, dałam mu prezent i nie czekając na Haneczkę, aż zrobi to samo, od razu poszłam do salonu.

- Cześć! - rzuciłam w progu, usiłując przekrzyknąć dziesięć osób, które przy głośno włączonej muzyce wydzierały się do siebie, prowadząc zwyczajowe konwersacje. Nie liczyłam na to, że mnie usłyszą, moje doświadczenia z podobnych okazji wskazywały raczej na to, że nikt nawet nie zwróci uwagi na moje wejście, „cześć” powiedziałam tylko z przyzwyczajenia.

Ale usłyszeli.

Poznałam to po tym, że nagle zapadła cisza.

Dziesięć osób, bez reszty pochłoniętych przed chwilą własnymi krzykami, stało teraz w kompletnym milczeniu i wpatrywało się we mnie z napiętą uwagą. Dziesięć obcych osób, dodam, chociaż wtedy w niczym mi to nie przeszkadzało. Oprócz Haneczki i Maćka nie znałam nikogo.

- Tego, to jest Iza - przedstawił mnie Maciek. - A to moi znajomi... Ze studiów i z pracy... - przedstawił wszystkich za jednym zamachem.

Cisza trwała. Powoli zaczynałam się czuć lekko nieswojo.

- Siadaj, siadaj wygodnie! - na szczęście przerwała ją jakaś litościwa dziewczyna, która czuła się tu jak pani domu. Przyjrzałam się jej dokładanie. No, tak. Nie dziwne, że Maciek nie zwracał na mnie uwagi! Ona była naprawdę śliczna. - Może tutaj? - wepchnęła mnie na środek kanapy, a ponieważ dalej nikt nic nie mówił, usiadłam.

Wtedy jak na komendę usiedli wszyscy.

Jak miło. Teraz patrzyliśmy na siebie w milczeniu przynajmniej z pozycji siedzącej.

Nie wiem jak u nich, ale u mnie niewiele się zmieniło. Cały czas czułam się lekko nieswojo, z tendencją do zamiany "lekko" na „trochę bardziej”.

- Czego się napijesz? - Pani Domu usiłowała chyba rozładować atmosferę, ale nie za bardzo jej wyszło, bo

spowodowała tylko to, że zebrani w oczekiwaniu wstrzymali oddech.

- Jest jakiś sok? - spytałam niepewnie, a wszyscy gwałtownie wciągnęli powietrze.

- Sok! Gwiazda pija sok! - powiedział ktoś z tyłu, ale nie dostrzegłam kto, bo było ciemno, a poza tym siedział chyba za czyimiś plecami.

- Co porabiasz? - spytał dla odmiany jakiś facet siedzący z boku. Pani Domu poszła do kuchni, gdzie gawędzili Maciek z Haneczką.

- Pracuję - odpowiedziałam wymijająco, ale nie dał się zbyć i naciskał dalej.

- Ale gdzie? - powiedział z dużą nonszalancją, jak gdyby nigdy nic i naprawdę. Nabrałabym się na to, że nie wie, gdyby nie czerwony dym, który od tego kłamstwa kłębamii wychodził mu z uszu. Jednak zebrani znów wstrzymali oddechy. Nie chciałam mieć na sumieniu dziesięciu śmiertelnych zejść spowodowanych brakiem tlenu, toteż szeptem, najciszej, jak się dało, odpowiedziałam:

- W serialu... - Nie usłyszeli. Nie było takiej możliwości! I już dużo głośniejszym głosem, zanim wybrzmiała ostatnia sylaba, zripostowałam: - A ty?

Za późno. Facet udał, że to do niego nie dotarło, natomiast razem z resztą zaczął się bawić w „tysiąc pytań do”. Nie muszę chyba dodawać, że byłam ich jedyną ofiarą.

Jednak nie to było najgorsze. Czułam się tak jak ekran telewizora z włączonym teleturniejem, przed którym widzowie bez najmniejszego skrepowania komentują odpowiedzi uczestnika.

- A w czasie wolnym co robisz? - spytała czarnowłosa dziewczyna w okularach siedząca naprzeciwko. Nie wyglądała najlepiej. Tłuste długie włosy nachodziły wstętnie na okulary. Okulary zaś miała takie, że nawet moja babcia uznałaby, że od

wieków są demode i za nic by ich nie włożyła. Pomyślałam, że musi to być jakaś potwornie biedna, zakompleksiona dziewczyna i że na jej miejscu również miałabym tysiące kompleksów. Z tym że mimo wszystko umyłam głowę.

- Śpię. - Była to najszczęśliwsza prawda, ale wywołała jedynie parsknięcia pełne złośliwego politowania. Zirykowało mnie to, więc ciągnęłam dalej usprawiedliwiająco: - To ciężka praca...

- Jak każda... - filozoficznie dodał ten Kolo z boku.

- Ciężka? - wzgardliwie wydeła usteczka Pani Domu, która wróciła właśnie z kontrolnej wizytacji w kuchni. - Co w tym ciężkiego? Przechadzasz się przed kamerami, recytując kwestie, których nawet nie musisz wymyślać, a wokół ciebie na każde skinienie czekają ze cztery osoby, żeby tylko przynieść ci herbatę. Jak ci się znudzi, idziesz do swojej superluksusowej przyczepy, a jak masz dość, po prostu jedziesz do domu!

Oj, naoglądała się kobieta filmów amerykańskich, naoglądała...

- Niby tak. Ale musisz cały czas świetnie wyglądać... - Czarna w okularach zaczęła mnie bronić. Nic dziwnego. Z jej punktu widzenia musiał być to niewątpliwie gigantyczny problem! - No i musisz się uczyć tego wszystkiego na pamięć.

- Tak jak my przepisów - odparowała jej natychmiast Pani Domu. - Z tym że my nie mamy prompterów z podpowiedziami, a oni mają to poustawiane na każdym kroku. Teraz aktorzy mogą się nie uczyć ani słowa przez całe życie - mówiła to tak autorytatywnie, jakby na planie spędziła nie wiadomo ile lat! Słuchając jej, zaczynałam wierzyć w każde słowo i niemal potakiwać, że tak, tak jest, na pewno!

Hm. Nawet byłam skłonna uwierzyć, że korzystam z prompterów, chociaż nigdy żadnego nie widziałam. Chyba że za prompter można uznać te kartki z kwestiami, które starsi

aktorzy przyklepiają plastrem w każdym możliwym miejscu i o które co chwila są awantury, bo włączają w kamerę podczas ujęcia.

- No to dlaczego jest w takim razie ciężka? - spytał ryżawy z bródką, który siedział obok Czarnej w okularach.

- Eee... - zająknęłam się. Faktycznie, dlaczego? Pani Domu już mnie przecież zdążyła przekonać, że wcale nie jest! W każdym razie dała radę na tyle namieszać mi w głowie, że dłuższą chwilę zastanawiałam się, co odpowiedzieć.

- Trwa długo i... eee... - przypominałam sobie wreszcie z trudem, ale akurat doleciały nas czyjeś głosy z progu.

- Tak, zdecydowanie, aktoreczki to takie bezmyślne idiotki... - Nie wiedziałam, czyje to słowa. Nie Pani Domu, bo siedziała obok, i to nawet mnie trochę zdziwiło. Wszyscy udali, że nic nie usłyszeli. W związku z tym ja też udałam i pragnąc zapaść się pod ziemię, ciągnęłam z wysiłkiem:

- I eee... trzeba rano wstawać... albo pracuje się w nocy...
- Wiedziałam, że brzmi to bardzo żałośnie. Też bym parsknęła, gdybym usłyszała to z ust jakiejś aktorki, zanim zaczęłam pracować w tym zawodzie.

- No tak. Faktycznie. To bardzo ciężkie - powiedział ten obok, nabijając się ze mnie już całkiem jawnie.

- Oj, te ranne wstawania muszą być nie do zniesienia! - natychmiast pociągnęła temat Pani Domu z wyraźnym dwuznacznym uśmiechem. I stało się. Już do końca tej nieszczęsnej imprezy wszystko, co powiedziałam, łącznie z pytaniem „gdzie jest łazienka”, traktowali dokładnie tak samo!

- Wracam do domu. - Stratowana psychicznie dopadłam Haneczkę, kątem oka zauważając, że jakieś dwie niunie śmieją się właśnie z mojego ubioru. Czego się spodziewały? Że przyjdę tutaj w sukni od Diora?!

- Coś ty! - Haneczka odpowiedziała z przestraczeniem. - Maćkowi będzie przykro, nie minęła nawet godzina!

- Co jest? - Maćkowi właśnie na sekundę udało się oderwać od Pani Domu.

- Nic, nic, jest świetnie! - odpowiedziała Haneczka i kopnęła mnie w kostkę, żebym przypadkiem nie powiedziała czegoś innego.

- Naprawdę świetnie! - posłusznie więc dodałam od siebie, ale Maciek chyba nie usłyszał. Pani Domu dorwała go ponownie i zakaprysiła, że teraz to ona chciałaby potańczyć.

- Jeszcze godzina! - rzuciła mi Haneczka przez zęby. - Muszę tu być, niektórzy z nich współpracują z moją firmą!

Nie zdążyłam jednak spytać, którzy, bo w tym momencie do Haneczki podszedł Kolo z Ryżym i zaczęli omawiać sprawę sprzedaży domu na przedmieściach.

Usunęłam się znów dyskretnie na kanapę. Wbiłam się w kąt i odliczając minuty, zaczęłam żałować, że nikt nie wynalazł jeszcze wehikułu czasu.

- Nie przejmuj się. - Nieoczekiwanie usiadła obok mnie Czarna w okularach i podała mi kieliszek wina. - Też kiedyś nie miałam życia, byłam modelką - powiedziała pocieszająco, więc spojrzałam na nią z większą sympatią. - Tylko że na mnie nie patrzyli tak, jakbym cały czas pozostawała na ekranie telewizora. Za to mówili wolno, wypowiadając sylaby, bo byli przekonani, że inaczej w życiu ich nie zrozumie.

Pokiwałam głową z przekonaniem.

- I co? - zaciekałam się.

- Nic - odpowiedziała Czarna. - Nie za dobrze mi szło jako modelce, więc zrezygnowałam z tego, zaczęłam fatalnie się ubierać, nosić okulary i przetłuszczone włosy i jakoś zapomnieli.

Westchnęłam ciężko. I dolałam nam wina.

Haneczka cały czas gadała z Kołem i Ryżym. Na Maćku uwiesiła się Pani Domu. Ja z Czarną miałyśmy za to pod dostatkiem wina. I gadało nam się coraz lepiej.

- I cały czas to uczucie, że musisz strasznie uważać, bo wszyscy uważnie cię obserwują i natychmiast komentują każdy twój gest i każde twoje słowo.

- Właśnie, właśnie! - potwierdziłam z wypiekami na twarzy. - Cały czas te ograniczenia! Żadnego poczucia wolności!

Czas mijał. Wina ubywało.

- Tak nie da się żyć! - powiedziałam wreszcie. Czarna przyklasnęła mi natychmiast radośnie.

- No pewnie! Potem z tego są wrzody, depresje i klimakterium nie do zniesienia!

O, nie. Żadnego klimakterium, wrzodów ani depresji na pewno sobie nie życzyłam.

- Zróbmy coś z tym! - zażądałam. - Zróbmy coś z tym, natychmiast!

- Wyzwólmy się! - krzyknęła Czarna, zrywając się z kanapy. - Zerwijmy okowy społeczne! Drobnomieszczańskim konwenansom powiedzmy nie!

Hm. Potem chyba zaczęłyśmy płasnąć coś na kształt tańca wolności.

A na koniec, nie wiem, jakim cudem, złamał się pod nami stolik do kawy stojący koło kanapy.

Słuchaj innych bardzo uważnie

Wreszcie pekaes ruszył. Miałam szczęście. Widać czapeczka z kapturem nie wzbudziły takiego zaufania, żeby ktokolwiek zdecydował się koło mnie usiąść, dlatego miejsce obok pozostało puste. Dobrze, bo zrobiło mi się gorąco. Odchyliłam trochę kaptur. Uff, lepiej.

Poczułam głód..

Wyjrzałam dyskretnie zza gazety.

Spokój. Wszyscy wyglądali na wystarczająco zajętych swoimi sprawami.

Na próbę odłożyłam gazetę.

Nic. Nikt na to nie zwrócił uwagi.

Odetchnęłam więc z całkowitym spokojem, wyjęłam jabłko i całkiem zadowolona, wbiłam w nie zęby.

- Ja panią znam - usłyszałam i natychmiast stało się dla mnie jasne, jakim cudem Królowna Śnieżka mogła się nim udławić.

- Khe? - odkrztusiłam jabłko, dzięki czemu uratowałam sobie życie, i pytająco spojrzałam na starszą panią siedzącą w rzędzie obok. Odpowiedziała mi spojrzeniem, po czym rozejrzała się wokół konspiracyjnie.

- Znam, znam - powtórzyła.

Hm. Jak by jej to powiedzieć... Ciekawe, czemu mnie to nie dziwi? Ale postanowiłam jednak nic nie mówić i po prostu być miłą. Jeśli załatwię to szybko i dyskretnie, może nikt z pozostałych pasażerów niczego nie zauważy i chociaż przez resztę drogi będę miała chwilę spokoju. Wymusiłam więc grzeczny uśmiech, skinęłam głową w odpowiedzi, po czym znacząco odwróciłam ją w stronę okna i zamknęłam oczy. Miałam nadzieję, że to wystarczy, aby dać do zrozumienia, że jestem potwornie zmęczona i nie mam sił na dalszą rozmowę. Starsza pani odebrała to jednak zupełnie inaczej. Nie wiedzieć czemu doszła do wniosku, że zamknięte oczy w języku gestów

oznaczają: „mów do mnie, mów do mnie jeszcze”. Przysunęła się trochę bliżej i chyba chciała mnie zszokować.

- Tak, ja wiem. Pani to pani - oznajmiła odkrywczo. Niestety. Nie zszokowała mnie. Wiedziałam to od dawna. Ja to ja. Niezmiennie od lat, nie dało się tego przede mną ukryć. Mało tego. Nic na to nie mogłam poradzić.

Dlatego nie miałam pomysłu, co na taką rewelację odpowiedzieć. Przysięgam, naprawdę chciałam być uprzejma. Niestety, nawet podręcznik do savoir - vivre'u nie podaje, jak w takich chwilach nie urazić rozmówcy i na taką nowość wiarygodnie odpowiedzieć kompletnym zaskoczeniem.

Ponieważ nie wiedziałam, co zrobić, uśmiechnęłam się do pani ponownie.

- Jak tylko pani weszła do autobusu, wiedziałam - ciągnęła starsza pani spokojnie. Westchnęłam ciężko, ale oczywiście nie przestałam się uśmiechać. To właśnie jest popularność. Nie ma chwili spokoju.

Cholera! Dlaczego nie mogę mieć nawet pięciu godzin dla siebie? Rozzaliłam się, ale spojrzałam na twarz tej starszej, Bogu ducha winnej kobieciny i poczułam wyrzuty sumienia. To przecież nie jej wina, że mnie rozpoznała. Ludzie rozpoznają sławne osoby. Cieszą się, witają, chcą autografów. Nie powinnam się im dziwić. Też się zawsze gapię na kogoś sławnego. Gdybym przypadkiem spotkała Brada Pitta, na pewno chciałabym z nim chwilę porozmawiać, nawet jakby padał z wyczerpania. Na taką rozmowę miałabym jedyną szansę w życiu. On mógł sobie przecież padać do woli w każdym innym dowolnym momencie! Ta myśl spowodowała, że spojrzałam na panią nieco przychylniej i uśmiechnęłam się trochę szerzej. Niestety. Muszę się pogodzić z tym, że ludzie mnie kochają! Tak, tak. Słodki ciężar popularności. Ach! To życie gwiazdy! Uwielbienie! Komplementy!

- A jak pani tak może, co? - nieoczekiwanie starsza pani spytała z wyraźną naganą, odrywając mnie od tkliwych rozczułań nad sobą samą.

Poruszyłam się niespokojnie. To jakoś nie wyglądało na uwielbienie. I chyba nie było też żadnym komplementem? Że co niby mogę?

- Ja panią ze zgrozą obserwuję już od jakiegoś czasu! I własnym oczom nie wierzę, co taka miła, ładna pani może wyprawiać! - starsza pani ciągnęła niewzruszenie.

O czym ona, do licha, mówi? No, owszem, mam parę grzeszków na swoim koncie, ale żeby na nie aż tak, ze zgrozą? Zresztą nie! To niemożliwe! Skąd niby ta kobieta mogłaby wiedzieć o ostatniej imprezie u Maćka, na której upiłam się do tego stopnia, że frywolnie tańczyłam na stole? Zresztą jakim cudem miałam przewidzieć, że ten stół okaże się zwykłą tandetą Lnie wytrzyma ciężaru. To nie moja wina, przysięgam. Setki razy tańczyłam na stołach i nigdy nic się nie działo.

- Tak nie można, naprawdę. Pani taka ładna, taka młoda, pani sobie zdrowie zniszczy, karierę, urodę.

Cholera. Maciek miał odsłonięte okno. Wścibski babol na pewno podglądał i musiał mnie tam przyuważyć! No co za pech, raz w życiu idę na imprezę do Maćka i akurat trafiam na babola podglądacza, który jeszcze ładuje się ze mną do tego samego autobusu.

- Ja panią widuję regularnie.

Regularnie?! Trochę spanikowałam. Z jednej strony całe szczęście! Odetchnęłam z ulgą, bo nie chodziło jej przynajmniej o tę nieszczęsną imprezę u Maćka. Ale z drugiej? REGULARNIE?! Byłaby to jakaś moja sąsiadka? Ale o co niby może jej chodzić? Przecież ja w domu nawet nie imprezuję. To wtedy z Krystianem to przecież było wredne

kłamstwo, skoro jest moją sąsiadką, powinna o tym dobrze wiedzieć.

- I serce mi się kraje, jak myślę, co pani zrobiła z tym biednym chłopcem. Tak go wykorzystać, a potem pognać na cztery wiatry. I tak jeszcze urwać wszelkie kontakty, nie odbierać telefonu, drzwi nawet nie otworzyć.

- Zaraz, zaraz! Chwileczkę! - natychmiast wyleciał mi z głowy problem imprezowania. Co za podła insynuacja! Żeby Krystian choć raz zadzwonił! Już nie wspominając o przyjściu! Ta niesprawiedliwość odetkała mnie wreszcie i postanowiłam zaproponować. Wcale się nie wymiguję! Naprawdę nie mam numeru do Krystiana, więc co mam zrobić? W wywiadzie na żywo w telewizji błagać, żeby zadzwonił?! - Wcale go nie wykorzystałam, nie miałam przecież o niczym pojęcia! I nie pognałam go, wręcz nie mogę się doczekać, żeby zadzwonił.

- Już by pani przynajmniej nie oszukiwała starszej kobiety! - obruszyła się wyraźnie. - Przecież pani nie jest zupełnie bez winy!

Kobieta nie dość, że nie traciła rezonu, to wyraźnie się rozkręcała. Litości! Naprawdę nigdy wcześniej nie jeździli za mną paparazzi! Skąd miałam wiedzieć, że tym razem akurat tam się znajdują? Owszem, nie rozejrzałam się. Ale nie musi mi przecież tego wypominać. I bez tego czułam się z tym nie najlepiej.

- Tak go potraktować! A on pani słowa nie powiedział, nawet jak pani miała tego drugiego!

Litości! Jakiego drugiego? Przecież nie miałam żadnego drugiego! Owszem, jeszcze w Krośnie, ale zostawił mnie, zanim w ogóle przyjechałam do Warszawy.

- Nie miałam drugiego - zaproponowałam słabym głosem. To był błąd. Jeszcze bardziej ją to rozsierdziło!

- Sama pani widzi, jak pani ich lekceważy! - Unosiła się coraz bardziej, oskarżycielsko potrząsając przed moim nosem wykrzywionym paluchem. - Z kwiatka na kwiatek pani skacze, z kwiatka na kwiatek!

Jeżu! Bóg mi świadkiem, że wcale z niczego na nic nie skaczę. O czym ta wiedźma mówi?

- Cii! - powiedziałam na to mocno zdesperowana. Naszej rozmowie z rosnącą uwagą zaczęli się przysłuchiwać pasażerowie siedzący za starszą panią. Jak dalej będzie się tak wydzierać, zaraz o moich problemach z facetami będzie dyskutował cały autokar!

- Ja mogę być cicho - obrazila się kobieta, jednak nie zechciała spełnić obietnicy. - Ale Bóg to widzi! Jak pani tak nie wstyd przed Bogiem?

Jeżu, Jeżu, i wzywam jeszcze na dodatek Twoje imię nadaremno! Ale pomocy! Ludzie z siedzeń z tyłu przysłuchują się, i to już wcale nie dyskretnie! Wstyd mi, przysięgam, czemu ten babol tak się mnie uczeplił i wyciąga tu publicznie całą tę moją, na dodatek przekłamaną obrzydliwie, prywatę?

- Niech pani zrozumie... - chciałam jej wytłumaczyć, że rozmowa na ten temat nie jest mi za bardzo na rękę.

- Ja wiem, wszystko rozumiem. - starsza pani przerwała mi jednak łagodnym głosem. Odetchnęłam z ulgą, miała jednak odrobinę taktu. - To przez tę chorobę, wiem.

Litości! Jaką chorobę znowu?

- O czym pani mówi? - wyjęczałam zdeorientowana.

- Tak, ja wiem, pani nie wie jeszcze. Ale powinien wreszcie pani ktoś powiedzieć, bo wszyscy już o tym wiedzą, ale każdy się boi słowo pisnąć. Tylko że ja uważam, że nie można tak człowieka w niewiedzy trzymać. I ja pani powiem, ale niech pani mi obieca, że pani nigdy więcej już tak nie będzie grzeszyć.

- Eee... - Że niby co mam obiecać? Że nie będę się dawać fotografować paparazzim? Z miłą chęcią, jak tylko będą podchodzić i pytać, czy mogą, albo chociaż będą jeździć wielkim jaskrawym samochodem z napisem „paparazzi”. W każdym razie na pewno nie obiecuję jej, że nigdy więcej nie będę skakać z kwiatka na kwiatek, skoro tego przecież nie robię.

- No! Niech obieca szybko, bo zaraz muszę wysiadać! - zażądała nagle zniecierpliwiona. - A jak nie obieca, to nie będę się więcej modlić za panią, a przy tej ciężkiej chorobie to pani dużo modłów potrzebuje!

- Eee... - Autokar stanął. Jacyś ludzie wysiedli. Starsza pani z natężeniem wpatrywała się we mnie i ani na centymetr nie ruszyła z miejsca. Cholera! No dobra. Nie ma czasu zastanawiać się, o czym ona, do licha, mówi, bo jak nie obiecuję, to jeszcze nie wysiadzie i będzie mnie zameczać do samego Krosna. Przełknęłam ślinę i powiedziałam.

- Obiecuję.

- No! - Kobieta wreszcie się ruszyła. Z satysfakcją skinęła głową, zabrała torbę podróżną i szczęśliwie wysiadła z autokaru, zostawiając mnie samą z własnymi myślami. Albo raczej: z chaosem własnych myśli. Przy ciężkiej chorobie? O czym ona mówiła, do licha? No, fakt, czuję się ostatnio nie najlepiej, ale że wszyscy o tym wiedzą? Tak się naprawdę uskarżam, że mnie grypa łapie? Chyba tylko Haneczka mówiła, jak nic, rozgadała po mieście, świnia jedna. Ale dobrze, nie będę się już więcej użalać nad sobą, faktycznie przesadzałam może ostatnio. I o co niby z tymi kwiatkami chodziło? Koniec! W życiu tego nie rozwikłałam, prędzej mózg mi eksploduje!

- Przepraszam panią bardzo...

Nie. A ci z tyłu czego jeszcze chcą? Też mają zamiar modlić się za moje grzechy?

- ... to było naprawdę mistrzowskie! Gratulacje!

Nie, ja zwariuję zaraz. I dobrze, bo świat to już chyba zwariował, nie wiem, jaki czas temu. Czego oni mi znowu gratulują? Choroby czy dla odmiany tych nieszczęsnych kwiatków? Bo nie modlitw starszej pani, to pewne! Nie, mam dość. Zdecydowanie, więcej takich rozmów już dziś nie zniosę.

- Przepraszam, że przeszkadzamy.

- Tak?! - warknęłam więc ostrzegawczo, licząc na to, że może dadzą sobie spokój z dalszymi pogaduszkami. Ale nie. Oczywiście, że nie. Facecik w marynareczce dopiero się rozpędzał.

- Bo wie pani, my nie oglądamy zazwyczaj seriali, wydaje nam się to takie prymitywne, sztuczne. Ale jak pani zagrała tę swoją bohaterkę przed chwilą... Można było uwierzyć w każde słowo... Doskonale to było. Jak nic, kupiła nas pani, nie opuścimy teraz ani jednego odcinka.

Boże, wybacz. On to mówił całkiem na poważnie. Rany, ja się teraz chyba pod ziemię zapadnę.

- I jakby pani mogła podpisać się gdzieś tutaj. O, najlepiej przy tym dzisiejszym artykule.

No tak! Jak chcieli mnie jeszcze bardziej zszokować, to proszę bardzo. Właśnie im się udało. Pan w marynareczce zauważył chyba, że jakoś mi się zamarło, bo przestał wreszcie wyciągać długopis w moją stronę, tylko wcisnął mi go po prostu do ręki. Ponieważ nie zareagowałam, tylko cały czas wgapiałam się w niego z baranym wyrazem twarzy, otworzył gazetę na właściwej stronie i na wszelki wypadek postukał jeszcze palcem we właściwe miejsce.

- O, tu, w tym miejscu.

Spojrzałam. Wielki jak byk tytuł głosił: Miłość i zdrada - co będzie w następnych odcinkach? Poniżej, mniejszymi literkami, przeczytałam jeszcze: „Tylko my wiemy, co zdarzy

się dalej w serialu! Główna bohaterka, Weronika, pod wpływem Wiktora porzuci swojego narzeczonego Piotra. Piotr nie będzie umiał się z tym pogodzić. Jednak jego telefony pozostaną bez odzewu, drzwi będą zamknięte. Piotr będzie załamany. Ale Weronika też nie znajdzie szczęścia - do łóżka przykuje ją ciężka choroba. Przyjaciele, w trosce o nią, nie będą chcieli jej zdradzić, w jak fatalnym naprawdę jest stanie". O rany! Przecież tego nawet jeszcze nie nakręciliśmy. Dostałam wprawdzie nowe scenariusze, ale nie miałam kiedy ich przeczytać. No tak. To mi się na czasie starsza pani trafiła. Jezu! Zawału serca bym przez nią dostała. Ale i tak nie rozumiem, o jakim drugim ona mówiła? Z jakiego kwiatka na kwiatek?

- No, proszę, niech nam pani podpisze. Dzieci będą uszczęśliwione! - napierali ci z tyłu, więc żeby mieć ich z głowy, jak najszybciej podpisałam.

Reszta drogi upłynęła w miarę spokojnie. O ile spokojem można nazwać główkowanie, z jakiego kwiatka na kwiatek?

Bądź gwiazdą również w domu

- Córeczko, przyjechałaś wreszcie! - Mama pod domem przywitała mnie niemalże tak samo, jak robiła to zwykle. Różnica tkwiła jedynie w decybelach. Niepotrzebnie. Mimo późnej pory wszyscy sąsiedzi i tak nie siedzieli w domu, tylko z wielką uwagą robili coś w ogródkach.

- Chodź do domu, tam mi wszystko opowiesz! - wrzasnęła mama jeszcze raz na wszelki wypadek i weszliśmy do domu.

Tam nastrój zmienił się natychmiast.

- Co znowu mają znaczyć te publikacje? - spytała, ale nie miałam szansy nawet spytać, jakie publikacje, bo rozległo się gwałtowne pukanie.

- Dzień dobry, masz może, Krysiu, cukier, bo mi się właśnie skończył - powiedziała sąsiadka Tereska niewinnym głosem. - O! Iza! Jesteś już! Jak miło! - zakończyła, niby zaskoczona. Ha, ha, nie nabiorę się. Widziałam ją, jak wyglądała zza firanki. Tereska uważnie i powoli skanowała mnie wzrokiem. Na szczęście miałam nowe ubranie, włosy po fryzjerze, a w autokarze poprawiłam sobie mejkap. Wyglądałam nieźle, więc Tereska cmoknęła z niezadowolaniem.

- Co tam u ciebie? - spytała.

- Świetnie! - błyskawicznie odpowiedziała za mnie mama.

- Ledwo się wyrwała, jest po prostu rozchwytywana!

- Taaak? - powiedziała z zazdrością Teresa. - A jak tam w serialu? Trudna praca, prawda?

- A skąd, wręcz odwrotnie - odpowiedziała znów mama, ale nie zdążyła dodać nic więcej, bo znów rozległo się stukanie do drzwi.

- Przepraszam, ja po mąkę. O! Dzień dobry - powiedziała niby zaskoczona sąsiadka Janka.

- To fantastyczne zajęcie - ciągnęła niewzruszenie mama.
- Przyjeżdżają po nią limuzyną i oczywiście odwożą po zdjęciach. Ma swoją makijażystkę, która maluje tylko ją, i własną osobistą kostiumografkę - wyrecytowała moja mama szybciotko, a ja otworzyłam szeroko oczy ze zdumienia. Nie miałam pojęcia, że mam taką robotę!

- Ojej - powiedziała sąsiadka Janka. - Ale opowiedz lepiej o tych wszystkich bankietach!

- Witam, ja po wiertarkę. - Pojawił się sąsiad Jarek.

- Na każdą imprezę specjalnie ją ubierają - wyjaśniła mama spokojnie.

- To znaczy... - chciałam zaprotestować: po prostu Kostiumografka jest kochana i kilka razy pożyczyła mi kieckę, ale mama chyba to wyczuła, bo natychmiast weszła mi w słowo.

- I czeszą, i malują - dodała szybko. Kłamała jak z nut.

- A za te wywiady też płacą? - spytał pan Stasio, który tymczasem przyszedł, ale nie mam pojęcia, co chciał pożyczyć.

- Pewnie! - szybko odpowiedziała mama. - I to ile! Krocie! - Zwariowała? Za to nie dostaje się ani złotówki!

- Domyślam się, tyle ich jest!

- No pewnie, prasa o Izę wręcz się bije. - Mama zdecydowanie nie traciła kontroli nad rozmową.

- Ten dzisiejszy też widziałem, podpisz się, Iza, od razu, bo chłopaki w pracy nie chcą uwierzyć, że mieszkam obok ciebie.

- Nie ma problemu - odpowiedziałam. Pierwsze zdanie w domu, które udało mi się powiedzieć. Sukces!

- Tak, też to mam, jutro przyniosę - zauważyła pani Janka.

- Nie ma potrzeby! - zaproponowała mama szybko. - Izie zrobili specjalne zdjęcia na autografy, tam się będzie podpisywać.

O czym ona mówi? Przecież nic takiego nie mam.

- Ale... - próbowałam wyjaśnić, mama jednak była szybsza.

- O tym jeszcze porozmawiamy. I o tej dzisiejszej publikacji... - powiedziała do mnie słodkiutko. Musiałabym jej nie znać, żeby dać się na to nabrać.

- Świetna była! - zarechotał pan Stasio. - Iza, widać, podbiła stolicę! - I nic nie robiąc sobie ze wzroku mamy, podał mi pismo.

- Iza? No pewnie! - powiedziała pani Halinka, która właśnie weszła. Po jajka.

- To machnij coś szybko na marginesie, dobra? Gdyby oczy mogły zabijać, pan Stasio byłby już trupem.

- Nie ma o czym mówić. - Ponieważ mamie nie udało się zabić, musiała zagadać. - A jakie ma tam mieszkanie! Rewelacja! W samym centrum - ciągnęła niezmordowanie, a ja patrzyłam na pismo.

I o to były te całe mecyje? Amanci Izy Strzeleckiej, głosił tytuł. Pod spodem byli wymienieni: Piotr, mój obecny serialowy narzeczony, Adam, w serialu mocno we mnie zakochany, ale platonicznie i nieszczęśliwie. I oczywiście Wiktor. Czyli Krystian. Czy ich życie ułoży się szczęśliwie? - pytał podpis pod zdjęciem. Ach! - westchnęłam. Czy się ułoży?

Oddałam panu Stasiowi gazetę wraz z dedykacją i chciałam na powrót włączyć się do rozmowy. Nie było jak.

Mama z roziskrzonym wzrokiem, w dzikim ferworze opowiadała, jak cudownie mi się żyje. Wszyscy sąsiedzi oraz reszta rodziny (był już pełny zestaw) słuchali jej z zapartym tchem.

Po godzinie opowieści mamy o powodzeniu jej jakiejś innej z pewnością córki poczułam się zmęczona. Było beznadziejnie. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Byłam tu jak powietrze.

- Dobrej nocy! - powiedziałam na próbę. Nic z tego. Nikt nawet na mnie nie spojrział. Co jest? Jestem przecież sławna. Gram w serialu. Mnie się nie ignoruje! - Idę spać! - powiedziałam głośniej. Najbliżej stojący sąsiad machnął niecierpliwie ręką, co najmniej jakby odganiał upartą muchę.

No nie! To prawdziwa bezczelność! Nie po to zostaje się sławnym, tyra po serialach, udziela wywiadów, znosi gimnazjalistów i nawiedzone starsze panie w autobusach, żeby na koniec działa się coś takiego.

Nie opłaca się tego robić, naprawdę, jeżeli potem ignoruje cię własna rodzina.

- Co to jest? - Następnego dnia wczesnym rankiem mama wyciągnęła oskarżycielsko wczorajszą gazetę. Całe szczęście, że zaplanowała mi pracowity pobyt w rodzinnych stronach, dzięki temu właśnie zmierzałam do wyjścia.

- Dlaczego znów piszą o twoich amantach? - Ze zdumieniem zobaczyłam, że mama pakuje się do mojego samochodu.

- Co ty robisz? - spytałam zdziwiona.

- Też jadę, przecież muszę wszystkiego dopilnować - odpowiedziała pewnym głosem. - Jak znam życie, twoja była szefowa będzie chciała cię przetrzymać, a dla niej mamy tylko godzinę, żeby zdążyć na tę uroczystość do twojej podstawówki, potem jedziemy do zakładu ojca, ciotki Hanki i do mnie do pracy, musimy odwiedzić obie babcie, ale to chyba już po tym, jak wręczysz nagrody na basenie dla najlepszych pływaków. Aha, i mamy jechać do świetlicy w domu dziecka, obiecałam przyjaciółce, że pokażę cię tam dzieciom... - wyliczała mama, a ja patrzyłam na nią coraz

większymi oczami. - I do trzynastej musimy z tym zdążyć, to zostanie ci jeszcze trochę czasu, żebyś spotkała się z przyjaciółmi. Umówiłam was w pubie, jak wyjdiesz przed piętnastą, to nie będziesz musiała jechać po nocy.

Jest po prostu niesamowita! Też się muszę nauczyć takiego planowania zajęć! W jeden dzień załatwimy tyle, ile mnie udaje się ogarnąć co najmniej w trzy!

- No, ale dobrze - gładko zmieniła temat mama. - Dlaczego znów piszą o jakichś twoich facetach?

- Nie o moich. O Weroniki - wyjaśniłam.

Mama na chwilę umilkła, wpatrując się w gazetę, którą cały czas trzymała w rękach.

- Ale tu jest napisane „Iza Strzelecka”, nie „Weronika” - powiedziała z wyrzutem. - A z tym - puknęła palcem w zdjęcie Krystiana - już cię chyba kiedyś sfotografowali.

- Co z tego - odparłam. - Poza tym ich nazwali imionami z serialu, normalnie nazywają się inaczej. Więc muszą to być amanci Weroniki, nie moi.

Mama znów popatrzyła zamyślona na tekst.

- To nie jest jasne. Musisz pilnować takich rzeczy. Nie będzie dobrze, jak ludzie przestaną cię lubić, bo będą uważali, że skaczesz z kwiatka na kwiatek. - Zahamowałam tak, że samochód niemalże stanął w miejscu i popatrzyłam na mamę w olśnieniu. - Aha, i zrób dużo odbitek jakiegoś zdjęcia na autografy. Czasami na tych, które zamieszczają w pismach, wyglądasz nie najkorzystniej.

Rany! Dlaczego ja w Warszawie nie mam takiego agenta?

- Wyglądasz ślicznie! - powiedziała moja była szefowa z radia, która pracowała teraz w gazecie. - Ach! To życie gwiazdy! Zazdroszczę! - Spojrzałam na nią podejrzliwie, ale nie. Wcale się nie nabijała. - Jak jest? Opowiedz mi wszystko szczerze! - poprosiła i włączyła dyktafon. - Pewnie śpisz do

południa w puchach, budzi cię przystojny brunet kieliszkiem wytrawnego martini... - rozmarzyła się, więc jej przerwałam.

- Nie. Wstaję skoro świt, pracuję po czternaście, szesnaście godzin, ledwo żywa wracam do domu i natychmiast usypiam. Nie wiem, czy w puchach. Prawdopodobnie ze zmęczenia przewracam się i zasypiam już na podłodze w przedpokoju - wyjaśniłam spokojnie, ale sama chciała. Miało być szczerze? Proszę bardzo.

Była szefowa popatrzyła na mnie jakby lekko urażona.

- No dobrze - powiedziała z lekkim dystansem. - W takim razie nie mówmy o pracy. Jak wygląda teraz twój czas, kiedy masz przerwę w serialu i masz wolne? Taki twój zwykły dzień, wiesz. Pewnie śpisz do południa, w puchach, budzi cię przystojny brunet kieliszkiem wytrawnego martini... - rozmarzyła się znowu. Co ona ma za wizje jakieś idiotyczne, co?!

- Jest jeszcze gorzej, niż gdy pracuję. Jak mam serial, przynajmniej nie muszę martwić się transportem. W przerwie wykańczają mnie autobusy.

- Ha, ha, ha! - zaśmiała się perliście, jakbym co najmniej opowiedziała jej jakiś dobry dowcip. - No dobrze, Iza, już bez żartów. Znamy się sporo czasu, więc po prostu opowiedz mi, jak wygląda taki twój normalny, zwykły dzień, gdy nie jesteś na planie.

Zirytowała mnie. Bez żartów? Ona myśli, że to są żarty?

- Świetnie. Nie ma problemu. - Zgodziłam się i zaczęłam wyciągać notes. - W takim razie szczegółowo opowiem ci, jak wyglądał na przykład... - otworzyłam kalendarz na pierwszej lepszej stronie - ... mój wtorek.

- Super! Super! Właśnie o coś takiego mi chodziło! - ucieszyła się od razu moja była szefowa.

Zwykły dzień gwiazdy

- Mój zwykły dzień... - zaczęłam. - Godzina 6.30: Ze snu wyrzywa mnie jakieś wycie. To budzik. Uciszam go celnym klapnięciem.

Godzina 6.35: Wyje znowu. No tak - to ten sprytny model z funkcją „ha, ha, i tak wiem, że śpisz sobie dalej”. Ale ja też jestem sprytna. Z wyjętą baterią już więcej się nie odezwie.

Godzina 6.45: Wyje budzik. Nie wściekam się tylko dlatego, że głupieję. Wpatruję się w rozbrojony zegarek i nie mogę zrozumieć, jak on to robi? Wreszcie dociera do mnie, że to ten drugi, na wszelki wypadek schowany głęboko pod łóżkiem. Wyciągam go. Na stoliku leżą już dwie baterijki.

Godzina 6.50: Wyje komórka. Odbieram. A nuż to Spielberg z propozycją głównej roli? Spielberg odzywa się jednak głosem pani, u której zamówiłam budzenie. Zapewniam ją, że już nie śpię (w takich warunkach to przecież niemożliwe!). Pani wydaje się mało przekonana, grozi, że jeszcze zadzwoni.

Godzina 7.05: Wyje komórka. Plując pianą z pasty do zębów, dziękuję pani za zaangażowanie i wyjaśniam, że właśnie jestem w łazience. Pani powątpiewa. Aby to udowodnić, wchodzę pod prysznic. Klnę, bo zamokła mi komórka.

Godzina 7.16: Usiłuję wysuszyć komórkę suszarką.

Godzina 7.26: Jem breję z otrębów pszennych i jogurtu naturalnego zero procent. Staje mi w gardle, ale przełykam, bo przecież muszę zdrowo się odżywiać. Pocieszam się, że dzięki temu do setki będę wyglądać jak szesnastka.

Godzina 7.38: Nieopatrznie zerkam w lustro. Wyglądam jak zombi, otręby chyba nie działają.

Godzina 7.41: Wybiegam z domu. Niech to szlag, znów jestem spóźniona. Na dodatek na przystanku gimnazjaliści. Przez nich znów ucieka mi autobus!

Godzina 8.02: Docieram na siłownię. Moja trenerka wita mnie słowami „witam, jak zwykle zaspalaś!” i goni mnie na zajęcia fitness. Już ledwo żyję, a ona każe mi jeszcze robić pompki i podnosić ciężary. Dopiero gdy czuję się już jak Schwarzenegger, pozwala mi iść pod prysznic.

Godzina mniej więcej 11.00: Monotonnie wcieram w siebie kolejne kremy. Zastanawiam się, jak bym wyglądała, gdybym je wszystkie wyrzuciła do śmieci. Czy szczęśliwie? Nie wyrzucam, wcieram dalej. Zazdroszczę wszystkim, którzy nie muszą martwić się o swój wygląd.

Godzina 11.20: Jem jabłko, stoję w korku otoczona chichoczącymi gimnazjalistami i zastanawiam się, kiedy dojadę do kawiarni, w której mam pierwsze spotkanie.

Godzina 11.43: Dziennikarka wzdycha „ach, wy gwiazdy... możecie tak spać sobie do południa” i włącza dyktafon. Nienawidzę jej, ale pocieszam się, że nie ma tricepsa i po raz setny odpowiadam na pytania „jak zostałam aktorką”, „jak pracuje mi się w Miłości i zdradzie” oraz „jakiego szamponu używam do włosów”.

Godzina 14.07: Wyłącza dyktafon. Martwi się, czemu tak chrypię. Ja po dwugodzinnym monologu wreszcie mam szansę napić się wody.

Godzina 14.10: Wybiegam z kawiarni. Jak zwykle ucieka mi autobus. Czy MZK podpisało jakąś specjalną umowę z Panem Bogiem?

Godzina 14.30: Korek. Dzwonię do produkcji i przepraszam, że się spóźnię.

Godzina 14.55: Zdyszana wpadam do biura produkcji. Przymierzam nowe kostiumy. Dostaję bluzkę dwa numery za dużą. „Zepnie się”, mówi garderobiana. Buty też za duże. „Wepcha się waty”. Zastanawiam się, co powie o spodniach. Za małe. Dostaję nowe scenariusze. Dobrze, że mam torbę z siłowni. Upycham je do środka i dziękuję trenerce za mięśnie.

Chociaż mnie bołą, zaczynam je doceniać. Bez nich nie zaciągnęłabym tego wszystkiego do autobusu.

Godzina 15.06: Znów korek.

Godzina 15.42: Na sekundę w domu, ale i tak się cieszę. W progu zostawiam torbę ze scenariuszami, nie mam siły ciągnąć jej dalej. Jem biały serek. Nienawidzę swojej słabej woli - do serka kupiłam jeszcze bułeczkę. W biegu ją połykam, potykam się o torbę w przedpokoju. Całe szczęście. Dzięki temu przypominam sobie, że mam do zabrania inny pakunek.

Godzina 15.57: Cały czas korek. Gorszy do zniesienia, bo jakiś facet wbija mi łokieć w żebra.

Godzina 16.41: W redakcji poczytnego tygodnika przekazuję drobiazgi na aukcję charytatywną na rzecz schroniska dla psów. Daję zdjęcie z autografem i posążek pieska z mosiądzu.

Godzina 16.52: Całe szczęście, że te redakcje są blisko siebie, tylko dzięki temu się nie spóźniłam. W drugiej redakcji autoryzuję zdjęcia, które parę dni wcześniej mi zrobili. Wyglądam na nich koszmarnie. Grafik pociesza, że wszystko się zrobi w Photoshopie. Wierzę mu, bo nie mam siły dyskutować, poza tym znów będę spóźniona - tym razem na uroczystość w domu dziecka.

Godzina 17.46: Wychodzę z redakcji. Żeby się bardzo nie spóźnić, biorę taksówkę. Nie jest najlepiej, ale przynajmniej nikt mi nie wbija łokcia w żebra.

Godzina 18.07: Przepraszam za spóźnienie, ale i tak wszyscy patrzą na mnie złowrogo. Uroczystość już się rozpoczęła. Jakiś pan przemawia, przeczekuję więc pana. Potem panią. Niecierpliwie zerkam na zegarek. Burczy mi w brzuchu. Wreszcie moment, gdy wręczam dziecku z domu dziecka prezent w imieniu firmy, która chce wesprzeć tę instytucję. Robimy sobie zdjęcia z dziećmi, daję im

autografy, ktoś przynosi jakieś ciastka i zaczyna robić się fajnie. Niestety, muszę wychodzić.

Godzina 20.04: Znów taksówka. Błagam pana, żeby przefrunął nad miastem. Chyba to robi, przyjeżdżam przed czasem.

Godzina 20.21: Mam audycję w radiu. Prowadzący puszcza moją ulubioną muzykę, w przerwach między piosenkami gadamy. Jak zostałam aktorką, jak pracuje mi się w Miłości i zdradzie. Opowiadam swój ulubiony dowcip.

Godzina 22.17: Czuję się nieswojo. Nie ma korka.

Godzina 22.39: Docieram do domu. Włączam pranie i wchodzę do wanny. Pstrykam pilotem od telewizora, aby nie zasnąć, i zastanawiam się, kiedy to pranie się skończy. Chyba nigdy.

Godzina 23.48: Poddaję się - rozwieszę je jutro. Wkładam baterijkę do budzika. Po chwili zastanowienia nastawiam też drugi. Gaszę światło. Zapalam. Stresuję się, że zaśpię, dzwonię więc na budzenie. Znów gaszę.

Nie wiem, kiedy zasypiam.

Skończyłam.

Była szefowa siedziała z szeroko otwartymi ustami.

- No wiesz! - powiedziała wreszcie, gdy w ciszy jako tako udało jej się w minimalnym stopniu dojść do siebie. - Tego się po tobie nie spodziewałam! Nie sądziłam, że będziesz się ze mnie tak wrednie nabijać! Ale rozumiem. Dla Wielkiej Gwiazdy dziennikarki z lokalnej gazety nie są zapewne osobami, które mogłyby traktować serio! Żegnam!

- Ale... - chciałam coś powiedzieć, lecz w tym momencie w słowo weszła mi moja mama, która zostawiła nas tu same, aby w tym czasie przelecieć się po sklepach.

- O, skończyłyście już? To dobrze, mamy piętnaście minut, żeby dojechać o czasie do twojej podstawówki!

Bądź sobą (Julii Roberts i tak nie prześcigniesz!)

Nie powiedziałam mamie o tym, że z chęcią zatrudniłabym ją jako mojego agenta. Ale prawdę mówiąc, przez całą drogę powrotną intensywnie zastanawiałam się nad tym, czy jej tego jednak nie zaproponować. Niby miałabym ją cały czas na głowie, a na dłuższą metę nie był to najlepszy z najlepszych pomysłów. Ale z drugiej strony pilnowałaby planu zajęć, gazet i na pewno poskromiłaby paparazzich - rozważałam w myślach i mocno przyciskałam pedał gazu. Niestety, mama przed pubem usunęła się do domu i ostatni punkt planu zawalił się w gruzy. Nie udało mi się wyjść przed piętnastą. Kot, którego zostawiłam samego w domu, z pewnością umierał już z głodu, a nie miałam tam ani dla niego, ani dla siebie żadnego jedzenia! Nie mam pojęcia, dlaczego nie wpadłam na to, aby zatrzymać się po prostu w jakimś mijanym mieście. W każdym razie nie wpadłam, tylko jak najszybciej grzałam z powrotem, żeby zdążyć jeszcze do jakiegoś sklepu.

I oczywiście!

Prawie pod samą Warszawą musiała namierzyć mnie policja.

Nie straciłam jednak zimnej krwi. W końcu nie raz mnie już zatrzymywała i kończyło się tylko na uśmiechach, a wtedy nie byłam nawet jeszcze sławna. Rozłożyłam, na wszelki wypadek, gazetę mamy w widocznym miejscu i z szerokim uśmiechem czekałam na policjanta.

- Prawo jazdy, dowód rejestracyjny i kartę ubezpieczenia pojazdu - wyrecytował bez zająknięcia formułkę, nie zwracając żadnej uwagi ani na mnie, ani na gazetę, ani nawet na uśmiech.

Niedobrze. Dałam mu wszystko, czego żądał, i uśmiechnęłam się jeszcze szerzej.

- Przekroczyła pani prędkość o dziewiętnaście kilometrów w terenie zabudowanym - wyrecytował znowu, oglądając papiery i nie rzucając na mnie nawet okiem. Uśmiech zrobił mi się tak szeroki, że tylko dzięki temu, że stabilnie siedziałam, nie odpadł mi czubek głowy.

- Ojej! - powiedziałam, żeby zwrócić na siebie jego uwagę. - Bo ja się tak strasznie spieszę, żeby zdążyć na zdjęcia!

Nie udało się. Nie spytał nawet, jakie zdjęcia. No nie, co za sztywniak mi się tu trafił!

- Zdjęcia do mojego serialu - dodałam więc na wszelki wypadek. Co jest? Nie rozpoznał mnie, czy co?

- Grozi pani do pięciuset złotych mandatu, poza tym osiem punktów karnych za przekroczenie prędkości - powiedział bezlitośnie. Pięć stów! Osiem punktów! Oszalał! - Poza tym widzę, że wczoraj skończyła się pani ważność przeglądu technicznego. Będziemy zmuszeni odebrać pani prawo jazdy i odholować samochód.

- Ojej! - powiedziałam znowu słabym głosem, ale tym razem nie chodziło mi o uwagę. Sześćdziesiąt kilometrów od Warszawy on chce mi odholować samochód?! - A może da się coś z tym zrobić? - dodałam z nadzieją, wachlując się pismem otwartym na odpowiedniej stronie. Zero reakcji. Co jest, mam go tą gazetą walnąć po głowie?

- Proszę poczekać, zaraz wrócę i oddam pani dokumenty. Niech pani nawet nie myśli, że skoro jest pani sławna, to może liczyć na jakąkolwiek taryfę ulgową! - rzucił na koniec i odszedł do radiowozu.

No to koniec! Wpadłam! Pał diabli pieniądze i punkty, ale jak ja się teraz dostanę do domu?! Co za pech, że trafiłam akurat na takiego policjanta! Ciekawe, czemu tak nie lubi sławnych osób? - pomyślałam złośliwie. Czyżby oświadczył się Julii Roberts i do tej pory mu nie odpisała? Ale bez żartów.

Powinnam skupić się na tym, co mogę teraz zrobić? Głupio było iść za nim i pakować się do radiowozu. Ale jak tu będę beczynnie siedzieć, to na pewno nic nie wskóram, a poza tym eksploduję z nerwów. Samochód jest na ojca. Będzie wniebowzięty, gdy dowie się, że musi zrobić sobie wycieczkę do Garwolina. W desperacji wysiadłam z samochodu. Jak trochę się przejdę, może zdołam ochłonąć i uda się coś wymyślić.

Spacerując, zerknęłam ukradkiem na radiowóz. Drugi policjant siedział w środku i patrzył na mnie, promiennie się uśmiechając. Tymczasem ten pierwszy z marsową miną coś mu tłumaczył. Zamarło mi serce, ale odruchowo też się uśmiechnęłam. Drugi na to wyraźnie uśmiechnął się szerzej. Jest nadzieja! Wygląda, jakby miał w sobie trochę litości!

Uśmiechnęłam się znowu i kokieteryjnie oparłam o samochód. Drugi, jak nic, puścił mi oko! Szkoda, że miałam na sobie bojówki. Dlaczego nie przyszło mi do głowy, aby włożyć seksowną mini?!

Teraz drugi zaczął tłumaczyć coś pierwszemu. Ten kręcił głową, więc mnie robiło się coraz gorzej. Cholera, nic się nie da zrobić! Kto ze znajomych w Warszawie ma jakiś samochód i będzie mógł tu po mnie przyjechać?

*

Sierżant Marek Jaroszewski miał dziś wyjątkowo błogi nastrój. Obchodził czterdzieste urodziny i ani śladu kryzysu wieku średniego. Nic dziwnego. Świetnie się trzymał, miał dużo lepszą kondycję niż ci młodszy i doskonałe zdrowie. W domu miał piękną żonę, która z niecierpliwością czekała na niego z kolacją. Jego śliczna córka zawsze rok szkolny kończyła z czerwonym paskiem i zapewne rysowała mu teraz śliczną laurkę. Jego partner był, co prawda, służbistą w pracy, ale w prywatnym czasie świetnym kompanem. Zapowiadał się ekstra wieczór w towarzystwie kumpli. Mało tego. Właśnie

kończyli służbę! Zatrzymali ostatni samochód i partner w ramach prezentu urodzinowego samodzielnie miał wszystko obsłużyć. Życ, nie umierać! Dlatego sierżant Jaroszewski z promiennym uśmiechem patrzył wprost przed siebie. Akurat na przechadzającą się przed radiowozem dziewczynę.

Uśmiechnęła się do niego. Sierżantowi zrobiło się jeszcze bardziej błogo na duszy i odpowiedział jeszcze bardziej promiennym uśmiechem.

- Te, puśćmy tę dziewczynę w szeroką drogę i jedźmy już do mnie do domu - przerwał radośnie kumplowi, który tłumaczył mu właśnie, dlaczego na wieczorku nie będzie Staśka.

*

- Ma pani szczęście - powiedział naburmuszony pierwszy.
- Tylko dzięki temu, że kolega ma dziś urodziny, zgodziłem się zostawić pani dowód rejestracyjny. Oto mandat i dokumenty dla pani.

Miałam ochotę rzucić mu się na szyję. Pohamowałam się jednak. Nie. Nie jemu. On na to mniej zasłużył. Zamiast tego chwyciłam w locie gazetę i popędziłam do tego drugiego do radiowozu. Temu cudownemu człowiekowi napiszę w podziękę najpiękniejszą dedykację świata. Coś na kształt: „Najlepszemu policjantowi.

Całe szczęście, że chociaż na nim zrobiła wrażenie moja popularność.

*

- Jak pan ma na imię? - z błogostanu wyrwał sierżanta rozgorączkowany głos dziewczyny. Spojrzał na nią zdziwiony. Wpatrywała się w niego pełnym napięcia i jakiegoś dziwnego uwielbienia wzrokiem, a w trzymaną w rękach gazetę postukiwała nerwowo długopisem.

- Co jest? - zaniepokoił się. To prawda, że był przystojny, ale żeby od razu chciała od niego telefon? Jeszcze tego mu brakowało! Telefonów od jakiejś nawiedzanej kobiety!

*

- Oszalała pani? - drugiemu uśmiech zamarł na ustach i patrzył na mnie wyraźnie przerażony. - Ja mam żonę i małe dziecko!

- Nie szkodzi - odparłam na to wyrozumiale. - Nie musi się pan bać, im też na pewno napiszę!

Pewnie, że napiszę! Czemu mieliby się nie cieszyć? „Żonie i dziecku najlepszego policjanta...”, układałam pospiesznie w głowie.

*

Sierżant zamarł i poruszył się niespokojnie. Co chce im pisać? Jak nic, wyglądała na taką, która będzie próbowała go wmanewrować w jakiś romans! Niby za co? Przecież kochał żonę i nie miał najmniejszego zamiaru nigdy jej zdradzić! Ale się wpakował. Tak to jest, jak chce się spełniać dobre uczynki! „Nigdy więcej”, przysiągł sobie. Ma teraz za swoje!

- Za nic! Nic im pani nie będzie pisała! - zaproponował gwałtownie.

*

Aż mnie zatkało! Z pozoru taki miły facet, a tu proszę! Rodzinny tyran! Sam weźmie, ale rodzinie już autografu pożałuje! I jak się wściekł od razu, egoista jeden! Dziękuję bardzo, i ja takiemu typowi mam coś zawdzięczać?! W odruchu oburzenia już chciałam rzucić mu dowód z powrotem. Niech sobie zatrzyma, od takiego zwyrodnialca nic na pewno nie chcę! Jednak w ostatniej chwili przemknęło mi po głowie: sześćdziesiąt kilometrów, Garwolin, głodny kot.

To na mnie podziałało. Przełknęłam ślinę. Trudno. Dla kota muszę się poświęcić. Nie wrócę przecież na piechotę, a nie będę nikogo ściągać, żeby po mnie przyjechał. Niech to

szlag! Dlaczego nie mogłabym być wdzięczna jakiemuś przyzwoitemu człowiekowi...?

- No dobrze, to tylko panu napiszę - powiedziałam więc ugodowo. Chciałam ten niesmaczny moment mieć jak najszybciej za sobą.

- Co mi pani chce pisać? - spytał podejrzliwie sierżant.

Rany, jeszcze chce kontrolować, co mu napiszę w dedykacji! Pewnie chce przypilnować, żebym na pewno nie wspomniała o rodzinie! Co za potwór! Nie, zdecydowanie. Coraz bardziej nie lubiłam tego człowieka.

- Autograf - odpowiedziałam więc wymijająco chłodnym głosem.

*

Sierżant czuł, że jak na dzisiejszy dzień ma już wariatów powyżej uszu. Spotkał jednego, ale to wystarczyło za cały legion. O czym mówi ta baba? Z pozoru przecież wyglądała na miłą i normalną, proszę, jak to pozory mogą mylić! I jaka uparta w tym wszystkim, zorientowała się, że nie dostanie jego numeru, to chce teraz za wszelką cenę wcisnąć mu jakiś taki niby - liścik! Ha, pewnie z własnym numerem! Niestety, jest za stary, aby się na to nabrać.

- Niby po co mi pani autograf? - spytał podchwytliwie. Zaraz załatwi ją z tymi jej intrygami jednym zdaniem.

*

- No jak to? - zatkało mnie. Jak może nie chcieć autografu? - Bo jestem sławna i chcę panu w ten sposób podziękować! - odpowiedziałam najbardziej logicznym argumentem, jaki mi przyszedł do głowy.

*

- Sławna? - podejrzliwie spytał sierżant.

Ha! Wygadała się! To jakaś prostytutka! Bardzo dobrze, niech gada dalej, może uda się namierzyć i ją, i resztę, z którymi pracuje.

- A niby gdzie pani jest sławna? W Garwolinie? - spróbował ją podejść, żeby namierzyć lokalizację.

- Tutaj... - odpowiedziała i podała mu gazetę.

Rzucił okiem na zdjęcie, na którym dziewczyna objęta była przez jakiegoś faceta. Ha! Ogłaszają się nawet w ogólnopolskiej gazecie. Niedobrze, to musi być duża szajka, pewnie mają plecy co najmniej w Komendzie Głównej. Za wysokie progi, zwykły prowincjonalny sierżant nic tu nie wskóra... Westchnął ciężko, gdy to sobie uświadomił. Ale dobrze przynajmniej, że nie siedzą w Garwolinie, wtedy pewnie by się wpakował w tę całą aferę. Tak, siłą rzeczy, nie jego rewir.

- Kończę już służbę, dlatego udamy, że nigdy pani nie spotkałem - powiedział więc zimno, żeby wycofać się z sytuacji chociaż z resztką twarzy. - Proszę to zabrać i jechać, i najlepiej nie zajmować się więcej prostytutką. - Nie mógł się powstrzymać, aby nie rzucić tego na odchodnym. - Sławek! Jedziemy!

*

Prostytucją?!

On wziął mnie za prostytutkę?!

*

- Coś ty powiedział tej aktorce? Wmurowało ją przy tym radiowozie, stała tam jeszcze, nawet jak odjechaliśmy - zagadał partner do sierżanta parę godzin później, przy wódeczce. - Zresztą wszystko jedno, bardzo dobrze zrobiłeś, nie lubię aktorek. Jak byłem jeszcze szczyłem, wysłałem mail z oświadczeniami do Julii Roberts. Do tej pory, zdzira, nie odpisała!

- Jakiej aktorce? - sierżant spytał na odczepnego, bo właśnie polewał kolejkę i bardzo musiał się na tym skupić. Trudno łać równo, jak kieliszki widzi się podwójnie...

- No tej, którą zatrzymaliśmy na końcu, oddałeś jej dowód - partner był na mocnym rauszu, ale starał się wytłumaczyć jak najbardziej rzetelnie.

- A! - Sierżant załapał. - To ona też w porno grała?

- W Porno? - zamyślił się partner. - Chyba nie, za młoda. Może w czymś nowszym Koterskiego. Teraz gra w tym serialu, co nasze żony oglądają. Tym, no... - partner miał problem z odnalezieniem tytułu. - W Miłości i zdradzie, czy jakoś tak.

- W Miłości i zdradzie?! - Sierżant wytrzeźwiał w mgnieniu oka. Ulubiony serial żony! Spotkali aktorkę z ulubionego serialu żony, a on nie wziął od niej autografu!

Partner nagle, ku swojemu zdumieniu, ujrzał przed nosem zaciśniętą pięść sierżanta. Zaraz za pięścią widniała twarz przełożonego. Partner przełknął ślinę. Nigdy w życiu nie widział sierżanta tak potwornie wściekłego.

- Nigdy - cedził sierżant słowo po słowie - za żadne pieniądze nie waż się komukolwiek powiedzieć, że w ogóle ją spotkaliśmy. Bo obaj będziemy trupami.

Rozrywki miejskie gwiazdy

Do Warszawy dojechałam w nie najlepszym nastroju.

Za prostytutkę!

Człowiek męczy się, wypruwa z siebie flaki w jakimś serialu, a na koniec nie dość, że nie ma forów u policjantów, to jeszcze na dodatek biorą go za prostytutkę!

Najchętniej pojechałabym prosto do domu, zaszyła się w kącie i samotnie przeżywała gorycz upokorzenia.

Niestety.

Znałam swojego kota aż za dobrze, aby wiedzieć, że bez miski jedzenia nie da mi nic przeżywać. Na dodatek było po ósmej. O tej godzinie mogłam zrobić zakupy jedynie w supermarkecie. Inaczej musiałabym nadrabiać dobre trzydzieści kilometrów. Po przejechaniu odcinka Krosno - Warszawa, na myśl o dodatkowych kilometrach zrobiło się mi jednak słabo.

Cholera. Mam w życiu pecha! I życie jest podłe!

Nie cierpię zakupów w supermarkecie.

Jeszcze we wtorki, tak około 11.30, można przeżyć. Góra cztery osoby na krzyż przemykające pomiędzy pustymi półkami i liczące po cichu na to, że to właśnie im uda się zdobyć te dwa ostatnie nadgniłe banany.

Tak, wtedy jest nawet uroczo. Atmosfera jest intymna i przyjazna, i jeśli człowiek nie nastawia się za bardzo na jakieś wyjątkowe zakupy owocowe, może wyjść nawet całkiem usatysfakcjonowany. W końcu bez przesady. Nawet wtedy można liczyć na spory wybór proszków do prania i marynat w puszkach.

Tym razem jednak to nie był wtorek i nie była to godzina 11.30.

Będzie niedobrze. Czułam to, ale nie miałam wyjścia. Kot mi nie odpuści, dlatego chcąc nie chcąc, wjechałam na gigantyczny parking supermarketu.

Cholernie niedobrze. Już nie tylko czułam. Wiedziałam. Parking zapchany był do granic możliwości.

Niedobrze, niedobrze - mówiłam do siebie, a wizja kota wraz z wizją jeszcze bardziej pustej lodówki walczyły coraz rozpaczliwiej z coraz bardziej nieopanowanym pragnieniem załatwienia sprawy zakupów kiedy indziej.

Jutro, przecież mogę kupić mu jutro, z samego rana - przekonywałam sama siebie, panikując coraz bardziej. Staralam się jednocześnie nie pamiętać, że jutro jest przecież sobota, a to jeszcze gorszy pomysł na robienie zakupów niż piątek wieczór. Nie. Trudno, pojedę gdzie indziej. Podjęłam decyzję, a tu jak na złość wolne miejsce.

- A niech to szlag! - wyrwało mi się z wściekłością. Małżeństwo prowadzące wypchany wózek w stronę samochodu spojrzało na mnie zdumione.

- Ty, to ta!

- No! Ale walnięta, widziałeś?! - doleciało do mnie jeszcze z oddali. Zaczyna się, pięknie.

Spokojnie. Tylko spokojnie. To tylko supermarket. Będzie dobrze. Wejdę, kupię najpotrzebniejsze rzeczy i zaraz wyjdę. Będzie dobrze. Nic się nie stanie. I aby na pewno nie zabawić tam ani o sekundę dłużej, schowałam torebkę pod siedzeniem, zostawiając sobie jedynie jakiś jeden banknocik, rozpuściłam włosy, zarzucając je sobie na twarz, założyłam czapkę z daszkiem, wzięłam głęboki oddech i...

Weszłam do środka.

Nic się nie stało.

Minęła minuta, zapuszczałam się coraz głębiej pomiędzy półki. Nadal nic. Powoli zaczęłam się odprężyć.

Cały czas nic.

Nerwy zaczęły mi odpuszczać.

Zaczęłam z trudem zbierać myśli i przypomniałam sobie, po co w ogóle tu przyszłam.

Ciągle nic się nie działo.

Przy jedzeniu dla kotów ogarnął mnie już kompletny spokój. Ale spanikowałam! - uśmiechnęłam się do siebie z politowaniem. Niepotrzebnie, wprawdzie jest tu dużo ludzi, ale to takie miłe, przyjazne miejsce. No tak. Przyjazne miejsce - powtórzyłam sobie raz jeszcze. Nie było wyjścia. Nadszedł czas, kiedy musiałam przestać wbijać oczy w podłogę. Zanim sięgnę po coś dla kota, wypadałoby sprawdzić, na której półce to jedzenie stoi.

Na wszelki wypadek odczekałam jeszcze parę sekund, ale nic.

Powoli, nie wierząc własnemu szczęściu, podniosłam głowę.

- Patrz!!! - jakaś kobieta wydarła się nagle do małego dzieciaka czterdzieści centymetrów za moimi plecami. - Poznajesz panią!?

Aż podskoczyłam. Cud, że udało mi się to przeżyć. Ze strachu serce tak mi podskoczyło, że prawie wybiło mi zęby. Niestety, na sprawne bębny zapewne nie będę mogła już więcej liczyć. Wspaniale. Nie ma to jak cudowne, fantastyczne zakupy w supermarkecie.

Mimo wszystko uśmiechnęłam się promiennie. Do małych, miłych dzieci i ich mamusie trzeba się uśmiechać promiennie. Zresztą ja w ogóle jestem promienna i ciągle się uśmiecham.

- Nie - odpowiedział synek z kamienną szczerością.

Mądre dziecko. Speszyło mamusię, dzięki temu może zaraz stąd sobie pójdą. Uśmiechnęłam się więc jeszcze bardziej promiennie, tym razem z autentyczną szczerością.

- Romuś! - mamusia jednak postanowiła nic sobie nie robić z kompromitujących wypowiedzi - własnej latorośli. Nie speszyła się ani o gram. Skupiona na Romusiu, z miną pod tytułem: „już ja ci w domu, gówniarzu, pokażę”, usiłowała siłą

własnego wzroku wpłynąć na jego narządy poznawcze. Nic z tego. Romuś wykorzystywał je właśnie do skrupulatnej analizy układania świeżej dostawy na stoisku z rybami.

- Nieważne - usiłowałam zbagatelizować sytuację, porwać jedzenie dla kota i dyskretnie, ale jak najszybciej, dać dyla z supermarketu. Nic z tego. Mamusia na mój krok w tył zareagowała błyskawicznie. Zanim zdążyłam zrobić drugi, ona już zastawiła mnie swoim wózkiem. Widać, była zdecydowana za wszelką cenę uświadomić Romusiowi, kim właściwie ja jestem. Boże. Żeby tylko potem nie odbiło się to na jego psychice i żeby nie znienawidził mnie do końca życia.

- Romuś! Patrz na panią! Ta pani gra w twoim ulubionym serialu, tak?! - mówiła z naciskiem, jednocześnie zaciskając stalowy uścisk na pulchniutkim ramionku swojej pociechy.

- W Pokemonach? - Romuś zaszczycił mnie wreszcie jednym, pełnym niedowierzania spojrzeniem, po czym z absolutną pewnością niedającego się wrabiać w żadne oszustwa sześciolatka ryknął na całe gardło: - Nieprawda! Ta pani kłamie!

Po czym z błogim spokojem, jaki ma się zwykle po dobrze spełnionym obowiązku, nie poświęcił mi już ani sekundy uwagi, tylko ponownie wciągnął się bez reszty w obserwację operacji układania pstraga. Nie szkodzi. Zamiast niego gapiło się już na mnie pół supermarketu.

- Ha, ha - powiedziała więc, zastanawiając się, jak stamtąd uciec. Mam! Wystarczy lekko popchnąć te wózki. - Jaki on jest uroczy...

- Pani stoi! - mamusia natychmiast rozszyfrowała moje manewry wózkami. Nie wiem jakim cudem. Przecież ani na moment nie spuszczała oczu z Romusia. - Romek! Przyjrzyj się uważnie i natychmiast powiedz, gdzie widziałeś tę panią.

Romek nic nie powiedział. Za to gęstniejący wokół nas tłumek wyraźnie zaczął pomrukiwać.

- Nie ma co, nie kojarzy - wtrąciłam z polubownym uśmiechem i licząc na to, że będę mogła wreszcie się stamtąd wydostać, zaczęłam ponownie przeciskać się pomiędzy wózkami. - Pójdę już raczej.

- O, jaka cwana! - wtrącił się na to jakiś nalany jegomość. - Pani jej lepiej tak od razu nie puszcza! Myśli sobie taka, że co? Że jak z telewizji, to wszystko jej wolno?

- Właśnie! - zawtórowała jakaś kobiecina w bordowym swetrze. Wyraźnie rozochociło to nalanego jegomościa.

- No, nie ma tak! Ukradła co pewnie! Te, synek, mów, gdzie widziałeś, ja dzwonię po kuzyna!

- Chwileczkę - powiedziałam, bo miałam wrażenie, że sytuacja jakoś wymknęła mi się spod kontroli.

- O, spękała, co? - nalany jegomość wyraźnie znalazł się w swoim żywiole. - No, kuzyn tu stąd, z ochrony, z daleka czułem, że ta tu ma coś na sumieniu!

- Przepraszam, ja nie... - zerknęłam błagalnym spojrzeniem z prośbą o wsparcie w stronę mamy Romusia, ale ona zdecydowanie przebywała teraz w jakiejś innej rzeczywistości.

- Romuś! Gdzie widziałeś! - Ramię Romusia było już całe sine.

- Dobra, puściłem kuzynowi sygnał, to i zara oddzwoni, pani mówi, co ta tu pani ukradła. - Nalany gość poczuł się już, widać, pominięty w rozmowie.

- Mnie? - To bezpośrednie pytanie wreszcie przywróciło mamę Romusia rzeczywistości. Prawdopodobnie też uratowało Romusia przed poświęceniem najbliższego czasu nauce, jak można sobie radzić bez jednej rączki. Co jak co, ale ja na jego miejscu podziękowałabym nalanemu. Tylko że ta rodzina nie należała chyba do wybitnie uspołecznionych. Mama też, nie wykazując najmniejszej empatii, spojrzała na

mnie podejrzliwie. - Tacy też już kradną? Widzisz, Romek, nikomu nie można ufać.

- Ale ja...

- Ma pan rację, ja też sprawdzę na wszelki wypadek... - dołączyła się ta w bordowym. Nie wiem tylko, co chciała sprawdzać, stała ze trzy metry ode mnie.

- ALE JA NIC NIE UKRADŁAM!!! - udało mi się wreszcie dojść do głosu. Niestety, chyba nie uwiarygodnić. Raczej tylko zwrócić na siebie uwagę drugiej połowy sklepu.

- He, he - zarechotał nalany. - Każdy tak mówi...

- TYLKO ŻE JA NIC NIE MAM!

Zapanowała konsternacja. Stojący wokół klienci podejrzliwie zaczęli lustrować mnie wzrokiem.

- Faktycznie... - powiedział wreszcie ktoś z tyłu. - Nawet nie ma torebki.

- Zara! - nalany postanowił się jednak nie poddawać. - Odrzuciła gdzieś może. - I jak na komendę zebrani zaczęli przeszukiwać okoliczne półki.

- Nic tu nie ma... - westchnął ktoś wreszcie, wyraźnie zawiedziony.

- Eee... Bo z tymi z telewizji to zawsze tak! - podsumowała niejasno baba w bordowym i wzruszając ramionami, odczłapała w głąb sklepu.

- Zamieszanie tylko robią! - prychnął jeszcze tylko w moją stronę jakiś staruszek i w atmosferze głębokiego niesmaku i pełnego zde gustowania moją osobą, która wbrew powszechnym nadziejom nie dostarczyła żadnej rozrywki, tłumek powoli zaczął się rozchodzić.

Jezu! - odetchnęłam z ulgą. Za co! - pomyślałam sobie jeszcze i zapominając zupełnie, po co tu w ogóle przyszłam, ruszyłam w stronę kas.

- Aaaa! - usłyszałam za sobą triumfalny głos Romusia. - To ta pani z Miłości i zdrady! Ta, o której tata mówi „wyłącz natychmiast tego głupiego paszteta”!!!

- Moje kochane skarbeńki! - zapiała na to mamusia z zachwytem. - Mój grzeczny chłopczyk. Wiedziałam, że sobie, synku, przypomnisz.

*

- Szykuj się, zaraz u ciebie będę i wychodzimy! - zarządziła stanowczo Haneczka.

- Nie! - sprzeciwiłam się jej jeszcze bardziej stanowczo. - Ja nigdzie nie idę!

- Musisz - stwierdziła na to w odpowiedzi.

- Nie mam siły! Dopiero przyjechałam - wyjęczałam żałośnie do słuchawki, ale do Haneczki już to nie dotarło. Słuchawka wydała długie „biiiiip”, a Haneczka prawdopodobnie była już dawno w drodze.

Nie! Nie chcę wychodzić! - powiedziałam zatem sama do siebie i wysłuchałam się ze śmiertelną uwagą. Mam dość wrażeń. Chcę spokojnego wieczoru w dresach i z pilotem od telewizora.

Nigdzie nie wyjdę! Zbuntowałam się, włączyłam telewizor i z bojowym nastawieniem czekałam na Haneczkę. Będę nieugięta! Może mnie prosić, błagać, szantażować. Może się nawet ze mną pokłócić. Nic nie sprawi, że dzisiaj gdziekolwiek ruszę się z tego fotela. Postanowiłam. Rozważałam, czy dla lepszego efektu nie przywiązać chociaż jednej ręki do poręczy fotela.

- Jeszcze w proszku?! - wpadła Haneczka i spojrzała na mnie krytycznie. Sama zaczęła. Zaraz usłyszysz, co myślę o tak pozbawionej empatii przyjaciółce. - Szkoda... - mówiła dalej. - Chyba już nie zdążymy złapać na tej imprezie Krystiana...

Kwadrans później pakowałyśmy się do czekającej na nas taksówki.

- I niech pan naprawdę nie zavraca sobie głowy przepisami! - błagałam od progu kierowcę. - To sprawa życia i śmierci!

Nie kłamałam. Od widoku Krystiana byłam uzależniona. Jak nic groziła mi śmierć z tęsknoty.

- Gdzie jest? Widzisz go? Widzisz!?! - szarpałam za rękę Haneczka i sama w tym czasie rozglądałam się niespokojnie. Cholera. Nie był to sztywny bankiet, tylko urodziny knajpy i na tej imprezie przewalały się dzikie tłumy.

- Rozdzielmy się - wpadła na genialny pomysł Haneczka. - Spotkamy się przy barze. Która go pierwsza znajdzie, niech od razu wypyta o wydarzenia z tamtej nocy, zanim znów pod jakimś pretekstem uda mu się dać dyla.

O, nie! Na pewno nie! Nie mogę dopuścić, aby Haneczka pytała, czy może trafił wtedy do izby wytrzeźwień! W życiu potem nie będę mogła pokazać mu się na oczy, nie mówiąc już o tym, że w taki sposób na pewno go nie zdobędę. Za wszelką cenę muszę dopaść go pierwsza.

Tylko jak?

W tym miejscu mogło mi się to udać najwyżej cudem.

Chyba że wezmę się na sposób.

- Widziałeś Krystiana? - zagadnęłam pierwszego napotkanego fotoreportera.

W odpowiedzi wzruszył ramionami i zatoczył ręką koło. Dzięki, jasne! Też mi pomógł!

- Widziałeś? - dorwałam po chwili kolejnego, a potem następnego i następnego. Rany! Szybko! Niech ktoś mi powie, gdzie on jest, zanim dorwie go ta gadająca tylko o izbach Haneczka.

- Czekał, właśnie idę go fotografować. - Wreszcie. Cudowny Piotruś! Fotoreporter najlepszy z najlepszych. Dzięki mu wielkie. I przysięgam. Bez względu na to, jak i kiedy będzie mi robił zdjęcia, zawsze będę uśmiechać się

wtedy z zębami. - Chodź ze mną, tylko mi potrzyмай piwo, bo muszę tam mieć wolne ręce - poprosił. Piwo? Nie ma problemu! Mogłabym w tej chwili dla niego trzymać nawet niebo! - Jest teraz przed knajpą, właśnie wychodzą z jakąś panną.

Jakaś panną?! Na chwilę mnie totalnie zmroziło. Nie! Haneczka jednak dorwała go pierwsza!

- Ej, poczekaj, idziemy przecież razem! - wołał za mną Piotruś. - Iza! To chociaż mi oddaj to moje piwo!

Piwo? Czemu on mówi o jakimś piwie? Czy on nie rozumie, że być może teraz Haneczka, porywając Krystiana podstępnie na szczegółowe przesłuchanie i zagadując beztrudnie o nocie spędzanej w aresztach, rujnuje moją przyszłość?!

Jest! Jeszcze jest! Zauważyłam go przez szklane drzwi knajpy. Całe szczęście zatrzymali go fotoreporterzy! Haneczki nie mogłam dostrzec, zasłaniał mi ją jakiś wielki, stojący w progu ochroniarz.

- Przepraszam, przepraszam, przepraszam - przepychałam się z trudem przez dziki tłum wchodzących do środka ludzi.

Udało się. W ostatniej chwili.

- Już wystarczy, naprawdę - Krystian właśnie podziękował fotografom i zrobił pierwszy krok w stronę czekającej na ulicy taksówki.

- Nie! - zawołałam rozpaczliwie i jednym susem chciałam przeskoczyć te dwa dzielące nas metry.

- Chwileczkę! Nie wynosimy szkła! - w ostatniej chwili usiłował mnie złapać stojący w drzwiach ochroniarz.

Za późno.

Byłam już w locie.

Szarpięcie za rękę spowodowało jednak, że straciłam równowagę i... z ogromnym rumorem rozpląszczyłam się

prosto u stóp wmurowanego w ziemię ze zdziwienia Krystiana.

Sparaliżowało również fotografów.

- Ach! - pisk jego towarzyszki, która nie była Haneczką, a na nieszczęście oberwała szklanką z piwem, na powrót ożywił sytuację.

- Coś ty zrobiła! - wydarł się na mnie Krystian w błyskach tysiąca fleszy. Nie brzmiało to jak pełne troski pytanie.

- Moje piwo! - doleciał mnie jeszcze jęk Piotrusia z oddali i więcej już nie słyszałam.

Zemdlałam.

Gdy doszłam do siebie, rzeczywistość okazała się tak straszna, że miałam ochotę natychmiast powtórzyć ten numer z omdleniem. Niestety, nie wyszło, chociaż bardzo się starałam.

- Pięknie - powiedziała Haneczka, nerwowo chodząc po moim pokoju z najnowszą gazetą w ręku. - A ten drań niczemu nie zaprzecza. Bezczelnie nawet udziela na ten temat dużego wywiadu. I to jeszcze w tym momencie, kiedy ciebie pogotowie zabiera do szpitala.

Nie odpowiedziałam. Prawdę mówiąc, od wczorajszego wieczora niewiele mówiłam. Natomiast od dzisiejszego poranka nie mówiłam już prawie wcale.

Gdy po omdleniu doszłam już wreszcie do siebie, pierwsze, co zobaczyłam, to pochyloną nade mną, potwornie przerażoną Haneczkę i nie mniej przerażonego Piotrusia. Oboje pomagali pielęgniarzom zapakować mnie do karetki.

W szpitalu trochę zajęło wytłumaczenie lekarzom, że nie jestem wcale w trupa pijana, tylko kompletnie przemoczona piwem, nie ma więc konieczności, aby aplikować mi jakieś odtrucie. Nie wyglądali na przekonanych, zwłaszcza że wyrywałam się im co chwila i pytałam wszystkich, czy

przypadkiem nie widzieli Krystiana. Nie widzieli. Na rentgenie, gdy jakiś docent nakrzyczał na mnie, że jak się wreszcie nie przestanę ruszać, to w życiu nie zrobią mi dobrego zdjęcia, na chwilę się uspokoiłam. Nie dlatego że wreszcie wrócił mi racjonalizm. Wręcz przeciwnie. Resztki zdrowego rozsądku zostały wyparte przez jedną, koszmarnie paraliżującą myśl: zdjęcia!

Mnóstwo fotoreporterów zrobiło nam wtedy zdjęcia!

Krystian znienawidzi mnie za to do końca życia!

Gdy to do mnie dotarło, wtedy właśnie spróbowałam zemdleć po raz drugi.

Niestety, szybko mnie docucili.

Nie wzięłam pod uwagę tego, że jestem w szpitalu.

- Bardzo skomplikowane złamanie kości śródrečia - usłyszałam głos docenta i nerwowe pytanie Haneczki, czy jest szansa, że za trzy dni zdejmą mi jednak ten gips, bo zaczynam zdjęcia.

Zdjęcia! - trafiło mnie po raz kolejny.

Producent mnie zabije, bo za trzy dni zaczynam przecież zdjęcia...!

Znów kusilo mnie, aby popróbować z mdleniem, ale wiedziałam, że jestem w szpitalu i nie ma co tu tego nawet zaczynać. Odczekałam, aż Haneczka z Maćkiem (Maćkiem? Co tu robił Maciek? Jak nic bezczelnie zajmował miejsce Krystiana!) odwiozą mnie do domu. Dopiero tam próbowałam po raz trzeci.

- Nie ma się czym przejmować - usłyszałam płynący z oddali głos Haneczki. Niestety, nie miałam siły dyskutować. W innym wypadku na pewno powiedziałabym jej, że jest czymś, i to cholernie! - Na wszelki wypadek zostanę tu na noc. Lekarz powiedział, że dostała silne prochy przeciwbólowe i ma pełne prawo teraz się tak zachowywać, do jutra jej przejdzie.

Nie przeszło.

Zrobiło się nawet gorzej.

Telefon od Producenta naiwnie odebrałam, ale to dlatego, że Haneczka wtedy nie przyniosła jeszcze gazety.

Był wściekły.

Mówił coś o naruszeniu umowy w trzech punktach. Chodziło mu o picie alkoholu w miejscach publicznych, złe prowadzenie się i robienie rzeczy niemoralnych. Gdy dowiedział się o złamanej ręce, myślałam, że trafi go apopleksja. Na szczęście nie dorzucił do tego naruszenia punktu o sportach ekstremalnych.

Nie dyskutowałam z nim. Nie miałam siły.

On natomiast miał. Poinformował mnie, że telewizja, która emituje nasz serial, pospiesznie zwołała zebranie zarządu. Doszli do wniosku, że nie chcą rujnować wizerunku swojej stacji współpracą z osobami, które wywołują takie skandale. Tu użył mnóstwa skomplikowanych terminów, ale chodziło generalnie o to, że w trybie natychmiastowym właśnie straciłam pracę.

Telefonu z domu rodzinnego już na wszelki wypadek nie odebrałam.

Chwilę potem dodzwoniła się do nas pani Zofia. Absolutnie oburzona. Do głębi rozczarowana. Potwornie rozżalona, że okazała tyle zaufania osobie, która kompletnie na to nie zasługiwała. Oczekiwała, że jak najszybciej wyprowadzę się z mieszkania. Ona, zaalarmowana monitami Administratorki, przyjechała do kraju i póki co zatrzymała się u swojej starej ciotki.

Ale nie to było jeszcze najgorsze.

Po raz czwarty próbowałam zemdleć, gdy Haneczka przyniosła gazetę.

Niestety, nie wyszło. Proszki przeciwbólowe przestały mnie otumaniać, a bez ich pomocy okazało się to

niewykonalne. Musiałam wysłuchać całości czytanego przez Haneczkę artykułu.

- „Kompletnie pijana aktorka z Miłości i zdrady Iza Strzelecka w furii zazdrości o swojego serialowego amanta Krystiana Krzemińskiego (słynnego KaKe) zraniła do krwi jego życiową wybrankę i jego samego...” - przeczytała. - Ty, są tu nawet jej zdjęcia! Naprawdę krwawiła?

- Nie wiem - odpowiedziałam martwo. - Może, w końcu oberwała szklanką piwa.

- Tu nie widać, ja wtedy nie zwróciłam uwagi. Ale słuchaj dalej: „Czyżby aktorce pomieszało się prawdziwe życie z rolą w serialu? »Owszem, łączyło mnie coś z Izą - powiedział nam Krystian Krzemiński, mocno wstrząśnięty tym wydarzeniem. - Ale nasz związek od dawna się nie układał, dlatego postanowiłem się rozstać z Izą...«”. Jakie rozstać?! Jaki związek? ! Co on, za przeproszeniem, chrzani?

- Nie wiem - odpowiedziałam. Naprawdę nie miałam pojęcia.

- „To prawda, ona nie mogła się z tym pogodzić. Nie dawała mi spokoju, wymuszała publicznie obietnice, że na pewno do niej zadzwonię. Ostatni raz zdarzyło się to przy ekipie na planie. Unikałem jej jak ognia, ale wcale mnie nie zdziwiło, że pojawiła się na tej imprezie, gdzie po raz pierwszy chciałem publicznie pokazać się z Dorotką. Mam tylko nadzieję, że Dorotka otrząśnie się po tej sytuacji i jakoś wyjdzie z ciężkich obrażeń...” No co za brednie jakieś! Iza, powiedz coś! - gorączkowała się Haneczka.

Co mogłam na to powiedzieć?! Krystian to wredna świnią.

Jeden plus, że to całe zauroczenie jego osobą przeszło mi w mgnieniu oka.

*

- Słyszał pan? - Pan Henryk jak zawsze wychodził po swoje bułki, gdy jeszcze na klatce zatrzymała go sąsiadka. - Wracą do nas pani Zofia.

- Tak? Kiedy? - zainteresował się natychmiast pan Henryk.

- Na dniach. Na chwilę tylko, bo potem znów jedzie do rodziny. Przyjedzie tu tylko zrobić porządek z mieszkaniem.

- Tak? A co z Nierząd... To znaczy, tego, z tą aktorką?

- No, jak to? Po tym wszystkim? Pani Zofia chce, żeby jak najszybciej opuściła jej mieszkanie! I chwała Bogu, panie Henryku... - ciągnęła sąsiadka, ale pan Henryk nie słuchał. Stał bardzo nad czymś zamyślony. - Lubiłam ją nawet, ale w życiu się tego nie spodziewałam. Niby taka miła, uczynna, a takiego diabła ukrywała. Niech się wynosi, wreszcie znów będzie spokój w naszej klatce.

Pan Henryk zapomniał o bułkach i nadal bardzo zamyślony, wrócił do domu.

Chyba powinien być zadowolony. Wynosiła się wreszcie ta Nierządnicą spędzająca mu sen z powiek swoją niemoralnością, hulaszczym trybem życia i w ogóle wszystkim.

Zastanowił się nad tym. Dziwne.

Nie był.

Zamiast tego zakłuło go jakoś serce.

Nie, nie, bzdura. Musi być zadowolony. Przecież właśnie o to mu chodziło. Chciał się jej stąd pozbyć. Wyrzucić z kamienicy, żeby nie musiał już godzinami ślęczeć w oknie, zastanawiając się, o której wyjdzie na te zdjęcia albo wreszcie z nich wróci! Miał przecież tego powyżej uszu, tęsknił całym sercem do tych spokojnych dni, kiedy zajęty był tylko i wyłącznie obserwowaniem swoich starych sąsiadów. Do tego, że całymi godzinami, całymi dniami nic się nie działo, nic tylko przewidywalne ruchy do sklepów i z powrotem, zero

adrenaliny i zero emocji, nuda, tylko nuda, jeden brulion dziennika wydarzeń wypełniał bez mała pół roku.

Znów jakby zakłuło go w sercu.

Przez Nierządnicę na nowy zeszyt musiał wykosztowywać się równo co miesiąc. A ile się naprzeżywał, nadenerwował, co najmniej tak, jakby przeżywał swą drugą młodość.

Znaczy, tego, wykańczało go to... Poprawił się szybko w myślach. Nie zabrzmiało to jednak wiarygodnie.

„I dobrze, że się wyniesie”, pomyślał z mocą, a serce z żalu zakłuło go po raz trzeci.

Jak to, wyniesie się? I znów będą te niekończące się dni kompletnie bez żadnych wydarzeń?!

O, nie! Na pewno nie! Nie może do tego dopuścić! Absolutnie nie może się na to zgodzić! Tylko co robić? Co w tej sytuacji zrobić?!

Pan Henryk w nagłym impulsie chwycił dziennik wydarzeń, pospiesznie wybiegł z domu i popędził schodami do góry.

Nie! Na półpiętrze zawrócił i zaczął z powrotem zbiegać po schodach. Nie może przecież w tej sytuacji iść do Nierządnicy i po prostu wręczyć jej swój notes. Nie wypadało mu, oficjalnie ją przecież potępiał. Do pani Zofii, od razu do pani Zofii.

Jednak nie. Po kilku metrach, gdy wybiegł z klatki schodowej, jednak zawrócił. Do pani Zofii też iść nie może. Gdy tylko zajrzy do dziennika i zobaczy, że są tam szczegółowe informacje dotyczące wszystkich sąsiadów, o niczym nie będzie chciała słuchać i nie zgodzi się nawet drugi raz go otworzyć.

Administracja. Pan Henryk pognał w przeciwnym kierunku.

Odpada. Administratorka uzna, że znów fantazjuje. To kto? Dozorca? Policja? Ksiądz? Sam prezydent?

Pan Henryk przestał się miotać i stanął. Po pierwsze dlatego, że nie miał już więcej żadnych pomysłów, po drugie, bo dostał lekkiej zadyszki.

Cholera!

Co robić?!

*

Maciek powoli szedł w stronę mieszkania Izy. „A to się dziewczyna wpakowała!”, myślał. A wszystko przez tego drania Krystiana! Od początku ten typ jakoś mu nie pasował. No dobra, może i był zazdrosny. Co prawda nie było niby o co. Nie miał ku temu najmniejszych podstaw. Iza podobała mu się bardzo, ale nie miał u niej przecież kompletnie żadnych szans. Może zanim dostała tę rolę w serialu... Ale zanim dostała, nie mógł zebrać się na odwagę, a potem było już za późno. Tym bardziej nie miał śmiałości. Do niej, sławnej aktorki? W życiu! Zwłaszcza po tym, jak się okazało, że spotyka się z tym bożyszczem nastolatek Krystianem.

Z zamyślenia wyrwał go dziwny widok.

Łysy staruszek o bardzo dystyngowanym wyglądzie. Hm. Wcale nie zachowywał się dystyngowanie!

Co jest? Maciek aż przystanął z wrażenia. Jakiś emerycki jogging?

Staruszek pędem biegł w jedną stronę, mniej więcej po piętnastu metrach zatrzymywał się jak wmurowany. Stał nieruchomo jak posąg przez kilka sekund, po czym dzikim pędem rzucał się w przeciwnym kierunku. Po piętnastu metrach znów nagle się zatrzymywał.

Wreszcie ostatecznie staruszek stanął. Dysząc ciężko, z potwornym napięciem wpatrywał się gdzieś przed siebie.

Maciek na wszelki wypadek też spojrzął w tym samym kierunku.

Nic szczególnego nie zauważył. Zaintrygowało go to jednak do tego stopnia, że podjął decyzję. Postanowił spytać staruszkę, czy u niego na pewno wszystko w porządku.

*

Pan Henryk intensywnie myślał. Może ten dziennik komuś podrzucić? Ktoś znajdzie, zacieka się, zacznie czytać. Tylko kto? Kto te informacje bez jego wyjaśnień wykorzysta tak, że powiąże wszystkie sznureczki w jednym celu: aby udowodnić pani Zofii, że kompletnie się myli, prasa kłamie i broń Boże nie można pozbywać się stąd Nierządniczy, inaczej życie pana Henryka zostanie zrujnowane?

Cholera. Najlepiej byłoby po prostu oddać to Nierządniczy do rąk własnych. Ale jak to zrobić, jeśli teraz w najbliższym czasie będzie siedzieć w domu? Jeżeli położy na wycieracze, to pewnie akurat będzie do domu wracać pani Wołowiec, która mieszka naprzeciwko i ma sklerozę. Zagarnie dziennik, a potem szukaj wiatru w polu. W życiu się już go nie odzyska. Podrzucić Nierządniczy. Tylko jak to zrobić?!

W tym momencie wzrok pana Henryka padł na zbliżającego się szybkim krokiem Maćka.

„Porządny chłopak” - już dawno w swoim dzienniku ocenił pan Henryk. „Nieszczęśliwie zakochany w Nierządniczy”, napisał poniżej.

Hm. Nadawał się wręcz idealnie!

Tylko co? Pan Henryk miałby mu ten dziennik tak po prostu wręczyć i poprosić, aby uprzejmie zaniósł na górę? Głupio. Nie wzięłby, zażądałby wyjaśnień, jeszcze by pana Henryka Bóg wie o co posądził!

Nie. Trzeba załatwić to jakoś inaczej.

*

Maciek stwierdził, że coś jest nie tak.

Staruszek przestał dyszeć, za to wpatrywał się w Maćka z tak dziwnym napięciem, że ten poczuł się lekko

zaniepokojony. Cholera, czy ten człowiek jest aby normalny? Wygląda dziwnie, kto wie, może ma teraz właśnie jakiś atak. Na wszelki wypadek Maciek zwolnił kroku. Uświadomił sobie, że tak naprawdę to on wariatów trochę się boi. Licho wie, co takiemu może nagle strzelić do głowy. Rzuci się na niego na przykład, głupia sprawa, Maciek odruchowo odepchnie go w samoobronie, staruszek upadnie i skręci nogę. Potem jego rodzinie do końca życia nie spłaci odszkodowania.

Cholera. Może niepotrzebnie tam w ogóle idzie?

Jednak zdusił w sobie myśl, aby w takim razie zawrócić i pójść w przeciwnym kierunku, bo uprzytomnił sobie w ostatniej chwili, że przecież musi.

Obiecał Haneczce, że wpadnie do Izy jeszcze raz przejrzeć jej aktorską umowę.

Niedobrze! Że też akurat teraz musiał iść to zrobić!

Nieuchronnie zbliżał się do staruszka. Spojrzał na niego jeszcze raz... i zamarło mu serce.

Na twarzy staruszka pojawił się przerażający uśmiech.

„Do licha! - Maciek spanikował. - Wariat, wiedziałem! Co mam robić, za chwilę, jak nic, na pewno się na mnie rzuci”.

W tym momencie staruszek poruszył się gwałtownie. Przygotowany na najgorsze Maciek odskoczył szybko do tyłu, skulił się, zasłaniając rękami, i...

- Psychol jaki, czy co... - powiedziała przechodząca chodnikiem pani z dwoma wielkimi siatami.

Poza tym nic się nie stało.

Maciek postanowił więc zebrać się na odwagę. Otworzył oczy.

Staruszek dystyngowanym krokiem oddalał się właśnie od niego.

Uff! Maciek poczuł, jak to jest, gdy wór kamieni spada z serca.

„Nie ma co - pomyślał zadowolony. - To chyba naprawdę był jakiś atak, widać, już mu przeszło. Pewnie to krępująca sprawa, nie mogę dodatkowo denerwować go jeszcze głupimi pytaniami”.

Wstał i wyrzucając sobie z głowy staruszka, lekkim już krokiem zaczął iść w kierunku drzwi wejściowych.

O! Staruszkowi wypadł z ręki jakiś zeszyt... i starszy pan nawet tego nie zauważył.

Maćka przez chwilę kusiło, że przecież może udać, że niczego nie spostrzegł.

Niestety, nic z tego! Poddał się. Miałby potem potworne wyrzuty sumienia.

- Halo, proszę pana! - zawołał i szybkim krokiem przebył dzielące go od zeszytu metry. Staruszek nie zareagował.

- Halo, proszę pana, zgubił pan zeszyt! - zawołał ponownie. Nic. Zero reakcji, Staruszek spokojnie odchodził dalej.

„Może jest głuchy”, wpadło do głowy Maćkowi. Podniósł zeszyt i ruszył w kierunku staruszka.

- Niech pan zaczeka! Zeszyt! - zawołał, ale i tak nie spodziewał się żadnej reakcji.

I tu się zdziwił. Staruszek nagle się odwrócił.

- Zeszyt! Zgubił pan zeszyt! - Na potwierdzenie uśmiechnął się i zamachał trzymanym w ręku brulionem.

I tego to naprawdę się nie spodziewał.

Staruszek dostrzegł go, nie było co do tego najmniejszej wątpliwości. Ale zamiast zatrzymać się i podziękować, na widok idącego w jego kierunku Maćka przestraszył się i zaczął uciekać.

- Nie, no nie! - po kilku krokach pościgu Maciek się jednak zatrzymał. Bez sensu. Nie będzie przecież ganiał po ulicach jakiegoś walniętego staruszka. Jeszcze ktoś napuści na

niego policję i co im powie? Że emeryt walnął na zawał z wyczerpania, bo on chciał mu oddać zeszyt?

I kto mu uwierzy? Zwłaszcza z tym jego wyglądem sportowca. Niech to szlag. Mógł chociaż włożyć garnitur, nie dresy.

Telefon do przyjaciółki

Gdy wreszcie Haneczka z Maćkiem sobie poszli, to, prawdę mówiąc, odetchnęłam z ulgą. Nie, nie to, że miałam ich dosyć albo że ich nie doceniałam. Oboje byli kochani. Haneczka była przy mnie cały czas i mogłam na nią w każdej chwili liczyć. I Maciek... Też był przy mnie cały czas i w każdej sprawie mogłam na niego liczyć. Naprawdę, wśród różnych egzemplarzy mężczyzn, których poznałam na swojej drodze, on był po prostu wyjątkowy. Szkoda, że tak kompletnie nie zwraca na mnie uwagi - pomyślałam, ale natychmiast ugryzłam się w swój wirtualny język. Przecież obiecałam sobie, że nie będę tak nawet myśleć!

Odetchnęłam z ulgą, bo chodziło mi o coś zupełnie innego.

Potrzebowałam chwili dla siebie, żeby spróbować jakoś zebrać myśli i zastanowić się, co dalej mam ze sobą w tej sytuacji zrobić?

Trzeba było zebrać oświadczenia od lekarzy ze szpitala, że wtedy byłam obrzydliwie wręcz trzeźwa. Potem od Piotrusia, że nie piłam własnego piwa, tylko trzymałam jego. Oraz znaleźć taksówkarza, który nas tam zawiózł. Może będzie pamiętał, o której z Haneczką wysiadłyśmy z taksówki, i poświadczy, że nie byłyśmy tam dłużej niż jakieś pół godziny. Jak będę miała szczęście, może to wystarczy, aby przekonać Producenta, że naprawdę nie piłam alkoholu w miejscu publicznym ani nie byłam wtedy pijana. Była szansa, że dzięki temu może uwierzy, że naprawdę źle się nie prowadzę. Nie miałam za to pomysłu, jak mu udowodnić, że wcale nie zachowywałam się tam niemoralnie. Co najmniej stu świadków widziało, że nieszczęsna Dorotka oberwała piwem. Co z tego, że absolutnie nie miałam co do niej żadnych złych zamiarów? Do tego okropnego wydarzenia nie miałam nawet bladego pojęcia o jej istnieniu! Wszyscy i tak byli przekonani,

że mściłam się na Krystianie za to, że zerwał nasz związek. Do licha! Jaki związek? Musiałam przede wszystkim udowodnić, że nie łączył nas żaden związek! Tylko jak miałam to zrobić, skoro on twierdził coś dokładnie przeciwnego?!

Zresztą nawet gdyby mi się udało przekonać Producenta, że sytuacja przed knajpą była tylko i wyłącznie nieszczęśliwym wypadkiem, nie zmieniało to jednego. Zarząd telewizji nie chciał niszczyć wizerunku swojej stacji współpracą z aktorkami, które wywołują takie skandale. Fakty były takie, że właśnie straciłam pracę.

Bohaterka Weronika w trybie natychmiastowym miała wyjechać. Daleko. Do Ameryki Południowej.

Westchnęłam ciężko.

Straciłam również mieszkanie.

Westchnęłam więc jeszcze ciężiej.

Powinnam zebrać się w sobie, aby jak najszybciej coś znaleźć.

Zebrałam się więc.

Pomimo ręki w gipsie wzięłam się w garść, ale po kilku dniach sytuacja nie za bardzo chciała się zmienić.

Mieszkań, i owszem, było zatrzęsienie. Jednak w takich cenach, że po trzech miesiącach przemieszkałabym wszystkie swoje oszczędności. Nie szkodzi. Byłam na to zdecydowana. Od pani Zosi, zgodnie z jej życzeniem, chciałam wyprowadzić się jak najszybciej.

- Poczekaj chwilę - prosiła mnie markotnym głosem Haneczka. - Na pewno coś tańszego się jeszcze znajdzie. Taki boom na rynku na wynajmowane mieszkania nigdy nie trwa długo.

Nie dyskutowałam.

- Przepraszam - mówiła co chwilę. Chyba czuła się winna, że mnie wyciągnęła na tę imprezę.

- Nie wygłupiaj się! To naprawdę nie jest twoja wina! - starałam się ją uspokoić. Niestety. Haneczka wiedziała swoje i dlatego z dnia na dzień markotniała coraz bardziej. - Pozwól mi chociaż, w ramach rekompensaty, znaleźć ci jakieś dobre mieszkanie - prosiła.

Nie była mi winna żadnej rekompensaty. Jednak, skoro to miało poprawić jej humor, z wyprowadzką mogłam się jeszcze parę dni wstrzymać.

Mój humor, o dziwo, z dnia na dzień był coraz lepszy.

Mogłam wreszcie odpocząć! Wysypiałam się! Owszem, cały czas dzwonili do mnie dziennikarze. Chcieli, abym skomentowała sytuację i ustosunkowała się jakoś do minionych wydarzeń.

Jednak nie zamierzałam z nikim rozmawiać na ten temat, dopóki nie wyjaśnię z Producentem do końca całej tej sprawy. Dlatego odwołałam wszystkie wywiady. Nie odbierałam telefonów od dziennikarzy. Zniesmaczeni ostatnią publikacją organizatorzy charytatywnych kwest, poczytanek w bibliotekach i innych imprez też poszli mi na rękę, bo natychmiast wszystko odwołali. Co prawda podali inne powody, ale ja i tak wiedziałam, o co im chodzi.

Nie przejmowałam się tym jednak.

Miałam wolne.

Wreszcie prawdziwe wolne.

Cudownie! Obudziłam się z poczuciem, że życie jest naprawdę cudowne. Ach! Nie będę grać w serialu. Ludzie nie będą mnie napadać w supermarketach. Starsze panie nie będą żądały obietnic w pekaesach, a gimnazjaliści wreszcie przestaną być największym w świecie koszmarem.

Czy można wyobrazić sobie coś przyjemniejszego?

Bosko! Przeszcześliwa puściłam wodę do wanny. Wreszcie mam czas, aby zrobić sobie długą, relaksującą kąpiel. Potem śniadanko. Potem... hm... Potem - nie

wiedziałam jeszcze co. Jak przez mgłę przemknęła przez moją głowę wizja adresowania kopert, ale szybciotko postarałam się ją od siebie odgonić, dzięki czemu nie straciłam dobrego humoru. Zatem potem... może postaram się wyciągnąć gdzieś na kawę Haneczkę? Od czasu urodzin knajpy miała coraz gorszy nastrój, tak że zaczęłam się już o nią poważnie niepokoić. Za bardzo się tym przejmuję, biedulka. Niedobrze! Muszę trochę się nią zająć, zanim wpadnie w jakąś poważną depresję.

*

- Musi! Musi iść do tej gazety! - gorączkował się w tym samym czasie Maciek.

Przed chwilą zjawił się, potwornie zdenerwowany, u Haneczki. Zdenerwowanie wynikało z kilku powodów. Przede wszystkim z tego, że wcześniej kompletnie zapomniał o notesie staruszka. Pod klatką wrzucił go do teczki, wzruszył ramionami i poszedł na górę do Izy. Miał plan, że gdy tylko się u niej zjawi, powierzy jej notes, niech już ona odda go staruszkowi. Była szansa, że przed Izą staruszek nie będzie uciekał.

Pech jednak chciał, że wszedł do Izy, zobaczył ją i...

... i jak zwykle kompletnie o wszystkim zapomniał.

Dopiero po paru dniach notes staruszka na powrót napatoczył mu się pod rękę. „Co to u licha jest?”, pomyślał, wyciągając z teczki gruby, mocno podniszczony zeszyt. Zupełnie nie pasował do staruszka. Hm. Maciek zastanowił się przez chwilę. Doszedł do wniosku, że zeszyt z pewnością jest czyjś, więc nie powinien zaglądać do środka, tylko zwrócić go właścicielowi. No tak, ale jak nie zajrzy, to tym bardziej nie dowie się, do kogo należy.

Dlatego zajrzał.

„Dziennik wydarzeń” - zobaczył napis na pierwszej stronie i już zamykał go z powrotem, bo nie czytywał cudzych

dzienników, gdy oko niechcący zakodowało informację: „Godzina 21.00: Nierządnica Strzelecka jak zwykle została odwieziona samochodem do domu”.

„Nierządnica Strzelecka?! - zakotłowało się coś natychmiast w Maćku. - Jaka »Nierządnica Strzelecka«? Iza?”, pomyślał z niedowierzaniem i już bez najmniejszego wahania ponownie otworzył zeszyt...

Po godzinie już był u Haneczki.

- Czy Iza o tym wie? - spytała po następnej godzinie, podczas której ona z kolei, przełamując w sobie opór co do czytania cudzych dzienników, wreszcie zapoznała się z jego treścią.

- Nie wiem - odpowiedział Maciek. - Ja nic jej nie mówiłem.

- Aha - odpowiedziała na to Haneczka. - To co teraz robimy? !

Zapadła na chwilę cisza. Maciek z Haneczką z napięciem wpatrywali się w zeszyt. Cholera. Mimo wszystko powinni go oddać.

- Bzdura! - zdenerwował się Maciek. - Przecież jak chciałem go oddać, to ten staruszek...

- Pan Henryk - poprawiła go odruchowo Haneczka.

- Pan Henryk - poprawił się natychmiast Maciek - zaczął przede mną uciekać!

Haneczka popatrzyła na niego krytycznie.

- Też bym zaczęła, jakby nagle za mną po ulicy pobiegł jakiś rosły dryblas.

- Ale ja mu przecież machałem!

- Masz rację. Jakby biegł i wymachiwał, tobym nie uciekała. Od razu padłabym na zawał serca. Cud, że ten pan Henryk jeszcze żyje!

Znów umilkli i pospiesznie zastanawiali się, co zrobić.

- Trzeba oddać, to fakt - przyznał wreszcie Maciek. - Ale nie musimy chyba tak od razu? Możemy na przykład wieczorem? - spytał z nadzieją.

- A do wieczora co? Jakoś zdążymy to wykorzystać?

- Zdążymy pójść do tej gazety. Iza musi zobaczyć, czy rozpoznaje gdzieś tam tę osobę - odpowiedział Maciek z namysłem.

- A jeśli tak?

- To z nimi pogadamy. Pokażemy zeszyt. Jeśli nie będą chcieli napisać sprostowania, wytoczmy im proces. W każdym razie uprzedzimy, że jakby co, to konkurencja będzie nas po rękach całować za ten materiał na pierwszą stronę. Dobra! - zarządził Maciek po chwili. - Dzwoń do Izy. Trzeba ją tam jak najszybciej wyciągnąć!

- Hm - zastanowiła się Haneczka. - Nie wiem, czy Iza będzie chciała tam iść. Ma uraz do tej gazety. Zresztą w ogóle nie rozmawia z dziennikarzami. Trudno będzie ją przekonać. Sam wiesz, jak ona ostatnio wygląda! Jest przemęczona! Chyba nieco zdołowana tym wszystkim. W ogóle się nie odzywa, tylko cały czas dziwnie się uśmiecha. Cholera wie, co jej chodzi po głowie. Nawet nie mam pomysłu, w jaki sposób miałabym jej to powiedzieć. Cześć, Izuś, wiem, że najbardziej chciałabyś o wszystkim zapomnieć, ale wiesz co? Chodź, pójdziemy w paszczę lwa, może uda się nam sprowokować kolejny skandal! Już widzę, jak klaszcze z radości i rzuca się mi na szyję. Chyba jedynie po to, żeby mi przegryźć tętnicę, ona z natury jest wybuchowa.

- O rany! - zirytował się Maciek. - Normalnie zadzwoń, jak gdyby nigdy nic.

- Jasne... - nie dała się przekonać Haneczka.

- No, tak! Mów spokojnym, kojącym tonem. Po jej głosie wyczujesz, w jakim jest nastroju, a jakby było dobrze, spytasz

po prostu, czy nie miałyby ochoty spotkać się z nami i pojechać w jedno miejsce...

- No, nie wiem - Haneczka zaczęła się wahać.

- Dobra! To nasza jedyna szansa, aby odkręcić jakoś tę całą sytuację. Ale jak chcesz. To w końcu twoja przyjaciółka.

Haneczka patrzyła na niego pełnym wahania wzrokiem.

- No, dobra... - zaczęła się łamać. - Dzwonię! Ale jak się wścieknę i zrobi coś głupiego, to ja za to nie odpowiadam!

- Tylko spokojnie! - wykrzyknął uradowany Maciek. - Pamiętaj, mów powoli i kojąco!

*

Cudownie! - pomyślałam z maseczką na twarzy, odżywką na włosach, po szyję zanurzona w pianie, solach do kąpieli, specjalnych płynach, granulatach, kryształkach, zapachach i odmładzaczach, tak że miejsca na wodę musiało tam zostać naprawdę niewiele. Nie zdążyłam jednak długo upajać się kąpielą, bo minutę po moim wejściu do wanny zadzwonił niecierpliwie telefon.

Mam go gdzieś - pomyślałam rozleniwiona. Może zaczekać. Od dawna mi się to należy.

- I co?! - niecierpliwie dopytywał się zdenerwowany bezgranicznie Maciek.

- Nadał nie odbiera - głuchym głosem odpowiedziała Haneczka.

- Cholera! - przeklął nerwowo. - Musi! Musi iść do tej gazety!

- Spokojnie! - uspokajała go wcale - nie - spokojna Haneczka. - Ona też potrzebuje chwili oddechu!

- Chwili?! - Maciek zdenerwował się jeszcze bardziej. - Wydzwaniamy już do niej od dobrej godziny! Co ona tam może robić?!

*

Po długiej, relaksującej kąpieli... zrobiłam sobie święto. Już nic nie muszę! Naprawdę nie muszę! Mogę się najzwyczajniej w świecie ubrać, nie wcierając żadnych kremów. Jeszcze lepiej bawiłam się jednak przy śniadaniu. Zaczęłam od tego, że z dziką satysfakcją wywaliłam wszystkie pętające się po domu otręby i zeroprocentowe jogurty naturalne. Skończyłam na wepchnięciu w siebie ogromnej ilości superłustych, wysokokalorycznych racuchów.

- Bosko! - odbiło mi się satysfakcją.

Wreszcie byłam gotowa, aby odebrać ten namolny, dzwoniący co pięć sekund telefon!

*

- Odebrała! Odebrała! - zatykając słuchawkę, Haneczka szeptem przekazała Maćkowi.

- Tylko spokojnie! - zawołał uradowany Maciek. - Pamiętaj, mów powoli i kojąco!

*

- Halo...? - powiedziałam do telefonu. Wbrew spodziewaniom nie usłyszałam jednak głosu Haneczki, tylko jakieś trzaski i zdławione szepty. Rany! Wiedziałam, że powinnam poświęcić jej więcej czasu!

- Dzień dobry - wreszcie powiedziała do mnie Haneczka. Zrobiła to jednak w dziwny sposób. W taki, w jaki mówi się zwykle do dziecienniałych i przygłuchych staruszków. Aha! Czuję, że jest z nią niedobrze!

- Dzień dobry - odpowiedziałam jej więc tym samym tonem. Spokój, tylko spokój, mówić do niej bardzo spokojnie, żeby tylko jej nie zdenerwować, i może uda mi się dowiedzieć, co się u niej dzieje i czy jakoś mogę pomóc.

- Wszystko w porządku? - spytała, sylabizując.

Czy ona przypadkiem nie jest na jakichś prochach? Ale dobrze, że dzwoni. To znak, że szuka pocieszenia i wsparcia.

- Wszystko w porządku - odpowiedziałam jej zatem wolno, ciepło i kojąco.

Jest tragicznie! Ona nigdy jeszcze się tak nie zachowywała! Nagle po drugiej stronie usłyszałam znowu jakiś trzask i... Co!? Jakieś stęknięcie? Co się tam u niej dzieje, u licha?

*

Po drugiej stronie Haneczka gwałtownie odsunęła słuchawkę od ucha.

- Ugh... - stęknął Maciek, który aby słyszeć rozmowę, przysunął się blisko do Haneczki. Tak blisko, że odsuwana gwałtownie słuchawka walnęła go prosto w oko!

- Słyszysz? Wiedziałam, że jest niedobrze! Słyszysz, jak ona mówi? Jakby była na jakichś prochach! Słyszałeś? - potrząsając telefonem przed jego twarzą, Haneczka dopytywała się nerwowym szeptem.

- Słyszałem przecież, słyszałem... - odstękał Maciek z wyrzutem, sięgając po leżący na biurku ozdobny nóż do rozcinania papieru i przykładając go sobie do oka. - Jest w fatalnym stanie, masz rację. Lepiej w takim razie dziś nigdzie jej nie wyciągajmy. Zrobię ksero i zajmiemy się wszystkim kiedy indziej. Pogadaj o byle czym. Tylko bardzo spokojnie, pamiętaj! Żeby się tylko nie zdenerwowała.

*

- To dobrze, że w porządku, to bardzo dobrze - po dłuższej chwili, usłyszałam głos mojej Haneczki brzmiący jak zza grobu.

- A u ciebie? - spytałam natychmiast, dziękując w duchu, że nic tam sobie nie zrobiła. Zaraz, jak to było? Jak ktoś jest w psychicznym dołku, trzeba z nim długo rozmawiać. To uspokaja i na koniec każdy z tych psycholi w końcu schodzi z dachu. Z DACHU? Jezu, czy ona przypadkiem nie jest teraz na dachu?!

*

- Hm, jest dobrze, siedzę sobie w domu i powoli zaczynam zabierać się do pracy... - ciągnęła Haneczka kojąco przy pełnym aprobaty potakiwaniu Maćka.

- JESTEŚ NA DACHU? - przerwało jej nagle histeryczne pytanie Izy.

- Boże! - wyrwało się Haneczce z nerwowym drgnięciem, ale Maciek tym razem wykazał się większym refleksem. Gwałtownie odchylił się w tył, osłonił się ręką przed lecącą w jego stronę słuchawką, drugą wyciągnął, aby utrzymać równowagę. - Słyszałeś! - szeptała do niego Haneczka histerycznie. - Ona chce zrobić coś głupiego! Zrób coś!

- UGH! - wyrwało mu się w odpowiedzi, gdy stołek, na którym siedział, pod wpływem jego gwałtownych ruchów pękł z trzaskiem, słuchawka wytracona z dłoni Haneczki poszybowała na drugi koniec pokoju, a nóż do papieru rozdarł Maćkowi rękaw koszuli.

*

Jest na dachu! Na pewno jest na dachu i na dodatek pewnie jeszcze chce sobie coś zrobić! Inaczej po moim pytaniu nie usłyszałabym zduszonego „Boże”! Tylko co miał znaczyć ten rumor? I ta cisza teraz w słuchawce. Panie Boże, spraw, żeby nic sobie nie zrobiła, Panie Boże, spraw, żeby nic sobie nie zrobiła! - modliłam się w duchu i chwyciwszy klucze do samochodu, pędem wybiegłam z mieszkania.

- Mów do mnie! Mów do mnie! Mów do mnie! - przyciskając cały czas słuchawkę do ucha, wypowiadałam jak mantrę. - Błagam, odezwij się do mnie!

*

- Mam do niej mówić! - wyszeptała Haneczka do Maćka, gdy tylko udało jej się ponownie dopaść telefonu.

- To mów! Nie przestawaj! Jedziemy tam! Szybko, zbieraj się!

*

- Mówię do ciebie, mówię! - usłyszałam w słuchawce i poczułam, jak wielki kamień spada mi z serca.

- Gdzie jesteś? Mów!

- W domu.

A więc nie dach, a balkon! Jezu, ona mieszka na szóstym piętrze! Ale to chyba lepiej, niż gdyby była na dachu, na dziewiątym...?

- Nie ruszaj się! - krzyknęłam więc histerycznie. Miałam już 120 na liczniku, a to osiedlowa uliczka! - Ani drgnij, bo będzie tragedia! I cały czas mów, żebym słyszała!

*

- Mam ani drgnąć, bo będzie tragedia! - zawyła Haneczka dziko, wymachując jednocześnie spazmatycznie rękami. Maciek na całe szczęście zrozumiał, co chciała mu przez to powiedzieć.

- Dobra! Jadę sam!

*

- Weź mój wóz! - usłyszałam i przejechałam na czerwonym świetle. Ona naprawdę chce to zrobić, skoro w testamencie oddaje mi swój ukochany sportowy supersamochodzik! Normalnie nie pozwala go nawet tknąć. Żebym tylko zdążyła!

- Nie chcę! - wyrwało mi się, zanim sobie przypomniałam, że chyba nie wolno samobójcom mówić „nie”.

*

- Albo chcę! Chcę! - Jezu! Haneczka jęknęła w duchu. Iza naprawdę jest w ciężkim stanie! Nie wie już nawet, czego chce! Trzeba jej szybko wytłumaczyć, że wcale nie chce robić nic głupiego, absolutnie nie chce, więc z mocą powiedziała do słuchawki...

*

- Nie chcesz, nie chcesz! Ani się waż! - odpowiedziała mi Haneczka. Chwała Bogu! Skoro znów tak zależy jej na samochodzie, to może zdążę!

- Dobra, to nie chcę! - postanowiłam ją uspokoić. - Jeszcze tylko trzy minuty! - Albo i więcej, tam u niej przecież ta cholerna winda, która co chwilę nie działa.

- Jakie trzy minuty! - nie wiedzieć czemu Haneczka się zdenerwowała. Niedobrze.

- A ile? - spytałam. Może głupio, ale przecież musiałam ją jakoś zagadać.

*

- Co najmniej dziesięć! - nieprzytomna z nerwów Haneczka usiłowała w myślach prześledzić trasę Maćka i odgadnąć, gdzie teraz jest. To niby bardzo blisko, ale, niech to szlag, nie miała pojęcia, jak on prowadzi. A jak to jest jakiś drogowy melepeta? Przez trzy przecznice będzie się włókł godzinami? - Lepiej z piętnaście! - poprawiła się szybko. Jezu, żeby tylko zdążył, jak tam już będzie, to przecież ją powstrzyma. Żeby tylko wytrzymała bez niego.

*

Ufff, chwała Bogu! Chce żyć! Co najmniej kwadrans Haneczka jeszcze chce żyć!

- Przysięgnij, że wytrzymasz bez niego jeszcze piętnaście! - błagała mnie Haneczka. Ale swoją drogą, za kogo ona mnie ma? Że tak się niby czaję na ten jej samochodzik?

- Nie chcę go widzieć na oczy! Nigdy! Uwaga! Nie przestrasz się, jakby co! I trzymaj się! - Musiałam ją jakoś przygotować na moje wejście. Nie daj Bóg siedzi właśnie na barierce. Nie mogę tak wpaść z zaskoczenia, jeszcze się przestraszy i sama spadnie.

*

Rany! Haneczka usiadła na podłodze. Iza jest tak zdesperowana, że chce skakać już teraz. Niepotrzebnie zaczęła

mówić o Maćku! Cholera, nie wiadomo czemu, ale Iza musiała go strasznie nie lubić! A jak zaraz go tam zobaczy? To może ją tylko sprowokować. Co robić? Dzwonić do niego? I co? Niech się tam do niej nie pcha? Co za głupi pomysł, że go tam samego wysłała. „Panie Boże, spraw, żeby jechał dwa na godzinę, żeby był takim sierotą, by nie umieć odpalić samochodu”.

- Nie rób nic! Słyszysz? Cokolwiek się będzie działo, nie waż się teraz nic robić! - zawołała jeszcze i mówiąc do siebie: „Wybacz, Panie Boże wszechmogący”, odłożyła słuchawkę.

*

Z dudniącymi w głowie ostatnimi słowami Haneczki opierałam się o jej zamknięte drzwi. Nie! Nie! - myślałam, jęcząc cichutko i popłakując bezradnie. Za późno! Za późno! Moja kochana! Moja biedna! Nie zdążyłam.

*

Z trzęsącymi się rękami Haneczka wpatrywała się w swoje biurko. Na blacie, beztrosko wydzwanianą, leżał telefon Maćka.

*

- A co pani tu robi? - z rozpaczy wyrwał mnie głos wścibskiej sąsiadki. Co za beznadziejny babon! Normalnie to słyszy kichnięcie, a na ludzką tragedię proszę, nagle głucha.

- No, co pani tu robi, pytam? Co pani tak pod tymi drzwiami? Proszę odejść! Bo policję zawołam!

- Proszę wołać... - udało mi się wychlipieć, gdy podchodziłam w stronę sąsiadki. - Proszę wołać... Bardzo dobrze, niech przyjadą, i tak będą musieli.

- A pewno, że zawołam! Pani Żak, no niech pani spojrzy, co to pod pani drzwiami wystaje! Narkomany mokre rozgogolone jakieś. Dosyć już tego, tu nie melina.

Pani Żak? Haneczka? Odwróciłam się bardzo powoli. W drzwiach swojego mieszkania stała potwornie blada, wpatrująca się we mnie jak w upiora Haneczka.

- Co ty tu robisz? - wydukała z siebie, osuwając się powoli po framudze drzwi. - Bogu dzięki!

- Yyhh? - tylko to byłam w stanie jej odpowiedzieć. Żyje!

*

- No co za towarzystwo jakieś! Patrzeć na to nie mogę! Żeby dwie baby na brudnej klatce tak się obściskały. Tfu! Wstydu nie mają. Sodoma i gomora, powiadam, koniec świata - podsumowała sąsiadka, trzaskając drzwiami.

*

- Ale po co tu idziemy?! - dopytywałam się Haneczki niespokojnie, gdy prowadziła mnie krętymi korytarzami wydawnictwa.

- I gdzie on jest, przecież on też miał tu być - nie wyjaśniając niczego, mamrotała pod nosem Haneczka. Patrzyłam na nią coraz szerzej otwartymi oczami. Nie było z nią dobrze. Jak już na klatce schodowej nacieszyłyśmy się nawzajem własnym życiem, Haneczka zaczęła zachowywać się raczej dziwnie. Pomijam to, że co pięć sekund nerwowo spoglądała na zegarek na przemian z wyglądaniem przez okno. Jednocześnie mamrotała pod nosem coś na kształt: „I gdzie go diabli zanieśli?”, „Co on, czołga się tu...” lub „Oni zawsze tacy są...”

- Kto?! - usiłowałam włączyć się do jej monologu, ale Haneczka machała tylko niecierpliwie ręką i odpowiadała ogólnikowo: „mężczyźni”.

Rozumiałam z tego coraz mniej.

Zwłaszcza wtedy, gdy wymamrotała: „No to już przesada! Minęły dwie godziny”.

- Od czego? - zapytałam podchwytliwie, ale chyba mnie nie usłyszała. Zarządziła, że wychodzimy.

Nie sprzeciwiłam się, tylko pospiesznie wyszłam. Cały czas powątpiewałam, czy aby na pewno z Haneczką jest wszystko w porządku. Zapewniała mnie, że tak. Ale nie brzmiało to wiarygodnie.

Zwłaszcza że pod domem klepnęła się mocno w czoło i powiedziała, że pojedziemy moim samochodem.

Haneczka jak ognia unikała wsiadania do cudzych samochodów. Swój kochała jak nic na świecie i jeździła nim przy każdej okazji. Nie powiedziałam jednak na to ani słowa. W milczeniu oddałam jej kluczyki i pojechałyśmy.

- Do wydawnictwa? - spytałam zdumiona, gdy zatrzymałyśmy się wreszcie pod wielkim gmachem, gdzie były redakcje trzydziestu pięciu różnych pism.

- No i jak ja mam to sama wszystko... - wymruczała do siebie w odpowiedzi Haneczka i zdecydowanym krokiem pomaszerowała przed siebie.

- Co? - jęknęłam zrezygnowana i niewiele myśląc, poszłam za nią.

- To tu - powiedziała Haneczka wreszcie i stanęłyśmy.

- Ta szmatława gazeta? - zapałam z oburzeniem i spojrzałam na nią z wyrzutem. - I po co tu w ogóle przyszłyśmy?

Haneczka wzruszyła jedynie ramionami.

- W sumie... nie wiem - odpowiedziała niepewnie.

- Nie wiesz?! - nie mogłam się powstrzymać. Pał diabli złe samopoczucie Haneczki. Czułam, że zaczyna zalewać mnie ślepa furia. - Przeprowadzasz mnie do redakcji gazety, która rujnuje mi życie, obrzucając błotem, i twierdzisz, że nie wiesz?! Po co miałam tu z tobą przyjść? Podłożyć ogień? Bo to akurat zrobiłabym bardzo chętnie.

- Są systemy przeciwpożarowe - ostudziła mnie trochę Haneczka. Chyba chciała zmienić temat, bo nagle rzuciła: - Spójrz, czy znasz tu kogoś?!

Miałam jej wiele do powiedzenia, ale złapałam się na ten haczyk i automatycznie odwróciłam się w stronę redakcji.

- No pewnie! - odpowiedziałam. - Jest tu Krzysio fotoreporter, Hanka, przeprowadzała ze mną wywiad, grafika kojarzę, o, tam siedzi Sławek.

- Sławek? - zainteresowała się nagle Haneczka i utkwiała w Sławku spojrzeniem.

- Tak, Sławek... - odpowiedziałam zdziwiona, tym bardziej że Haneczka prychnęła nagle zadowolona, odwróciła się na pięcie i tym razem zarządziła:

- Wracamy.

Byłam na nią tak zła za tę wycieczkę, że najchętniej odmo - wiłabym ruszenia się stąd nawet o krok, dopóki mi wszystkiego natychmiast nie wytłumaczy. Być może naprawdę bym to zrobiła. Jednak Haneczka miała cały czas kluczyki od mojego samochodu. Przemyślałam więc sprawę. I naprawdę, tylko z tego powodu karnie pospieszyłam za nią.

*

Maciek dopiero późnym wieczorem zjawił się u Haneczki.

- No wiesz co! - zakipiała oburzeniem i chciała dalej robić dziką awanturę, ale spojrzała na niego uważniej i umilkła. - Co jest? - spytała mocno zaniepokojona.

Maciek, z podbitym okiem, zakrwawiony, w podartej koszuli, z rozerwaną jedną nogawką spodni, dzierząc w ręku nóż do rozcinalania papieru, wzruszył jedynie ramionami. Haneczka obrzuciła go jeszcze jednym uważnym spojrzeniem i zapytała z wahaniem:

- Biłeś się z kimś?! Ale po co?

- Nie biłem... - odpowiedział Maciek. I z lekką nutką dumy w głosie opowiedział całą historię.

Do Izy dojechał w miarę szybko. Pędem dopadł domofonu i nerwowo zaczął wydzwaniać. Niestety. Odpowiedziała mu głucha cisza.

„Na dachu! Przecież ona może już być na dachu!”, przypomniał sobie w porę. Niewiele myśląc, zaczął dzwonić domofonem w poszukiwaniu jakichś obecnych w domu sąsiadów.

- Halo? - usłyszał po trzeciej próbie.

- Dzień dobry! - powiedział więc na początek.

- Halo? - usłyszał jednak znowu.

- Dzień dobry! - odpowiedział trochę głośniej.

- No halo, czemu nikt się nie odzywa? - odpowiedział domofon z pretensją.

- DZIEN DOBRY - zdesperowany ryknął pełnym głosem.

- Piiiiiiiiiii - odezwał się do niego domofon. - No, czemu ten aparacik ciągle nie chce działać... - zakończyła z pretensją staruszka i odłożyła słuchawkę.

Maciek westchnął ciężko, ale się nie poddawał.

- Halo? - usłyszał przy kolejnej próbie.

- DZIEN DOBRY! - ryknął na wszelki wypadek.

- Proszę ciszej! - odpowiedział mu głos z dezaprobatą. - Przecież słyszę! Czy pan tu mieszka?

- Nie - odpowiedział Maciek speszony. Skąd niby miał wiedzieć, że ta kobieta nie jest też głucha? - Nazywam się Maciek Piwko, jestem przyjacielem Izy Strzeleckiej, która mieszka pod siódemką. Jak najszybciej muszę się dostać na klatkę schodową, a stamtąd na dach, bo mam obawę, że ona tam jest i to na dodatek w dużym niebezpieczeństwie - wyjaśnił zdenerwowany.

- Aha... - odpowiedział mu na to głos z lekkim zamyśleniem. - Czy pan tu mieszka?

- Nie! - Maciek tracił już panowanie nad sobą. - Przecież pani mówiłem! Nazywam się Maciek Piwko, jestem przyjacielem... - na wszelki wypadek powtórzył jednak wszystko po raz kolejny.

- No tak... - głos nieoczekiwanie stał się podejrzliwy. - Pan tu mieszka, tak?

- NIE! - ryknął Maciek kompletnie wytrącony z równowagi. - NAZYWAM SIĘ...

- Ależ proszę ciszej! - skarcił go głos tym razem, po czym spytał wyraźnie zaciekawiony: - A pan tu mieszka, tak?

Maciek, załamany, odszedł od drzwi i osunął się niemal pod stojącym obok drzewem. Koniec. Nie dostanie się tam. Nie pomoże Izie! Jest do niczego. Zawiódł. Zostawił ją samą. Może ona już tam jest, stoi na krawędzi i za chwilę właśnie skoczy.

W rozpaczy podniósł głowę, chcąc zobaczyć, czy przypadkiem Iza nie stoi tam gdzieś na dachu.

- Cholera! - zaklął. - Czemu nie wytną tego cholernego drzewa? Nic nie widać, zasłania wszystko do samego dachu tymi cholernymi gałęziami! Kto to widział, żeby sięgały do samych okien! - pozłorzeczył i zamilkł. Gałęzie? Drzewo? Okno.

Na wszelki wypadek jeszcze to sprawdził. Miał szczęście! Okno u Izy było otwarte!

W tym momencie w Maćku obudził się Indianin. Młodzińcze lata spędzone na wierzchołkach podwórkowych drzew. MacGyver połączony z Indianą Jonesem i szeregiem innych megabohaterów.

Wystarczy, jak po drzewie dostanie się do mieszkania Izy, stamtąd wyjdzie na klatkę schodową i już prosto na dach! Gdy tylko to wymyślił, natychmiast uchwycił się pnia drzewa.

Cholera. Jak on to w dzieciństwie robił?

Po dłuższym czasie udało mu się wspiąć już prawie na trzy metry. Jeszcze trochę, a ręką prawie sięgnie okna na pierwszym piętrze. Nie było źle, gałęzie zaczynały się tuż przed drugim.

- Halo! Co pan tam robi?! - doleciał go nagle jakiś władczy głos z dołu.

- Yygh! - odpowiedział z wysiłkiem i podciągnął się jeszcze o jakieś siedem centymetrów.

- Proszę pana! Proszę natychmiast zejść! - zażądał głos, toteż Maciek postanowił zlokalizować jego właściciela. Należał do jakiegoś emeryta, który stał obok starszej pani i trzymał za rękę siedmioletniego na oko chłopczyka.

- Nie mogę! - wystękał Maciek w odpowiedzi. To była prawda. Czuł, że jeśli choć na moment zluzuje uchwyt, zleci na dół niczym dojrzała śliwka. W sumie nie miałby nic przeciwko temu. Ręce mdlały mu już z wysiłku. Nigdy nie będzie Indianą Jonesem.

Niestety. Na miejscu jego prawdopodobnego lądowania stała właśnie para staruszków z wnuczkiem.

- Jak to nie może! Jak to nie może? Niech złazi! Kacperek, daj babci komórkę! - do dyskusji włączyła się rozgniewana staruszka. - Dobrze, żeśmy wrócili wcześniej, jak nic, chciał się włamać do jakiegoś mieszkania.

- Pod siódemkę! - wystękał Maciek w odpowiedzi. Chciał wyjaśnić złożoność sytuacji, ale nie mógł się przebić przez wzburzony głos emerytki.

- A nie mówiłam? A nie mówiłam? Halo, panie władzo, mamy złodzieja!

- Proszę odejść! - wyjęczał jeszcze Maciek z bólem. Z wysiłku nie słyszał już, co na to do powiedzenia mieli staruszkowie.

- Yygh! - wyrwało mu się na końcu i musiał puścić. Jedyne, o czym jeszcze myślał, to żeby przypadkiem nie trafić nogą we wnuczka.

- Ratunku! - zajęczał emeryt. Wnuczek ocalał, za to Maciek z całą mocą pacnął akurat na dziadka.

- To ten? - sekundę później dopadł go policjant.

- Tak! Jeszcze na dodatek przed chwilą próbował mnie napaść!

- O, bratku! Pakujemy się do radiowozu!

- Niczego nie próbowałem, naprawdę - bronił się jeszcze Maciek.

- Jak to nie, jak to nie! Wszystko widziałam! - weszła mu w słowo emerytka. - I jeszcze groził nożem, proszę!

„Jakim nożem?“, chciał odpowiedzieć Maciek, ale umilkł w połowie. Spojrzał na własną rękę, na którą od dłuższej chwili wszyscy w milczeniu patrzyli.

- Cholera - zaklął. Zupełnie zapomniał, że trzyma w niej wielki, błyszczący nóż do papieru, który nie wiedzieć jakim cudem wyniósł ze sobą z domu Haneczki.

- Dopiero przed chwilą mnie stamtąd kumple wyciągnęli - zakończył opowieść. - U ciebie jak?

- Namierzyłyśmy Sławka. Wiem, który to jest, na sto procent u nich pracuje - odpowiedziała Haneczka z dumą. - Nic Izie nie mówiłam. Nie chciałam, żeby nabrała jakichś nadziei. Lepiej będzie, gdy się dowie, jak coś nam z tego wyjdzie.

- Bardzo dobrze - pochwalił Haneczkę Maciek. - W takim razie jutro zaczniemy działać.

*

Prezes zarządu telewizji jak co rano usiadł zadowolony przy biurku. Dlaczego nie miałby być zadowolony? Był przecież prezesem jednej z prężniej działających telewizji. Mało tego. Prężne działanie nie było przecież przypadkowe. Było wynikiem jego trafnych, celnych i nieomylnych decyzji. Toteż dlatego, jak co rano, Prezes usiadł zadowolony i w poczuciu swej genialności. Sięgnął po kawę, którą centralnie na środku biurka postawiła mu sekretarka. Tak jak lubił. Lubił też, aby zostawiała mu kompletny zestaw porannej prasy - chociaż przeglądał zwykle jeden, góra dwa najambitniejsze

tytuły, chciał sprawiać wrażenie, że zawsze wie wszystko o wszystkim. Upił łyk kawy i jak zwykle sięgnął po swoją ulubioną gazetę.

Już prawie zaczął ją czytać, ale coś nie dawało mu spokoju. Zaraz, zaraz. Co to było. Coś, co przypadkiem wpadło mu w oko.

Odłożył gazetę i niepewnie spojrzął w kierunku leżącego na biurku brukowca...

- Pani Marysiu! - chwilę później przez interkom wołał sekretarkę. - Zebranie zarządu, szybko!

*

- Tak, kochanie, masz rację. Oczywiście - godził się na wszystko Producent na zakupach z żoną. Nienawidził zakupów. Wykręcał się od nich zawsze wszelkimi sposobami, ale tym razem żona postawiła sprawę na ostrzu noża: albo pojedzie z nią wybrać prezent na czterdziestolecie ich przyjaciół, a przy okazji nowe zasłony do salonu, albo może zapomnieć w ten weekend o rybach.

Producent za nic nie chciał zapomnieć o rybach. Miał nową wędkę i tupał z niecierpliwości na myśl o tej chwili, gdy będzie mógł ją wypróbować.

Żona doskonale o tym wiedziała i miała zamiar to w stu procentach wykorzystać. Zapowiadało się, że na zakupach spędzą co najmniej cztery godziny.

- Halo? - Producent szeptem odebrał telefon. Obiecał żonie, że w tym czasie nie będzie zajmował się pracą.

- Oni nas zjedzą! Rozumie pan?! Zjedzą! - usłyszał rozpaczliwe wołanie Prezesa. - Musi pan to załatwić w przeciągu najbliższej godziny, inaczej dziennikarze zjedzą nas żywcem!

*

Z drzemki wyrwał mnie niecierpliwy dźwięk domofonu. Tak szybko? - zdziwiłam się i spojrzałam na zegarek. Ekipa

od przeprowadzek przyszła wcześniej o dobre trzy godziny. Poszłam jednak otworzyć. I dobrze. Im szybciej się wyniosę, tym szybciej ten rozdział będę miała z głowy! - pomyślałam jeszcze raz to, co bez przerwy kołatało się w mojej głowie od wczoraj. Co prawda Haneczka nie znalazła mi jeszcze dobrego mieszkania, ale po kolejnym telefonie i uprzejmym pytaniu pani Zosi: „Jak długo jeszcze?”, poczułam, że mam dosyć. Tanie mieszkanie, z możliwością wprowadzenia się od razu, znalazłam pod Warszawą. Trudno, jak dostanę pracę, najwyżej będę musiała dojeżdżać do centrum. Nie miałam dużo do pakowania. Dlatego następnego dnia ze stertą kartonów czekałam już tylko na samochód.

- Proszę, proszę - odpowiedziałam na pukanie i otworzyłam... Producentowi?!

Z rozwianym włosiem wpadł do środka i pokonując zadyszkę, wysapał:

- Gratuluję! Iza, właśnie dostała pani rolę Weroniki w serialu Miłość i zdrada. Czy możemy podpisać umowę?

- Jak to? - spytałam zaskoczona. - Umowę?!

- Tak! Gratuluję! - odpowiedział Producent, który zaczął powoli dochodzić do siebie i właśnie wyciągał jakieś papiery.

- Zaraz, chwileczkę - powiedziałam z namysłem. Nie byłam pewna, czy chcę jeszcze raz podpisywać z nimi umowę.

Tyrać po piętnaście godzin dziennie przez siedem dni w tygodniu?

Nie mieć życia towarzyskiego, stać się celem ataków gimnazjalistów i paparazzich, za to mieć jedno, jedyne marzenie, aby wreszcie porządnie się wyspać, bo i tak nie zarobię nawet na żadne porządne wakacje?

Nie. Te ostatnie dni wolnego z całą stanowczością uświadomiły mi, że kompletnie na Coś takiego nie mam już ochoty.

Po ciężkiej pracy zasługujesz na...

- No! - Haneczka kopnęła Maćka w kostkę i zrobiła znaczącą minę, gdy tylko zostaliśmy sami. Popatrzyłam na nią z zainteresowaniem. Coś z nią jednak cały czas było nie tak, chociaż muszę przyznać: przez ostatnie dwie godziny zachowywała się normalnie.

- Eee... tego... ten... - mamrotał niewyraźnie Maciek. Niedobrze. To coś od Haneczki zaczynało się udzielać również Maćkowi.

- Znaczy... tego... Może byś ewentualnie wybrała się kiedyś ze mną na kolację? - wykrztusił wreszcie Maciek.

- Na kolację? - spytałam zdziwiona. Rany! Co się stało, że Maciek zaprasza mnie na kolację?

- No, na kolację... - potwierdził Maciek i niepewnie spojrzał na Haneczkę.

- Na randkę, znaczy - odpowiedziała. A Maciek... Nie wierzę! Ten chłopak się zarumienił! Ach! Byłoby miło... Stop! Powstrzymałam się jednak przed jakimkolwiek rozmarzeniem. Coś tu nie grało. Coś tu cholernie nie grało!

- A co z Panią Domu? - zapytałam podejrzliwie. Do licha, nie mam zamiaru po raz kolejny na trzecią ładować się w czyjś związek!

- Z kim? - spytał dla odmiany potwornie zaskoczony Maciek.

- Z Agnieszką - odpowiedziała Haneczka, która udawała właśnie, że jak gdyby nigdy nic ogląda swoje paznokcie.

- Z moją siostrą? - zdziwił się Maciek. - A co z nią miałyby być? Coś się stało?

Nie usłyszał jednak odpowiedzi. Patrzyłam z wyrzutem na Haneczkę, a ona z uśmiechem wzruszyła ramionami. No tak. Nie miała po co mówić mi tego wcześniej. Wtedy i tak byłam opętana Krystianem.

- No dobrze, wy idźcie - zdecydowała wreszcie Haneczka. - Ja muszę jeszcze wpaść do pani Zosi. Do tej pory nie może uwierzyć, że ma zaszczyt gościć w swoim domu bohaterkę!

W uroczej restauracji, gdy oboje przełamaliśmy już lekkie onieśmienie i zaczęliśmy na powrót normalnie rozmawiać, nie wytrzymałam.

- Ale jak w ogóle na to wpadliście? - spytałam.

- Mieliśmy przecież dziennik pana Henryka... - odpowiedział.

- No, wiem! - przerwałam mu niecierpliwie. - Ale co z tego? Tam przecież nie było tych wszystkich informacji!

- No tak... - odpowiedział Maciek zmieszany. - Trochę działaliśmy *va banque*... Sam nie miałem pojęcia, że tak to się skończy! W każdym razie pana Henryka zaintrygowało, dlaczego ty nie masz pojęcia o głośnej zabawie, która odbywała się niby w twoim mieszkaniu. Zdziwiło go też to częste pojawianie się młodego Knapika o dziwnych porach, dlatego przycisnął mocniej panią Janinę i ona się wygadała...

- Zaraz, zaraz! - przerwałam, bo kompletnie nic mi to nie mówiło. - Jakiego Knapika? I co wygadała pani Janina? Przekrety w poczytnej gazecie?

- Nie! Wygadała się, że jej wnuk, młody Sławek Knapik, bardzo często u niej nocuje.

- I co w tym dziwnego?

- Nic. Oprócz tego, że często podczas tych nocy gościł u niej również przyjaciel i życiowy partner Sławka, Krystian.

- Jak to? - gdybym nie siedziała, na pewno bym to zrobiła z wrażenia. - Pani Janina wpuściła do domu obcego mężczyznę...?

- Wiesz... Dla niej to nie był taki prawdziwy mężczyzna - odpowiedział z lekkim uśmiechem Maciek. - W każdym razie było jej szkoda Sławka, bo jego rodzice kompletnie nie

akceptowali jego odmienności, a dla niej dużo ważniejsze było, żeby był uczciwym człowiekiem.

- To się chyba rozczarowała, co?

- Być może nie będzie u niej więcej nocował. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

- Ale jak odkryliście, że ustawiają sytuacje i wymyślają kompletnie nieprawdziwe historie do gazety?

- Nie wiem - odpowiedział Maciek szczerze. - Jakoś samo to wyszło. Gdy wpadłem na pomysł, że Sławek z dziennika pana Henryka może być tym samym Sławkiem, który podpisywał się pod artykułami, Haneczka zaprowadziła cię do redakcji. Rozpoznałaś tam swojego sąsiada.

- Skąd wiedzieliście, że to na pewno sąsiad?

- Hm... Strzelaliśmy - przyznał się Maciek. - Następnego dnia poszedłem do redakcji z propozycją, aby napisali sprostowanie. Gdy naczelny dowiedział się, że Krystian nie może mieć życiowej partnerki Dorotki, bo nie jest hetero, zrobił się biały jak ściana. Bardzo im zależy na wiarygodności tej gazety. Dalej już potoczyło się szybko. Zaczęli szukać, kim może być Dorotka. Znaleźli ją w jednej z mniejszych agencji modeli i modelek. Przyznała, że została wynajęta do tej roli. Z tego, co się zorientowałem, to chyba była potwornie wściekła na Krystiana. Miała pojechać z nim na imprezę, nie odstępować go na krok przez dwie czy trzy godziny, a potem wrócić. Nie uprzedzał jej, że jakaś panna będzie w nią rzucać piwem. W każdym razie uważała, że należy jej się co najmniej podwójna stawka. Krystian jednak był innego zdania. Dzięki temu nie miała problemów, żeby wyznać dziennikarzom całą prawdę.

- Chyba jej się nie dziwię! - podsumowałam, chichocząc.

- To widzę, że wcale się nie przysłużyłam Krystianowi.

- Na początku był wniebowzięty! Napatoczyłaś mu się jak na zawołanie! I jeszcze tak szczęśliwie mieszkałaś, w domu

babci Sławka! Spotkał cię chwilę po tym, jak wreszcie twój Producent, zmęczony jego jęczeniem o rolę, obiecał mu, że zagra w serialu, gdy pojawi się na pierwszych stronach gazet. Umówmy się, dla Sławka był to pikuś. Już wcześniej, zanim zaczęli się spotykać z Krystianem, organizował takie sytuacje na własną rękę. Krystian zresztą potem bardzo mu pomagał. Znał wszystkie gwiazdy prywatnie, bywał u nich na przyjęciach w domach. Prowokował różne sytuacje, a paparazzi Sławka podsyłali tylko zdjęcia do gotowego artykułu.

- Prowokował? - spytałam z niedowierzaniem. - A inne VIP - y się nie zorientowały?

- Wiesz, dla nich to naturalne, że gazety piszą tylko i wyłącznie na ich temat. Zresztą... Z jedną piosenkarką Krystian umówił się na kolację. Wychodząc z restauracji, podstawił jej nogę, tak że się przewróciła. Nie dziwne, że napisali potem o pijanej piosenkarce, która po imprezie nie może ustać na nogach, a nie o Krystianie.

- Ale przecież mogła podać gazetę do sądu! Nie bali się tego?

- Jakim cudem? Przez pół nocy Krystian wlewał w nią wino i szampana! Była pijana. Nie tak, żeby samodzielnie się przewracać, ale gdyby sąd spytał na rozprawie jedyne go świadka, czy pani X piła... z ręką na sercu mógł to potwierdzić i każda z wkręcanych osób doskonale o tym wiedziała.

- No tak... - przypomniałam sobie, jak przed moim domem Krystian upewniał się, czy na pewno mieszkam sama i nikogo u mnie nie ma.

- Na koniec zaś naczelny zawołał do siebie Sławka. On się kompletnie nie spodziewał, że to się w ogóle kiedykolwiek wyda. Przy tej liczbie dowodów puściły mu nerwy, przyznał się do spreparowania sytuacji między tobą a Krystianem, a potem jeszcze wyznał o wiele, wiele więcej.

- Dzięki czemu stałam się bohaterką, która narażając własną skórę, ujawniła matactwa dziennikarza.

- Tak. To był mój warunek! - przyznał z dumą Maciek.

- Genialny! - przyznałam mu rację. - To była świetna podstawa do renegocjowania umowy z Producentem.

- Hm. Dwa razy wyższa stawka z podwyżką po pół roku, maksymalnie dziesięć godzin pracy, posiłki z wybranej restauracji z uwzględnieniem posiomek i innych owoców sezonowych, własna przyczepa i kawałek czerwonego chodniczka. Nie mogę zrozumieć tylko, po kiego diabła musiałem wyklócać się o ten chodniczek?!

- Żeby mniej bolały procenty płacone mojej nowej agentce Haneczce i doradcy prawnemu Maćkowi... - odpowiedziałam z uśmiechem, po czym nie rozmawialiśmy już więcej o procentach. Zajęliśmy się innymi, dużo bardziej przyjemnymi tematami.

*

- Nie rozumiem - powiedział Producent znad brzegu jeziora do trzymanego w rękę telefonu. - Jak to nie powstał nigdy żaden musical Łazienka?!

Chwilę słuchał, po czym mocno zirytowany zawołał:

- Jak to? Niemożliwe! To w takim razie wytłumacz mi, Irek, kogo my właściwie zatrudniliśmy?!